



D-00/1011/86

12

KSIĄŻKA

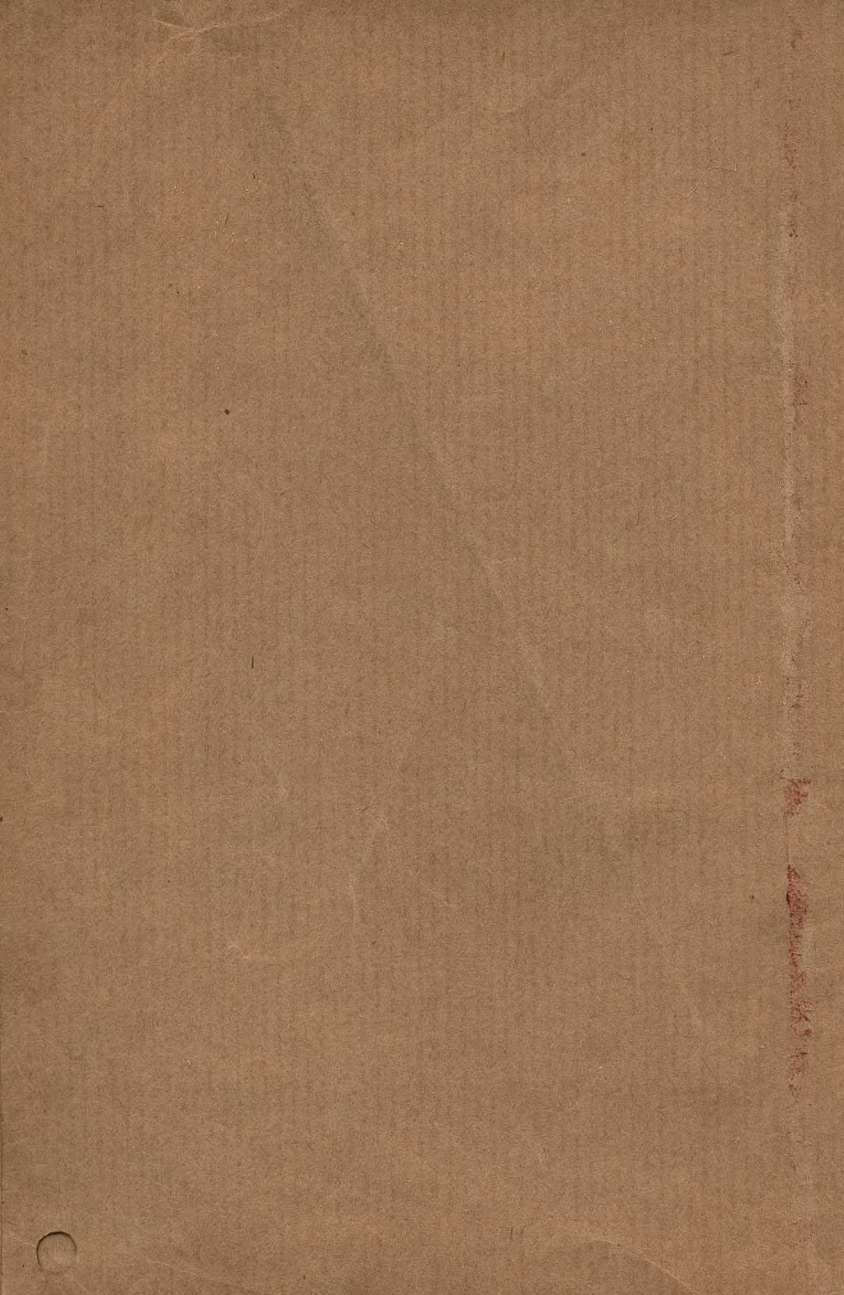
TOW. SZKOŁY LUDOWEJ



541







JULJUSZ VERNE

W POGONI ZA METEOREM

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

Z 10 ILUSTRACJAMI C. ZIELKEGO

TLUMACZYŁA K. BOBROWSKA



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO

541



K 174476
340021 I

D-2000 / 1011/86

19.10.



51



ROZDZIAŁ PIERWSZY,

w którym sędzia John Proth spełnia jeden z najprzyjemniejszych obowiązków swego urzędu, zanim powróci do swych kwiatów.

Niema żadnego powodu ukrywać przed czytelnikiem, że miasto, w którem rozpoczyna się ta osobliwa historia, położone jest w prowincji Wirginji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przypuśćmy, że miasto to nazywa się Whaston i że znajduje się we wschodniej części Wirginji, na prawym brzegu rzeki Potomaku; wszelako wydaje nam się rzeczą zbyteczną bliższe określenie położenia geograficznego grodu, którego szukano by napróżno na najdokładniejszych nawet mapach Stanów Zjednoczonych.

Roku . . . 12 marca, w rannych godzinach mieszkańcy Whastonu, którzy przechodzili przez Exeter street, mogli byli zauważyć wytwornego jeźdźcę, który wjeżdżając i zjeżdżając wolnym krokiem po tej nader stromej ulicy, zatrzymał się wreszcie na placu Konstytucji, mniej więcej w środku miasta.

Jeździec ów, o wybitnym typie Jankesa, typie niepozabawionym oryginalnej dystynkcji, nie mógł mieć więcej nad lat trzydzieści. Był wzrostu po-

patrz strona 19



wyżej średniego, pięknej i silnej budowy, miał rysy regularne, włosy ciemne, zarost zaś kasztanowaty, którego ostre zakończenie wydłużało twarz o wargach starannie wygolonych. Szeroki jego płaszcz, spadający poniżej kolan, przykrywał grzbiet konia. Kierował swym dziarskim rumakiem zręcznie i śmiało. Cała jego postać wykazywała człowieka stanowczego, a zarazem impulsywnego. Gdyby zaszła tego potrzeba, nie zawahałby się w wyborze między pragnieniem a obawą, jak to się zdarza zwykle u ludzi o słabym charakterze. Wreszcie uważny widz dostrzegłby w nim wrodzoną niecierpliwość, z trudem ukrywającą się pod powłoką zimnej obojętności.

Dlaczego jeździec ów gościł w mieście, gdzie nikt go nie znał, gdzie nikt go nigdy nie widział?... Czy bawił tu przejazdem, czy też miał w niem pozostać dłużej? — W tym ostatnim wypadku miałby tylko kłopot z wyborem hotelu. Pod tym względem Whaston było niezrównane. W żadnym innem środowisku Stanów Zjednoczonych lub gdzie indziej nie spotkałby lepszego przyjęcia, usługi, stołu, tak skończonego komfortu przy równie umiarkowanych cenach. Ubolewać należy, że mapy nie wskazują ściślej geograficznego położenia tego niepospolitego miasta.

Nie, przybysz ten nie miał zamiaru zatrzymać się dłużej w Whaston, a zachęcające uśmiechy właścicieli hotelów nie wzruszały go wcale. Zato-piony w swych myślach, obojętny na otoczenie ob-jeżdżał plac Konstytucji, na którym pośrodku było

płaskie wzniesienie, nie podejrzewając nawet, że przechodnie przypatrują mu się ciekawie.

A tymczasem ciekawość publiczności była niezwykle podniecona. Odkąd ów jeździec zjawił się był na horyzoncie whaston'skim, właściciele i służba zamieniali, stojąc na progach domów, mniej więcej takie uwagi:

— Jaką drogą wjechał?

— Przez Exeter street.

— A skąd przybywa?

— Od strony przedmieścia Wilcox.

— Już dobre półgodziny jak objeżdża plac.

— Zapewne czeka na kogoś.

— Być może. I to z pewnego rodzaju niecierpliwością!

— Spogląda ustawicznie w stronę Exeter street.

— Tędy przybędzie.

— Ale kto?... On czy ona?

— Otóż to... dalibóg, ma piękną postawę!...

— A zatem schadzka?

— Tak, schadzka, tylko nie ta, którą masz na myśli.

— Skąd wiesz?

— Oto nieznajomy już trzy razy przystawał przed domem mr.¹⁾ John Proth'a...

— Ponieważ zaś mr. John Proth jest sędzią w Whaston...

— Zatem ten pan ma jakąś sprawę.

¹⁾ mr. — mister znaczy pan, mrs. — mistress — pani, miss — panna.

— A jego przeciwnik spóźnia się...

— Masz słuszość.

— Dobrze! sędzia Proth pogodzi ich i pojedna w okamgnieniu.

— Zręczny to człowiek.

— I zacny również.

Być może, iż był to istotny powód obecności jeźdźca w tem mieście, zatrzymywał się bowiem kilkakrotnie, nie schodząc z konia, przed domem mr. John Proth'a. Spoglądał na drzwi, spoglądał na okna, poczem stawał nieruchomy, jak gdyby wypatrywał, czy kto się nie zjawi na progu domu, dopóki koń, rzucając się niecierpliwie, nie zmuszał go do dalszej jazdy.

Otóż, gdy jeszcze raz tam przystanął, drzwi domu otworzyły się szeroko i na ganku zjawił się jakiś człowiek.

— Mr. John Proth, tak przypuszczam?... — rzekł jeździec, uchylając kapelusza.

— We własnej osobie — odpowiedział sędzia.

— Pozwoli pan, że zadam panu pytanie, które wymagać będzie zwięzłej odpowiedzi: tak, czy nie?

— Mów pan.

— Czy nie pytał się kto pana dziś rano o mr. Seth Stanford'a?

— O ile wiem, to nie.

— Dziękuję.

Wymówiwszy to słowo, skłonił się po raz wtóry i popuściwszy trochę cugli, zwrócił stępa ku Exeter street.

— Teraz — tak zawyrokowali wszyscy — nie ulegało już żadnej wątpliwości, że ten nieznajomy miał sprawę z mr. John Proth'em. Ze sposobu zaś, w jaki zadał pytanie, wnioskować było można, iż to on sam był Seth Stanford'em, który pierwszy przybył na umówioną schadzkę. Ale nasuwała się nowa zagadka, zarówno zajmująca jak i pierwsza. Czy minęła godzina schadzki i czy jeździec opuści miasto na zawsze?

Czytelnik uwierzy nam łatwo, gdyż jesteśmy w Ameryce, wśród narodu, który ze wszystkich narodów najbardziej jest pochopny do zakładów, że zaczęto się zakładać o to, czy przybysz wróci niebawem, czy też odjedzie na zawsze. Wprawdzie stawki służby hotelowej i ciekawych przechodniów ograniczały się do pół dolara, a nawet do pięciu lub sześciu centów, ale przegrywający, wszyscy ludzie bardzo szanowani, zmuszeni byli oddać je na korzyść wygrywających.

Co zaś do sędziego John Proth'a, ten zadowolił się spojrzeniem rzuconem w stronę odjeżdżającego jeźdźca, który zawrócił konia ku przedmieściu Wilcox. Sędzia John Proth był filozofem — tak, ten światły przedstawiciel sądownictwa miał za sobą pięćdziesiąt lat mądrości i filozofji, pomimo że nie liczył więcej nad pół wieku, innemi słowy on już przyszedł na świat mędrce i filozofem. Dodać należy, że pozostając w stanie kawalerskim, co również stanowi niezaprzeczony dowód jego mądrości, nie miał żadnej troski życiowej, a ten

brak, przyznać musimy, znakomicie ułatwia zadanie zastosowania poglądów filozoficznych. Urodzony w Whaston, nie opuszczał prawie nigdy rodzinnego miasta; był nie tylko kochanym, lecz i poważanym przez swych podwładnych, którzy wiedzieli, iż nie ubiega się o zaszczyty.

Prawość była jego przewodniczką. Zawsze pobłażliwie traktował słabość, a nawet błędy bliźnich. Załatwiał sprawy przed nim wytoczone, godzić przeciwników stojących przed jego skromnym sądem, usuwać tarcia nieuniknione w każdym ugrupowaniu społecznym, nawet najbardziej udoskonalonem, w ten sposób rozumiał swoje posłannictwo.

John Proth cieszył się względnym dobrobytem. Zajmując urząd sędziego, czynił to raczej z upodobania i nie ubiegał się o wyższe stanowisko. Pragnął spokoju dla siebie i innych. Dobre stosunki z ludźmi uważał przede wszystkim za swój własny interes. Chodził wcześniej spać, wstawał również wcześniej. Czytywał ulubionych autorów Starego i Nowego Świata, zadowolając się natomiast odczytywaniem jednego codziennego pisma „Whaston News”, które zawierało więcej ogłoszeń niż polityki. Codziennie odbywał jedno lub dwugodzinną przechadzkę, podczas której kapelusze przechodniów pracowały bez przerwy, co zmuszało go ze swej strony do odnawiania swego co trzy miesiące. Z wyjątkiem tych przechadzek i czasu poświęconego urzędowaniu, nie opuszczał wygodnego i spokojnego domu, oddając się z zamiłowa-

niem uprawie kwiatów w swym ogrodzie, które wynagradzały jego starania, czarując go świeżością swych barw i swą rozkoszną wonią.

Po tem dorywczem naszkicowaniu postaci mr. Johna Protha i jego sposobu bycia, zrozumiemy, dlaczego wyżej wspomniany sędzia nie zainteresował się zbytnio pytaniem, zadaniem mu przez nieznajomego jeźdźca. Gdyby ten zamiast zwracać się do sędziego, zwrócił się był do jego starej służącej Kate, pytanie to niezawodnie odniosłoby inny skutek. Przedewszystkiem dopytywałaby się, kim jest ów Seth Stanford, następnie, co ma odpowiedzieć w razie gdyby kto dowiadywał się o jego osobę. A może godna Kate nie byłaby się powstrzymała od ciekawego pytania, czy nieznajomy nie zechce wrócić przed czy po południu do domu mr. John Proth'a.

Mr. John Proth zaś nie byłby sobie nigdy wybaczył tej niepowściągliwości, do wybaczenia u służącej, a do tego kobiety. Nie, pan sędzia John Proth, nie zauważywszy nawet, że obecność, następnie zaś odjazd nieznajomego zwróciły uwagę gapiów na ulicy, spokojnie zamknął drzwi i wrócił do swego ogrodu, aby w dalszym ciągu podlewać róże, irysy, geranje i rezedy.

Gawiedź nie poszła za jego przykładem i nie opuściła stanowiska.

Tymczasem jeździec dążył ulicą Exeter, której koniec górował nad zachodnią częścią Whastonu, do przedmieścia Wilcox, połączonego ze środkiem

miasta tą właśnie ulicą. Tu zatrzymał konia i nie zsiadając, zaczął się rozglądać dokoła. Stąd bowiem mógł widzieć okolicę w promieniu jednej mili, a wodząc wzrokiem po krętej, trzymilowej drodze, dojrzeć miasteczko Steel, które za rzeką Potomak zarysowywało się swemi dzwonnicyami na horyzoncie. Napróżno jednak wzrok błdził po tej drodze. Nie spostrzegł na niej nikogo. Stał tak z dziesięć minut, udzielając swego zniecierpliwienia koniowi, który zaczął się rzucać niespokojnie. Wreszcie ściągnął uzdę i zwolna zawrócił na Exeter street, po raz piąty w stronę placu.

— Ostatecznie — mówił do siebie — nie jest to spóźnienie... Wszak spotkać się mamy o dziesiątej minut siedm, jest zaś żaledwie pół do dziesiątej... odległość, dzieląca Whaston od Steel, skąd ma przybyć, jest równa odległości Whastonu do Brial, skąd sam przybyłem, wystarczy zaś nato niespełna dwadzieścia minut... Droga jest piękna, czas pogodny, a nie słyszałem o żadnym wylewie rzeki, któryby most uszkodził... Niema zatem żadnej przeszkody... Jeżeli się nie stawi na umówioną godzinę, to znaczy, że taka była jej wola. — Zresztą punktualność polega na stawieniu się na godzinę; nie zaś na za wczesnem przybyciu... Właściwie, to ja jestem niepunktualny, gdyż stawilem się zbyt wcześnie, jak na statecznego człowieka... To prawda, lecz z drugiej strony, sama grzeczność, jeżeli nie uczucie, nakazywała, ażebym stawiał się pierwszy!

Monologował w ten sposób, zjeżdżając ulicą Exeter, aż póki kopyta końskie nie uderzyły znów o bruk placu.

Oczywiście ci, co twierdzili, iż powróci, wygrali zakład. To też, gdy przejeżdżał wzdłuż hoteli, jedni witali go przyjaźnie, drudzy — wzruszeniem ramion.

Wreszcie dziesiąta wybiła na miejskim zegarze. Jeździec wstrzymał konia, policzył uderzenia zegara i wyjąwszy zegarek z kieszeni, stwierdził zgodność obu.

Siedm minut brakowało do chwili naznaczonej na schadzkę.

Seth Stanford powrócił do wylotu ulicy Exeter. Widocznie ani on, ani jego koń nie mogli zachować spokoju.

Publiczność dość liczna zalegała w tej chwili ulicę. Lecz Seth Stanford zwracał całą swą uwagę tylko na tych, którzy schodzili z jej pochyłości, pomijając zupełnie wchodzących. Exeter street jest o tyle długa, że dla przebycia jej pieszo użyć trzeba dobrych dziesięciu minut czasu, powozem jednak lub konno można ją przebyć w trzy lub cztery minuty.

Otóż jeźdźca nie obchodzili wcale przechodnie. Nawet ich nie widział. Gdyby najlepszy przyjaciel szedł mimo, byłby go nie dostrzegł. Osoba bowiem, na którą czekał, przybyć mogła tylko konno lub pojazdem.

Czy zdąży na czas? brak tylko trzech minut, właśnie tyle, ile potrzeba dla przejechania Exeter street, tymczasem żaden wehikuł nie ukazywał się

zdaleka, ani motocykl, ani rower, ani samochód, który robiąc ośmdziesiąt kilometrów na godzinę, stanąłby jeszcze przed czasem. Seth Stanford spojrzął na Exeter street.

— Jeżeli nie zjawi się — wyszeptał z błyskiem w oczach — o dziesiątej minut siedm, nie ożenię się z nią.

Jak gdyby odpowiedź na to oświadczenie rozległ się tętent konia w górnej części ulicy. Na pięknym koniu, prowadząc go z wdziękiem i pewnością, galopowała młoda kobieta. Przechodnie usuwali się z drogi, tak że bez przeszkód dotrzeć mogła do placu.

Seth Stanford poznał w niej oczekiwaną osobę. Oblicze jego powróciło do dawnego spokoju. Nie wymówił ani słowa, nie poruszył się nawet. Ściągając konia, stępą odjechał przed dom sędziego.

To wystarczyło, aby znów pobudzona została ciekawość publiczności, na którą nieznajomy wcale nie zwracał uwagi.

W kilka sekund później amazonka dotarła do placu, i koń, pokryty pianą zatrzymał się o dwa kroki od drzwi domu sędziego.

Nieznajomy zdjął kapelusz, mówiąc:

— Witam miss Arkadję Walker.

— A ja mr. Seth Stanford'a — odrzekła Arkadja Walker, kłaniając się z wdziękiem.

Czytelnik uwierzy, gdy powiemy, że tłum nie spuszczał z oka tej nieznanej pary, mówiąc między sobą: „Jeżeli tu przybyli dla jakiejś sprawy, dobrze

byłoby, ażeby ta sprawa skończyła się pomyślnie dla obojga. — Nie ulega wątpliwości, czyż mr. Proth nie jest człowiekiem zręcznym? — A jeżeli oboje są wolni, najlepiej byłoby, gdyby się skończyła małżeństwem.”

W ten sposób rozmawiano i puszczano wodze domysłom.

Ale ani Seth Stanford, ani miss Arkadja Walker nie zwracali uwagi na ciekawość, raczej krępującą, której byli przedmiotem.

Już Seth Stanford miał zejść z konia, aby zastukać do drzwi, gdy te otworzyły się i na progu ukazał się mr. John Proth, za nim zaś tym razem stara służąca Kate.

Usłyszawszy odgłos kopyt końskich, opuścili swoje zajęcia, on — ogrodowe, ona — kuchenne, chcąc się dowiedzieć, co się stało.

Seth Stanford pozostał przeto na koniu, zwracając się zaś do sędziego rzekł:

— Panie sędzio John Proth, jestem Seth Stanford z Bostonu, Massachusetts.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana, mr. Seth Stanford!

— A to miss Arkadja Walker z Trentonu, New-Jersey.

— Bardzo rad z zaszczytu poznania miss Arkadji Walker!

Mr. John Proth, spojrzawszy na nieznajomego, zwrócił swój wzrok z zajęciem ku nieznajomej.

Miss Arkadja Walker była czarującą osobą, przeto czytelnik będzie nam wdzięczny, gdy opis jej podamy pokrótce. Wiek — lat dwadzieścia cztery; oczy — jasnoniebieskie; włosy — ciemno-kasztanowate; pleć — niezwykle świeża, opalona nieznacznie powiewem wiatru; zęby białe i równe; wzrost — powyżej średni; kibić — zachwycająca; postawa — rzadkiej wytworności, gibka i nerwowa równocześnie. W stroju amazonki wdzięcznie poddawała się ruchom konia, który przebierał nogami niecierpliwie na podobieństwo konia Seth Stanford'a. Jej ręce w cienkich rękawiczkach obchodziły się zręcznie z cuglami, a znawca odgadłby w niej mistrzynię konnej jazdy. Cała jej postać wyrażała niezmierną dystynkcję, z tem „czemś nieuchwytnem“, właściwem wyższej klasie Stanów Zjednoczonych, którą możnaby nazwać arystokracją amerykańską, gdyby ta nazwa nie stawała w sprzeczności z instynktem demokratycznym rodowitych mieszkańców Nowego Świata.

Miss Arkadja Walker, rodem z New-Jersey, nie mając bliższych krewnych, była panią swych czynów, będąc zaś majątkowo niezależną i obdarzoną duchem awanturniczym młodych Amerykanek, wiodła życie zgodne ze swemi upodobaniami. Zwiedziwszy od lat wielu główne kraje Europy, zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje w Paryżu, Londynie, Berlinie, Wiedniu czy Rzymie. A o tem wszystkim, co widziała podczas swoich nieustających podróży, rozmawiać mogła z Francuzami,

Niemcami, Anglikami i Włochami w ich własnym języku. Wychowana pod troskliwym okiem nieżyjącego już dziś opiekuna, otrzymała bardzo staranne wykształcenie. Nawet dziedzina interesów nie była jej obca, czego dowody składała, zarządzając swym majątkiem z niezwykłą znajomością rzeczy.

To, co powiedzieliśmy o miss Arkadji Walker, zastosować dałoby się w równej zupełnie mierze do mr. Seth Stanford'a. Również niezależny, bogaty, zamiłowany w podróżach, objechał świat cały, poświęcając bardzo mało czasu rodzinnemu miastu Boston. Zimą był gościem starego kontynentu i wszystkich jego miast stołecznych, gdzie często spotykał swoją awanturniczą towarzyszkę. Latem wracał do rodzinnego kraju, do miejscowości kąpielowych, gdzie się zbierały rodziny bogatych Jankesów. I tam również spotykał miss Arkadję Walker.

Wspólne upodobania zbliżyły wkrótce dwie te istoty, młode i dzielne, o których gawiedź uliczna obu płci tak trafnie zawyrokowała, że są stworzeni jedno dla drugiego. I w samej rzeczy, czyż spragnieni oboje podróży, oboje żądni znalezienia się tam, gdzie jaki wypadek z życia politycznego czy wojskowego podniecał uwagę publiczną, nie mieli odpowiadać sobie? Nie można się dziwić przeto, że mr. Seth Stanford i miss Arkadja Walker przyszli stopniowo do wniosku złączenia swych dwóch istnień, co zresztą nie wpłynęłoby wcale na ęnzmia

przyzwyczaję. Nie byłyby to już dwa okręty, płynące razem, ale jeden jedyny doskonale zbudowany, zaopatrzony i urządzony dla podróży po wszystkich morzach kuli ziemskiej.

Nie! nie proces to, nie sprzeczką, nie załatwienie spraw majątkowych spowodziło Seth Stanford'a i miss Arkadję Walker przed dom sędziego tego miasta. Nie! po dokonaniu wszystkich prawnych formalności przed odpowiednimi władzami Massachusetts i New-Jersey nazaczyli sobie schadzkę w Whaston, tegoż dnia, 12 marca, tejże godziny, o dziesiątej minut siedm, aby spełnił się akt, który według zdania amatorów ma być najważniejszym aktem życia ludzkiego.

Po wyżej wspomnianem przedstawieniu się mr. Seth Stanford'a i miss Arkadji Walker, nie pozostawało nic więcej mr. John Proth'owi, jak spytać się o cel ich przybycia.

— Seth Stanford pragnie zostać małżonkiem miss Arkadji Walker — rzekło jedno z nich.

— A miss Arkadja Walker pragnie zostać małżonką Seth Stanford'a — dodało drugie.

Sędzia skłonił się, mówiąc:

— Jestem do pańskiego rozporządzenia, mr. Stanford, i do pańskiego, miss Arkadjo Walker.

Młodzi ludzie skłonili się z kolei.

— Kiedy chcielibyście państwo przystąpić do tego aktu? — spytał mr. John Proth.

— Natychmiast... o ile to panu dogadza — odpowiedział Seth Stanford.

— Ponieważ mamy zamiar opuścić Whaston z chwilą, gdy zostanie mrs. Stanford — oświadczyła miss Arkadja Walker.

Mr. John Proth wyraził całą swą postawą, o ile on, a z nim całe miasto żałują, iż nie mogą dłużej gościć w murach Whastonu tej pięknej pary, która swą obecnością przynosi mu zaszczyt.

Poczem dodał, cofając się o kilka kroków, aby wstęp do drzwi uczynić wolnym:

— Jestem na wasze rozkazy.

Ale mr. Seth Stanford zatrzymał go ruchem ręki.

— Czy koniecznie musimy zejść z koni?

Mr. John Proth zastanowił się chwilę.

— Bynajmniej — odrzekł. — Można równie dobrze wziąć ślub na koniu jak pieszo.

Trudno było spotkać sędziego mniej wymagającego, nawet w tym oryginalnym amerykańskim kraju.

— Jedno jeszcze pytanie — rzekł mr. John Proth. — Czy wszystkie formalności, wymagane przez prawo, są załatwione?

— Wszystkie — odrzekł Seth Stanford.

Przyczem podał sędziemu podwójne pozwolenie w należytej formie, zredagowane przez kancelarje sądowe Bostonu i Trentonu po uiszczeniu stosownej opłaty.

Mr. John Proth wziął papiery, włożył na nos okulary w złotej oprawie i przeczytał uważnie wszystkie akta, które były w porządku i zaopatrzone urzędową pieczęcią.

— Papiery te są w porządku — powiedział — gotów jestem wydać państwu świadectwo ślubne.

Niech się czytelnik nie dziwi, że liczba ciekawych wzrosła znacznie i że cisnęli się dokoła pięknej pary, jak gdyby chcąc być świadkami ślubu, dokonanego w warunkach, które wydałyby się nieco osobliwe w każdym innym kraju. Ciekawością tą jednak nie chcieli przynieść ujmy ani sobie ani obojgu narzeczonym.

Mr. John Proth wszedł po schodach na ganek i głosem donośnym rzekł:

— Mr. Seth Stanford, czy zgadzasz się pojąć za małżonkę miss Arkadję Walker?

— Tak.

— Miss Arkadjo Walker, czy zgadzasz się pojąć za małżonka mr. Seth Stanford'a?

— Tak.

Sędzia skupił się przez sekund kilka i z powagą fotografa, mającego wymówić znane słowo „proszę o spokój”, wyrzekł:

— W imię prawa, mr. Seth Stanford z Bostonu i miss Arkadjo Walker z Trentonu, oświadczam, że jesteście zaślubieni.

Małżonkowie zbliżyli się i podali sobie ręce jakby dla przypieczętowania aktu w tej chwili dokonanego.

Następnie każde z małżonków wręczyło sędziemu pięćset dolarów.

— Jako honorarjum — rzekł mr. Seth Stanford.

— Dla biednych — rzekła mrs. Arkadja Stanfort.

Poczem oboje, skłoniwszy się sędziemu, popuścili cugle koniom, udając się w stronę przedmieścia Wilcox.

— A to dobrze!... A to dobrze — wymówiła wkońcu Kate, tak zaskoczona tym nagłym występem, że dziesięć minut stała bez ruchu.

— Cóż na to powiesz, Kate? — spytał mr. John Proth.

Stara Kate puściła róg fartucha, który skręcała przez ten czas jak powroźnik zawodowy.

— Mojem zdaniem — rzekła — ci ludzie, to warjaci, panie sędzio.

— Zapewne, czcigodna Kate, zapewne — potwierdził mr. John Proth, wracając do swej polewaczki. — Ale cóż w tem dziwnego?... Czy ci, co się żenią, nie są poniekąd zawsze warjatami?

Na bezrobocie 5 gr.
21.0 gr.

ROZDZIAŁ DRUGI,

który wprowadza czytelnika do domu Dean Forsyth'a, zaznajamia go z siostrzeńcem Dean Forsyth'a Francis Gordon'em oraz ze starą jego służącą Mitz.

— Mitz!... Mitz!...

— Słucham cię, synu!

— Co jest wujowi Dean?

— Nie wiem.

— Może jest chory?

— O, co to, to nie! ale jak dłużej tak potrwa, to będzie nim niezawodnie.

Rozmowę tę prowadził dwudziestotrzyletni młodzieniec z kobietą sześćdziesięciopięcioletnią w jadalnym pokoju pewnego domu na Elisabeth street, właśnie w tem mieście Whaston, w którym odbył się najoryginalniejszy ślub na modłę amerykańską.

Dom ten należał do mr. Dean Forsyth'a. Mr. Dean Forsyth miał lat czterdzieści pięć i wyglądał na swój wiek. Duża rozczochrana głowa, małe oczy w okularach, ramiona nieco pochylone, potężna szyja, owiązana dwa razy i to w każdej porze roku krawatem, sięgającym aż do podbródka, marynarka szeroka i pomięta, kamizelka opadająca, niezapięta nigdy na dolne guziki, spodnie zbyt

krótkie, nie pokrywające trzewików zbyt obszernych, mycka z kutasem na włosach siwawych i niesfornych, twarz o tysiącznych zmarszczkach, zakończona bródką na sposób północno-amerykański, charakter pobudliwy, graniczący o dwa milimetry od gniewu, oto postać mr. Dean Forsyth'a, o którym dopiero co mówił jego siostrzeniec Francis Gordon do swej służącej Mitz w rannych godzinach 21 marca.

Francis Gordon, straciwszy wcześniej rodziców, wychowywał się u mr. Dean Forsyth'a, brata swej matki, po którym odziedziczyć miał dość znaczny majątek; nie uważał się jednak dlatego zwolnionym od pracy, co mr. Forsyth podzielał w zupełności. Po skończeniu wydziału filozoficznego w sławnym uniwersytecie harwardzkim, wstąpił na prawo i obecnie był adwokatem w Whaston, najlepiej broniącym spraw wdów, sierot i murów granicznych. Znał doskonale prawo i sądownictwo, i bronił spraw płynnie, głosem wzruszonym i przejmującym. Wszyscy jego koledzy, młodzi i starzy, szanowali go i nie miał wcale nieprzyjaciół. Bardzo miłej powierzchowności, posiadacz pięknych, kasztanowatych włosów i oczu czarnych, manier wytwornych, dowcipu bez złośliwości, usłużny bez przesady, wcale zręczny w różnego rodzaju sportach, którym się oddaje młodzież amerykańska, dlaczego nie miałby być zaliczonym do najdystyngowańszych młodzieńców tego miasta i dlaczego nie miałby kochać czarującej Jenny Hudelson, córki doktora Hudelson i jego żony, urodzonej Flory Clarish?...

40
przepraszam pomyliłem się strona 40

4

Ale nie pora jeszcze zwracać uwagę czytelnika na tę pannę. Będzie przyzwoiciej, jeżeli wejdzie na scenę w otoczeniu rodziny, a chwila ta jeszcze nie nadeszła. Niebawem zresztą nadejdzie. Wszelako narzucić musimy sobie ścisłą metodę w rozwijaniu tego opowiadania, które wymaga wyjątkowej dokładności.

O Francis Gordonie dodamy, że mieszkał w domu na Elisabeth street i że zapewne nie opuści go aż w dniu swego ślubu z miss Jenny... Ale, powtarzamy, należy zostawić miss Jenny Hudelson tam gdzie jest, i objaśnić tylko czytelnika, że dobra Mitz była powierniczką siostrzeńca swego pana i że kochała go jak syna, albo lepiej jak wnuka, gdyż babki trzymają zwykle rekord w uczuciu macierzyńskim.

Mitz, wzorowa sługa, której napróżnoby dziś szukano, należała do gatunku obecnie nieistniejącego, pochodzącego równocześnie od psa i kota: od psa, ponieważ przywiązana była do swoich panów, od kota, ponieważ przywiązana była do domu. Jak łatwo można to sobie wyobrazić, Mitz żyła na stopie poufałej z mr. Dean Forsyth'em. Kiedy nie miał słuszności, mówiła mu to bez ogródki, chociaż w języku dziwacznym, którego smakowitą fantazję trudno będzie nawet w przybliżeniu wyrazić w innym języku. Jeżeli nie chciał jej słuchać, pozostawało mu jedno: opuścić plac boju, wrócić do swego gabinetu i zamknąć się na dwa spusty.

Zresztą, mr. Dean Forsyth nie potrzebował się obawiać, że pozostanie w nim sam. Był pewien,

iż zastanie tam towarzysza, który w ten sam sposób unikał nauk i admonicyj czcigodnej Mitz.

Osobnik ten, mieniący się Omikronem, zawdzięczał swą nazwę niskiemu wzrostowi i prawdopodobnie nazwany byłby Omega; gdyby nie jego zbyt niska postawa. Mając lat piętnaście, był wysoki na cztery stopy i sześć cali i od tej pory nie wyrósł wcale. Istotne jego nazwisko było Tom Wife i jako taki przybył w tym wieku do domu mr. Dean Forsyth'a jeszcze za czasów ojca tegoż, w charakterze młodego służącego, obecnie zaś przekroczył pięćdziesiątkę; czytelnik wywnioskuje z tego, że trzydzieści pięć lat pozostawał w służbie u wuja Francis Gordon'a.

Ważną jest rzeczą wiedzieć, na czem polegała ta służba. Otóż polegała ona na tem, że pomagał mr. Dean Forsyth'owi w jego pracach, do których zapalał się niemniej od swego pana.

A zatem Dean Forsyth pracował?

Tak, jako amator; lecz z jakim uniesieniem i zapalczywością, o tem przekonamy się niebawem.

Czem zajmował się mr. Dean Forsyth? Medycyną, prawem, literaturą, sztuką, czy też interesami, jak tylu obywateli wolnej Ameryki?

Bynajmniej.

A zatem czem? spytacie. Naukami?

Nie zgadliście. Nie naukami w liczbie mnogiej, lecz nauką w liczbie pojedynczej. Jedyne, wyłączanie tą cudowną nauką, która zwie się astronomją.

Marzył ciągle o odkryciu nowych gwiazd lub planet. Nic go albo prawie nic z tego, co się działo na powierzchni naszej kuli ziemskiej, nie obchodziło; żył w przestworzach nieskończonych. Takie robił wrażenie. Wszelako, ponieważ nie mógł w nich znaleźć ani śniadania, ani obiadu, musiał je opuszczać co najmniej dwa razy dziennie. Ale właśnie dzisiejszego ranka nie stawiał się o zwykłej godzinie, kazał na siebie czekać, i dlatego Mitz zrędziła, krzając się dookoła stołu.

— Czyż nie przyjdzie? — powtarzała.

— A Omikron czy jest z nim razem? — pytał Francis Gordon.

— Jest zawsze ze swoim panem — odparła służąca. — A jednak już mi nóg nie starczy (tak, w ten to sposób, naprawdę, wyrażała się szanowna Mitz) by drapać się na jego grzędę!

Grzędą tą była ni mniej ni więcej tylko wieża, której płaski szczyt górował na dwadzieścia stóp nad dachem domu; było to obserwatorium w całym znaczeniu tego słowa. Pod galerją znajdował się okrągły pokój z czterema oknami w kierunku czterech stron świata. Wewnątrz unosiło się na podstawach kilka lunet i kilka teleskopów o rozmiarach dość znacznych, które nie mogły uskarżać się na bezczynność. Przeciwnie, należało raczej obawiać się, ażeby mr. Dean Forsyth i Omikron nie stracili wzroku wskutek ciągłego ich używania.

W tym pokoju obaj przepędzali większą część dnia i nocy, co prawda naprzemiany. Patrzyli,

natężali wzrok, bujali w przestworzach międzyplanetarnych, pobudzeni nadzieją jakiegoś odkrycia, które wślawiłoby imię Dean Forsyth'a. O ile niebo było czyste, udawało się to jako tako. Niestety! nieczęsto się to zdarzało nad częścią trzydziestego siódmego równoleżnika, przechodzącą przez Stan Wirginji. Przeróżnego kształtu i gatunku obłoki, rozpiechłe, nagromadzone, śnieżne, dżdżyste, burzliwe psuły im robotę. To też ile wyrzekań, ile gróźb wywoływało to sklepienie niebieskie, na którem wiatr szarpał na strzępy te liczne opary!

Szczególniej w ostatnich dniach marca cierpliwść mr. Dean Forsyth'a wystawiona była na ciężką próbę. Od kilku dni niebo było ustawicznie zachmurzone, doprowadzając do rozpaczny astronoma.

Tego poranka 21 marca silny zachodni wiatr pędził chmury nieomal że nad samą ziemią, pokrywając ją rozpaczliwie ciemnymi obłokami.

— Jaka szkoda! — westchnął po raz dziesiąty mr. Dean Forsyth, spróbowałwszy po raz ostatni przeniknąć gęstą zasłonę mgły. — Przeczuję, że mijamy się z jakimś niezwykle odkryciem.

— To bardzo prawdopodobne — odrzekł Omikron — ponieważ kilka dni temu zdawało mi się, że spostrzegłem na skrawku czystego nieba...

— A ja widziałem, Omikronie.

— A zatem, obaj, obaj w jednym czasie!

— Omikronie!... — zaprzeczył mr. Dean Forsyth.

— Tak, tak, niewątpliwie, pan najpierw — potwierdził Omikron, wstrząsając głową znacząco. —

Ale, kiedy spostrzegłem zjawisko, o którym mowa, zdawało mi się, że to musi być... musi być...

— A ja — oświadczył mr. Dean Forsyth — dowodzę, że to był meteor, dążący z północy na południe...

— Tak, mr. Dean, prostopadle do kierunku słońca.

— Do jego kierunku pozornego, Omikronie...

— Oczywiście pozornego.

— I to było 16-go bieżącego miesiąca.

— Szesnastego.

— O siódmej minut trzydzieści siedm, sekund dwadzieścia.

— Dwadzieścia sekund, jak to stwierdziłem na naszym zegarze.

— I odtąd nie zjawił się wcale! — zawołał mr. Dean Forsyth, grożąc niebu pięścią.

— Jakżeby mógł to zrobić? Te obłoki!... Te obłoki... te obłoki! Od pięciu dni niema kawałka błękitu na niebie, nawet na lekarstwo!

— Jest to fakt jak gdyby dokonany z umysłu, i jestem przekonany, że te rzeczy przytrafiają się mnie tylko.

— Nam — poprawił Omikron, który uważał się za współpracownika swego pana.

Co prawda, wszyscy mieszkańcy okolicy mieli również prawo uskarżać się na obłoki zaciemniające niebo. Czyli słońce świeci, czy nie, zawsze przecież świeci albo nie świeci dla wszystkich.

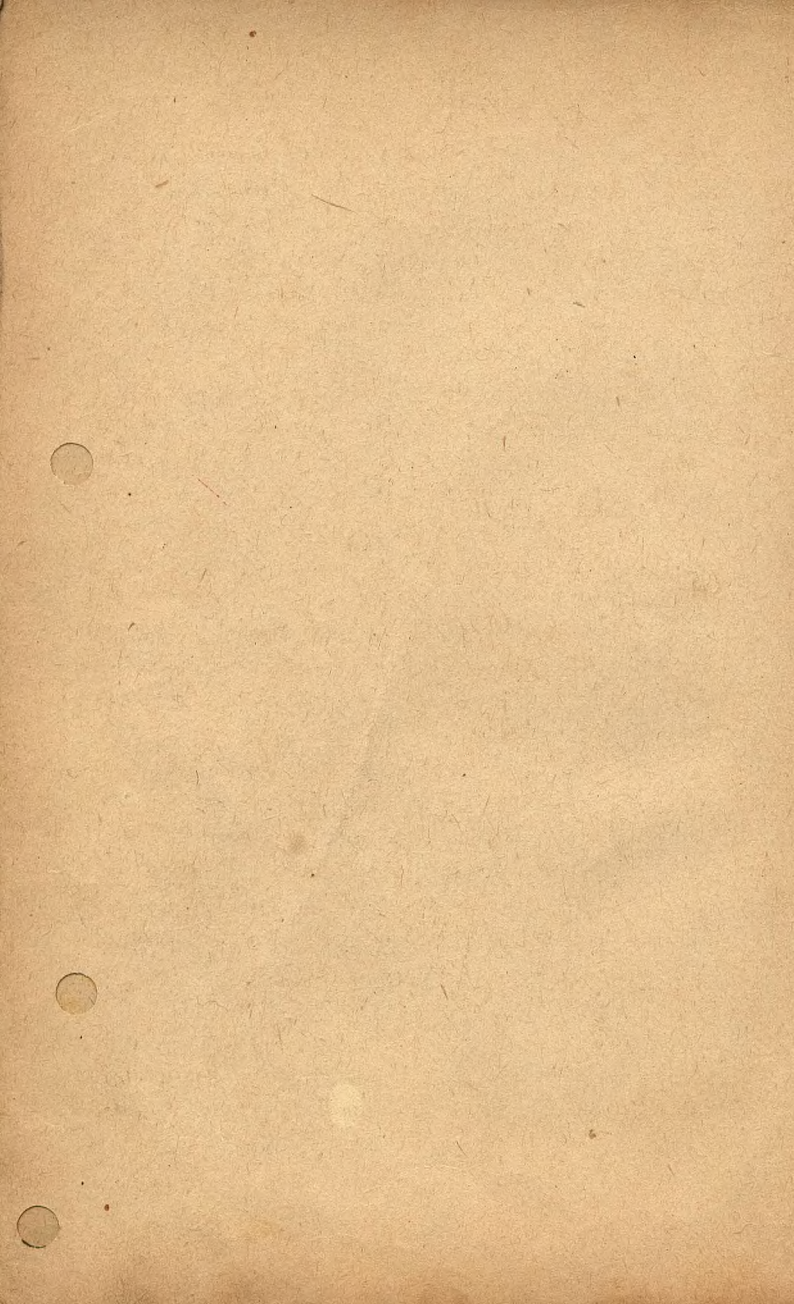
Ale, chociaż to prawo było powszechne, nikomu na myśl nie przyszło, jak mr. Dean Forsyth'owi,



Te obłoki! . . Te obłoki . . . te obłoki! Od pięciu dni
niema kawałka błękitu na niebie . . . Str. 24.

(W pogoni za meteorem.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA W POZNANIU



okazywać niezadowolenie z powodu tej otaczającej miasto mgły, z którą walczyć nie mogły nawet najpotężniejsze teleskopy i szkła najbardziej udoskonalone. A mgły te zdarzają się często w Whaston, pomimo że samo miasto leży nad przejrzystymi wodami Potomaku, nie zaś nad błotnymi wodami Tamizy.

Bądź co bądź 16 marca, kiedy niebo było czyste, cóż zobaczyli, lub też zdawało im się, iż zobaczyli pan i sługa?... Nic innego tylko meteor kulistego kształtu, szybujący prawie dokładnie z północy na południe z nadmierną szybkością, a tak świecący, iż szedł w zawody z rozproszonem światłem słońca. Wszakże, ponieważ jego odległość od ziemi była dość znaczna, można byłoby go zatem obserwować, pomimo jego szybkości, przez pewien czas, gdyby nie ta niewczesna mgła, która stanęła temu na przeszkodzie.

Od tej chwili zaczęły się wszystkie troski mr. Forsyth'a. Ukaże się li jeszcze ten meteor na horyzoncie Whastonu? czy można będzie obliczyć jego elementy, określić jego objętość, wagę, naturę? Czy jaki inny astronom nie będzie bardziej szczęśliwy i nie odnajdzie go w innej stronie nieba? Czyż Dean Forsyth, który widział go przez tak krótką chwilę, miałby prawo łączyć swoje nazwisko z tem odkryciem? Czyż ostatecznie zaszczyt ten nie przypadnie któremu z uczonych Starego lub Nowego Świata, poświęcających całe swe istnienie na badanie przestworzy dniem i nocą?

— To są lichwiarze — wołał Dean Forsyth — to są korsarze sklepienia niebieskiego!

Tego poranku 21 marca ani Dean Forsyth, ani Omikron nie mogli zdecydować się pomimo nie-sprzyjającej pogody na opuszczenie okien północnej strony. Gniew ich wzrastał, w miarę jak godziny upływały. Wreszcie przestali mówić. Dean Forsyth przebiegał wzrokiem obszerny horyzont, zamknięty z tej strony nierówną linią wzgórków Serbor, nad którymi dość silny wiatr rozpędzał masę szarzącą obłoków. Omikron wspinał się na końcach palców, by zwiększyć swój promień widzenia. Jeden z nich skrzyżował ręce, przytłaczając piersi zaciśniętymi pięściami. Drugi skurczonymi palcami uderzał o deskę okna. Kilka ptaków wznosiło się chyżo ze świegotem, jak gdyby wyśmiewając się z pana i sługi, że są przygwożdżeni do powierzchni ziemi!... Ach! gdyby mogli podążyć za temi ptakami i w kilku skokach przebyć tę warstwę oparów, może wtedy spostrzegliby ciało niebieskie, szybujące w oślepiającym blasku słońca!

W tej chwili zastukano do drzwi. Dean Forsyth i Omikron, zatopieni w swych myślach, nie zwrócili na to uwagi.

Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się Francis Gordon.

Dean Forsyth i Omikron nie odwrócili się nawet.

Siostrzeniec podszedł do wuja i dotknął zlekka jego ramienia.

Mr. Dean Forsyth spojrział na siostrzeńca wzrokiem tak dalekim, jakby wracał z Syriusza, a co najmniej z księżycy.

— Co się stało? — spytał.

— Wuju, śniadanie na stole. Czekamy.

— Ach! doprawdy — mówił Dean Forsyth — czekacie? My również czekamy.

— Czekacie, ale na co?

— Na słońce — oświadczył Omikron, a słowa służki potwierdził głową pan jego.

— Ależ, wuju, przypuszczam, że nie zaprosiłeś słońca na śniadanie, możemy więc je spożyć bez niego.

Cóż na to odpowiedzieć? Jeżeli promienne ciało niebieskie nie ukaze się dzień cały, czyż mr. Dean Forsyth miałby pościć do wieczora?

Kto wie... postawa astronoma bowiem nie wyrażała chęci zadośćuczynienia zaproszeniu siostrzeńca.

— Wuju — nalegał Francis — Mitz się niecierpliwi, uprzedzam cię.

Mr. Dean Forsyth oprzytomniał odrazu. Wiedział dobrze, co znaczy niecierpliwość dobrej Mitz. Ponieważ wysłała posłańca, a zatem sprawa jest ważna, należało zejść niezwłocznie.

— Któraż to godzina? — spytał.

— Czterdzieści sześć minut na dwunastą — odpowiedział Francis Gordon.

Rzeczywiście czas śniadania minął, gdyż zwykle wuj i siostrzeniec równo o jedenastej siadywali naprzeciwko siebie przy stole jadalnym.



— Czterdzieści sześć na dwunastą! — zawołał mr. Dean Forsyth, udając niezadowolenie, by ukryć niepokój. — Jakże Mitz mogła być tak niepunktualną!

— Ależ, wuju — rzekł Francis — po raz trzeci pukamy bezskutecznie do drzwi.

Nic nie mówiąc, mr. Dean Forsyth podążył na schody, podczas gdy Omikron, usługujący zazwyczaj do stołu, został, wyczekując słońca.

Wuj i siostrzeniec weszli do sali.

Mitz spojrzała prosto w oczy swemu panu. Ten spuścił głowę.

— A A m i k r o n?... — spytała, bo Mitz, w swej niewinności tak nazywała piątą samogłoskę alfabetu greckiego.

— Jest zajęty tam na górze — odpowiedział Francis Gordon. — Obejdziemy się dziś bez niego.

— Z przyjemnością — oświadczyła Mitz opryskliwie. — Dalibóg, może pozostać w swem s e r w a t o r j u m, ile mu się podoba. Wszystko pójdzie lepiej bez tego brudasa pierwszej klasy.

Śniadanie rozpoczęło się. Usta otwierały się tylko do jedzenia. Mitz, zazwyczaj gadatliwa przy usługiwaniu, milczała. Milczenie to ciążyło, przymus krępował. Francis Gordon rad był je przerwać, zwrócił się więc do wuja z pierwszym lepszym pytaniem:

— Czy zadowolony jesteś, wuju, z dzisiejszego poranka?

— Nie — odpowiedział Dean Forsyth. — Stan nieba nie jest sprzyjający, a ta niespodzianka szczególnie dzisiaj dała mi się we znaki.

— Czy byłbyś na tropie jakiego astronomicznego odkrycia?

— Zdaje mi się, że tak; Francis. Ale twierdzić o tem nie mogę, dopóki nowe badanie...

— A więc to jest to, panie — przerwała mu Mitz cierpko — co cię nurtuje od ośmiu dni do tego stopnia, że wrastasz w swoją wieżę i że zrywasz się nocą... Tak, trzy razy ostatniej nocy, słyszałam dobrze, ponieważ, dzięki Bogu nie zważywałam jeszcze może! — dodała w rodzaju odpowiedzi na ruch swego pana i aby zadokumentować, że nie jest jeszcze głuchą.

— Istotnie, dobra Mitz — przyznał mr. Dean Forsyth tonem pojednawczym. — Napróżno.

— Odkrycie a s t r o k o m i c z n e ! — mówiła czcigodna służąca z oburzeniem. — Gdybyś pan nawet wypił swą krew przez te rury, gdybyś nabawił się łamania w krzyżu, przerwał się lub dostał zapalenia płuc, wszystko to niemniej urządzi cię dobrze! Może gwiazdy przyjdą pielęgnować pana, a może doktor zaleci panu je połknąć w pigułkach?

Widząc, jaki obrót bierze rozmowa, Dean Forsyth postanowił nie odpowiadać. Jadł w milczeniu, lecz tak zmieszany, iż kilkakrotnie brał szklankę za talerz i odwrotnie.

Francis Gordon starał się podtrzymać rozmowę, ale z równym skutkiem, jak gdyby był na pustyni.

Wuj, osowiały, jakby go nie słyszał. Wreszcie zaczął mówić o pogodzie.

Wdzięczny temat w braku innego. Temat niewyczerpany, przystępny dla każdej umysłowości. Zresztą ta atmosferyczna sprawa obchodziła mr. Dean Forsyth'a. To też w pewnej chwili, kiedy z powodu napływających obłoków w sali jadalnej stawało się coraz ciemniej, podniósł głowę, spojrzął w stronę okna i rzucając z przygnębieniem widelec, zawołał:

— Czy te przekłete obłoki nie opuszczą nieba, choćby kosztem ulewnego deszczu?

— Dalibóg, po trzech tygodniach suszy nie byłoby to zbyt cennym dla dóbr ziemskich.

— Ziemia!... ziemia!... — szeptał mr. Dean Forsyth z tak wielką pogardą, że doczekał się następującej odpowiedzi:

— Tak, panie, ziemia. Zdaje się, że warta jest nieba, z którego zstąpić nie chcesz nigdy, nawet dla śniadania!

— Ależ, dobra moja Mitz — rzekł Francis przymilającym głosem.

Stracone zabiegi. Mitz nie była w usposobieniu pojednawczem.

— Niema żadnej „mojej dobrej Mitz” — ciągnęła tym samym tonem — nie warto pocić się, patrząc na księżyc, jeśli kto tego nawet nie wie, że deszcz pada na wiosnę. Jeżeli nie będzie padał na wiosnę, więc kiedy ma padać? pytam się.

— Wuju — potwierdził siostrzeniec — wszak istotnie to marzec, początek wiosny, trzeba się z tem zgodzić!... Ale wkrótce nastąpi lato, i niebo będzie czyste. Będiesz miał pomyślniejsze warunki do pracy! Trochę cierpliwości, wuju!

— Cierpliwości, Francis? — odparł mr. Dean Forsyth, którego czoło nie było mniej zasepione niż widnokrąg — cierpliwości! A jeżeli oddali się na taką odległość, że go dojrzeć nie będzie można?... A jeżeli on nie pokaże się wcale nad horyzontem?...

— On? — przerwała Mitz. — Jaki on?

W tej chwili rozległ się głos Omikrona:

— Panie!... panie!

— Coś nowego — zawołał mr. Dean Forsyth, odsuwając gwałtownie krzesło i kierując się ku drzwiom.

Jeszcze nie dotarł do nich, kiedy jasny promień słońca oświetlił pokój, dobywając migocące iskierki ze szklanek i butelek stojących na stole.

— Słońce!... słońce!... — powtarzał mr. Dean Forsyth, śpiesznie wchodząc na schody.

— Że Bóg na to pozwala! — mówiła Mitz, siadając na krześle. — Otóż i poszedł, a skoro się zamknie na dwa spusty ze swoim Amikronem w swem serwatorium, to można go wołać, ile wiatr wieje. Śniadanie będzie spożywał sam przy pomocy Ducha z nieba... I to wszystko dla gwiazd!...

W ten sposób wyrażała się zacna Mitz w swym kwiecistym języku. Gdyby ją nawet był słyszał,

stracona byłaby ta wymowa dla mr. Dean Forsyth'a, który zdyszany wbiegł do swego obserwatorium. Południowo - zachodni wiatr zapędził obłoki na wschód. Część nieba — aż do zenitu, gdzie ukazał się wtedy ów meteor, była czysta. Pokój zalany był promieniami słońca.

— A więc?... — spytał mr. Dean Forsyth — cóż takiego?

— Słońce — odpowiedział Omikron — lecz nie na długo, gdyż obłoki ukazują się znów na zachodzie.

— Ani chwili do stracenia! — zawołał mr. Dean Forsyth, nastawiając lunetę, podczas gdy sługa czynił to samo z teleskopem.

Z jaką gorączką nastawiali swe przyrządy około czterdziestu minut! Z jaką cierpliwością obracali śrubę, aby utrzymać pole widzenia! Z jaką drobiazgową uwagą badali wszystkie kąty i zakątki tej części sklepienia niebieskiego!... Wszak to pod tym kątem wzniesienia na prawo, a potem odchylenia zjawił się był im meteor po raz pierwszy, żeby przejść następnie nad zenitem Whastonu; byli tego pewni.

I nic, nic obecnie na tem miejscu! Cały ten skrawek nieba, nadający się tak wspaniale na miejsce przechadzki dla meteorów, był pusty! Ani śladu tego ciała.

— Nic — rzekł mr. Dean Forsyth, wycierając oczy zasze krwią.

— Nic! — westchnął Omikron, jak smutne echo.

Było już za późno, aby podejmować nowe wysiłki. Obłoki wracały, niebo zachmurzało się powtórnie. Jasny skrawek nieba znikł i to na cały dzień tym razem. Wkrótce opary zmieniły się w jednostajną brudno-szarą masę, i drobny deszcz zaczął padać. Trzeba było wyrzec się wszelkiego badania ku rozpaczcy pana i sługi.

— A jednakże — rzekł Omikron — jesteśmy pewni swego.

— Czy' jesteśmy pewni! — zawołał mr. Dean Forsyth, wznosząc ręce do nieba.

I głosem, w którym niepokój mieszał się z zazdrością, dodał:

— Jesteśmy tego aż zanadto pewni, gdyż i inni mogli go również byli widzieć... Gdybyśmy to mogli być jedyni!... Brakowałoby tylko tego, ażeby go również zobaczył on... Sydney Hudelson!

ROZDZIAŁ TRZECI,

w którym jest mowa o doktorze Sydney Hudelsonie, jego żonie, mrs. Florze Hudelson, miss Jenny i miss Loo. ich dwóch córkach.

— Gdyby tylko ten intrygant Forsyth nie uważał go również!

Oto, co mówił do siebie doktor Sydney Hudelson w ciszy swego gabinetu pamiętnego poranku 21 marca.

Był on istotnie doktorem, ale swego zawodu nie uprawiał w Whastonie, wołał bowiem poświęcać swój czas i swe zdolności szerszej i wznioślejszej dziedzinie. Żyjąc w zażyłej przyjaźni z mr. Dean Forsyth'em, zarazem był jego rywalem. Owładnięty tą samą namiętnością, istnienie swoje skupił w przestworzu niebios i jak jego przyjaciel poświęcał cały swój umysł badaniu zagadek astronomicznych wszechświata.

Doktor Hudelson posiadał znaczny majątek, który zawdzięczał sobie, jak również mrs. Hudelson, urodzonej Florze Clarish. Majątek ten, umiejętnie zarządzany, zabezpieczał jego przyszłość, jak również przyszłość dwu jego córek Jenny i Loo w wieku lat ośmnastu i czternastu. Co zaś do wieku samego doktora, to wyrażając się po lite-

racku, należałoby powiedzieć, że czterdziesta siódma zima jego życia przyprószyła śniegiem jego włosy. Wdzięczny ten obrazek wszelako jest o tyle nie na miejscu, że doktor Hudelson był tak łysy, iż walczyćby z nim nie mogła nawet brzytwa najzręczniejszego Figara.

Skryte współzawodnictwo Sydney Hudelsona i Dean Forsyth'a nie pozostało jednak bez wpływu na wzajemny stosunek obu rodzin, dotąd ściśle z sobą związanych. Zapewne nie sprzeczałyby się o pewną planetę, gwiazdę lub wogóle ciała niebieskie, których pierwsi odkrywcy są zwykle nieznanymi, a które poniekąd należą do wszystkich, ale nieraz rozmowy na temat ich własnych spostrzeżeń meteorologicznych lub astronomicznych kończyły się sporem, zamieniającym się najczęściej w sprzeczkę.

Nie ulega wątpliwości, że istnienie pani Forsyth mogło być pogorszyć tego rodzaju sprzeczki, a nawet w razie czego doprowadzić do scen godnych pożałowania. Ale na szczęście pani ta nie istniała, ponieważ ten, któryby się był z nią ożenił, pozostał kawalerem, nie mającym zamiaru, nawet we śnie, ożenić się kiedykolwiek. A zatem nie było małżonki Dean Forsyth'a, która chcąc godzić, zaogniałaby tylko sprawę do tego stopnia, iż wszelkie pogodzenie się dwóch astronomów—amatorów stałoby się niemożliwe.

Co prawda była zato mrs. Flora Hudelson, ale mrs. Flora Hudelson była wzorową żoną, wzorową matką, wzorową gospodynią, spokojnego

usposobienia, niezdolną do uczynienia krzywdy komukolwiek, nie przyprawiająca swego śniadania obmową lub swego obiadu potwarzą na wzór tylu najbardziej szanowanych dam wśród różnorodnych społeczeństw Starego i Nowego Świata.

Zjawisko niebywałe, ów wzór małżonek starał się uspokajać męża, gdy ten wracał zaperzony po jakiejś sprzeczce ze swym zażyłym przyjacielem Dean Forsyth'em. Inny jeszcze fakt niemniej szczególny, to, iż mrs. Hudelson uważała za całkiem naturalne, że mr. Hudelson zajmuje się astronomją i że wnika w głębie sklepienia niebieskiego z warunkiem wszakże, aby zstępował z góry, gdy go o to poprosi. W przeciwieństwie do Mitz, nie drażniła nigdy swego męża. Z cierpliwością czekała na niego w godzinach przeznaczonych na posiłek. Nie przeklinała, kiedy się spóźniał, ale starała się utrzymać temperaturę potraw w należytej mierze. Szanowała jego troskę, gdy był zamyślony. Interesowała się nawet jego pracami, a nawet zachęcała go słowami płynącymi z jej dobrego serca, skoro astronom gubił się bezowocnie w niezmiierzonych przestworzach.

Oto żona, jakiej życzymy wszystkim mężom, szczególnie jeżeli są astronomami. Niestety! znaleźć je można jedynie w powieściach.

Jenny, starsza córka, zdawało się, że wstępuje w ślady matki. To też Francis Gordon'owi, przyszłemu mężowi Jenny Hudelson, przypaść miało w udziale szczęście nielada. Nie uwłaczając wszyst-

kim pannom amerykańskim, wolno nam powiedzieć, że trudno było znaleźć w całej Ameryce istotę bardziej czarującą, pociągającą, bardziej obdarzoną wszelkimi zaletami ludzkimi. Jenny Hudelson była ładną blondynką, o oczach niebieskich, cerze świeżej, o ładnych rączkach, zgrabnych nóżkach i figurze, o tyle wdzięczną o ile skromną, o tyle dobrą o ile rozumną. To też Francis Gordon oceniał ją należycie, tak jak ona również Francis Gordon'a. Ponieważ zaś cała rodzina Hudelson oceniała go również, przeto ta zobopólna sympatja niebawem doprowadziła go do prośby o rękę Jenny, na którą zresztą odpowiedziano bardzo życzliwie. Młodzi ludzie byli jakby stworzeni dla siebie! Jenny, obdarzona tylu rodzinnymi zaletami, miała wnieść szczęście do ogniska domowego. Francis miał zapewnić domowi byt materialny jako przyszły spadkobierca swego wuja. Ale nie uprzedzajmy przyszłości, sama teraźniejszość bowiem przedstawia wszystkie warunki do szczęścia.

Otóż Francis Gordon jest narzeczoną Jenny Hudelson, a Jenny Hudelson jest narzeczoną Francis Gordon'a. Wkrótce się pobiorą. Obrządku ślubnego dokona wielbny O' Garth w kościele Saint-Andrew, głównym kościele tego szczęśliwego miasta Whaston.

Możecie być pewni, że kościół będzie przepełniony, dwie te rodziny bowiem cieszą się tak wielkim szacunkiem, jak wielką była ich zacność, i możecie być niemniej pewni, że najweselszą, naj

żywszą, najbardziej trzpiotowatą dnia tego będzie miłutka Loo,¹⁾ która będzie družką swej ukochanej siostry. Loo nie ma jeszcze lat piętnastu, więc przysługują jej prawa młodości, i zaręczam wam, iż z praw tych korzysta dowoli. Z punktu fizycznego biorąc, jest ustawicznym ruchem, z punktu moralnego — trzpiotką, która nie boi się nawet żartować z „planet swego tatusia”! Ale przebacza się jej wszystko, i wszystko jej uchodzi. Najbardziej zaś pobłażliwym jest doktor Hudelson, a jako jedyną karę stosuje pocałunek złożony na świeżym policzku swej uroczej dziewczeczki.

W gruncie rzeczy mr. Hudelson był zacnym człowiekiem, tylko bardzo upartym i mocno drażliwym. Z wyjątkiem Loo wszyscy liczyli się z jego dziwactwami i przyzwyczajeniami. Bardzo zapalony do swych dociekań astronomiczno-meteorologicznych, bardzo zaciekle w swych dowodzeniach, niezmiernie zazdrosny o swe prawdziwe czy rzekome odkrycia, równocześnie był najzażyłszym przyjacielem Dean Forsyth’a jak i jego najstraszniejszym rywalem. Dwóch myśliwych na wspólnem polu działania, ubiegających się o jedną rzadką zwierzynę! Wielokrotnie wynikała skłád oziębłość, która kończyłaby się sprzeczką, gdyby nie pośrednictwo dobrej mrs. Hudelson i pomoc niemałej wagi dwóch jej córek i Francis Gordon’a. Zgodny ten kwartet pokładał wielkie nadzieje zmniejsze-

¹⁾ Zdrobnienie Luizy.

nia liczby tych utarczek w mającym nastąpić związku, który połączywszy ściślej obie rodziny, wpłynie niezawodnie osłabiająco na liczbę i siłę tych przelotnych burz domowych. Kto wie nawet, czy ci dwaj astronomowie-amatorzy, złączeni serdeczną współpracą, nie zechcą również podać sobie rąk na polu swych prac astronomicznych? Dzieliliby się wówczas zwierzyną, jeżeli nie zdobyłą, to odkrytą na rozległych polach przestworza.

Dom doktora Hudelsona był jednym z najwykwintniejszych. Napróżno szukano by lepiej utrzymanej siedziby w całym Whastonie. Piękny jego pałacyk wraz z podwórzem i ogrodem, pięknymi drzewami i zieleniejącymi trawnikami położony był w środku Moriss street. Składał się z parteru i pierwszego piętra o siedmiu oknach frontowych. Nad dachem z lewej strony górowała czworograniasta wieżyca o trzydziestu metrach wysokości, zakończona tarasem z balustradą. Z jednego rogu wystawał maszt, na którym w niedzielę i dni świąteczne wywieszano chorągiew o pięćdziesięciu i jednej gwiazdach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Najwyższy pokój tej wieżycy był przeznaczony dla specjalnych prac właściciela.

Tam znajdowały się przyrządy doktora, szkła i teleskopy, o ile podczas pięknych nocy letnich nie przenosił ich na taras, skąd swobodnie widzieć mógł całe sklepienie niebieskie. Tam doktor,

wbrew przestrogom mrs. Hudelson, nabawiał się najostrzejszych katarów.

— Do tego stopnia — powtarzała nieraz Loo — że papa zarazi wkońcu katarzem swoje planety!

Ale doktor pozostawał głuchy na wszystko i nie zważając wcale na siedmio lub ośmiostopniowe mrozy, pozostawał na stanowisku, zachęcony przejrzyistością nieba.

Z obserwatorium domu na Moriss street widać było dobrze wieżę domu na Elisabeth street. Pół mili zaledwie je dzieliło, a ani pomnik nie wznosił się między niemi, ani też drzewo nie zasłaniało wzroku gałęźmi.

Nie uciekając się nawet do teleskopu, można było rozpoznać łatwo zapomocą dobrej lornetki osoby, znajdujące się na wieży lub wieżycy. Zapewne, Dean Forsyth miał coś lepszego do roboty, niż patrzeć na Sydney Hudelson'a, a Sydney Hudelson nie miał wcale zamiaru tracić czasu na obserwowanie Dean Forsyth'a. Ale było zupełnie naturalną rzeczą, że Francis Gordon rad był zobaczyć, czy miss Jenny Hudelson znajduje się na tarasie; często też oczy ich porozumiewały się przez lornetki. Myślę, że nie było w tem nic zdrożnego.

Można było z łatwością urządzić połączenie telegraficzne lub telefoniczne między obu domami. Druć przeciągnięty od jednej wieży do drugiej byłby pośrednikiem bardzo miłych zwierzeń Francis Gordon'a i Jenny Hudelson. Ale Dean Forsyth

w obserwatorium pomysłem nie strona 30



... często też oczy ich porozumiewały się przez lornetki.
Str. 40.

(W pogoni za meteorem.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA w POZNANIU



i Sydney Hudelson nie mieli równie przyjemnych tematów do rozmowy, więc też nie pomyśleli nigdy o takim urządzeniu. Być może, gdy narzeczeni się pobiorą, brak ten zostanie uzupełniony. Po połączeniu matrymonjalnem połączenie elektryczne zacieśniłoby jeszcze bardziej węzły rodzinne.

Po południu tego samego dnia, kiedy zacna ale krzykliwa Mitz dała czytelnikowi próbkę swej kwiecistej wymowy, Francis Gordon złożył swą codzienną wizytę mrs. Hudelson i jej córkom — i jej córce — poprawiała Loo, udając obrażoną. Pozwolimy sobie powiedzieć, że przyjęty był jak bóstwo domowe. Prawda, że nie był jeszcze mężem Jenny, ale Loo uważała go już za brata, a co raz zagościło w główce dziewczątka, gościło w niej na dobre.

Doktor Hudelson zaś zamknął się o tej porze w swej wieżycy i siedział tam już od czwartej rano. Spóźnił się na śniadanie tak jak Dean Forsyth, powrócił nagle na taras tak jak Dean Forsyth w chwili ukazania się promieni słonecznych. Równie zaniepokojony jak jego rywal, zdawało się, że nie myśli o odwrocie.

A tymczasem niepodobna było rozstrząsać wielkiej sprawy, która miała być rozwiązana w całym gronie rodzinnem.

— Oto mr. Francis, wieczny mr. Francis! — zawołała Loo, ujrawszy młodzieńca, wchodzącego do

salonu. — Słowo daję, nikogo tu nie widać, prócz niego!

Francis Gordon poprzestał na pogroźeniu palcem dziewczynie, poczem wszyscy zajęli miejsca, i nawiązała się rozmowa miła i poufała. Zdawało się, że wcale się nie rozstawano od wczoraj, i w istocie, myślą przynajmniej narzeczeni nie rozłączali się nigdy. Miss Loo twierdziła, że „wieczny Francis” nie opuszczał wcale ich siedziby, a jeżeli udaje, iż wychodzi wejściem ulicznym, to powraca furtką ogrodową.

Rozmawiano tego dnia o tem, o czem rozmawiano codziennie. Jenny słuchała, co mówił Francis, z powagą, nie ujmującą wcale jej wdzięku. Spoglądali na siebie z upodobaniem, mówiąc o przyszłości tak bliskiej, zdawało się, urzeczywistnienia. Dlaczegoż bowiem mieli myśleć o zwłoce? Francis Gordon znalazł już na Lambeth street ładny domek, bardzo odpowiedni dla młodego małżeństwa. Był on położony na zachód z widokiem na rzekę Potomak i niedaleko od Moriss street. Mrs. Hudelson obiecała go obejrzyć i o ile podobać się będzie przyszłej lokatorce, może będzie wynajęty w przeciągu tygodnia. Rozumie się, iż Loo będzie towarzyszyła matce i siostrze. Nie przypuszczała nawet, żeby się obeszło bez jej zdania.

— Ale, ale — zawołała nagle — a mr. Forsyth? Czy nie przyjdzie dzisiaj?

— Wuj przyjdzie o czwartej — odpowiedział Francis Gordon.

Obecność jego jest niezbędna dla rozwiązania sprawy — zauważyła mrs. Hudelson.

— Wie o tem i stawi się na czas.

— Gdyby zawiódł — oświadczyła Loo, wygrażając piastką — miałby ze mną do czynienia i nie wykupiłby się łatwo.

— A mr. Hudelson? — spytał Francis. — Wszak jest nam zarówno potrzebny jak mój wuj.

— Ojciec jest w swojej wieżycy — rzekła Jenny — zejdzie natychmiast, skoro będzie uprzedzony.

— Biorę to na siebie — odpowiedziała Loo — przelecę prędko te sześć piątr.

W istocie obecność mr. Forsyth'a i mr. Hudelson'a była nieodzowna. Czyż nie chodziło o ustanowienie daty ślubu? w zasadzie ślub miał się odbyć w jak najkrótszym czasie, ale z warunkiem, że družka będzie miała dość czasu, by przygotować sobie ładną suknię - suknię długą, jaką noszą panny dorosłe, a którą pierwszy raz nałożyć miała w tym dniu pamiętnym.

Stąd uwaga żartobliwa, na którą sobie pozwolił Francis:

— Ale gdyby ta sławna suknia nie była gotowa?

— W takim razie ślub będzie odłożony — zawyrokowała despotyczna osóbką.

Odpowiedzi tej towarzyszył taki głośny wybuch śmiechu, iż niezawodnie mr. Hudelson usłyszał go z wyżyn swej wieżycy.

Tymczasem wskazówka obeszła wszystkie minuty na zegarze, a mr. Forsyth nie zjawiał się. Napróżno Loo wychylała się z okna, skąd widzieć mogła drzwi wejściowe, mr. Forsyth'a nie było! Należało więc uzbroić się w cierpliwość — broń której użytku Loo nie znała wcale.

— A jednakże wuj obiecał mi... — powtarzał Francis Gordon—tylko od kilku dni nie wiem, co mu jest.

— Przypuszczam, że mr. Forsyth nie jest cierpiący? — spytała Jenny.

— Nie, ale stroskany... roztargniony... Nie można wydobyć zeń dziesięciu słów. Nie mogę odgadnąć, co mogło mu wpaść do głowy.

— Ułamek gwiazdy — zawołało dziewczątko.

— To samo jest z moim mężem — mówiła mrs. Hudelson. — W tym tygodniu wydaje mi się, że jest bardziej zajęтым, niż kiedykolwiek. Niepodobna go wyrwać z jego obserwatorjum. Musi się dziać coś nadzwyczajnego na niebie.

— Doprawdy — odrzekł Francis — gotów jestem w to uwierzyć, wnosząc z zachowania mego wuja. Nie wychodzi wcale; nie śpi i prawie że nie je; zapomina o godzinach posiłku.

— A to Mitz musi być dopiero zadowolona! — zawołała Loo.

— Wścieka się — oświadczył Francis — ale to nic nie pomaga. Wuj, który dotąd obawiał się kazań starej sługi, nie zwraca na nią wcale uwagi.

— To tak jak u nas — rzekła Jenny z uśmiechem. — Zdaje się, iż siostra straciła wszelki wpływ na ojca... a był niemały!

— Czyż to podobna, panno Loo? — spytał Francis tym samym tonem.

— Aż zanadto prawdziwe! — odparła dziewczynka — ale, cierpliwości... cierpliwości! Mitz i ja upomnimy się wkońcu o swe prawa.

— Co jednakże — mówiła Jenny — mogło im się obu przytrafić?

— Zapewne zgubili jakąś cenną planetę — zawołała Loo. — Gdybyż ją odnaleźli przynajmniej przed ślubem!

— Żartujemy sobie — przerwała mrs. Hudelson — a mr. Forsyth nie przychodzi.

— A lada chwila wybije pół do piątej! — dodała Jenny.

— Jeżeli wuj nie zjawi się w przeciągu pięciu minut, pójdę po niego.

W tej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych.

— Otóż i mr. Forsyth — stwierdziła Loo. — Oj, dzwoni ciągle!... Co za hałas!... Założę się, że jest zasłuchany w lot komety i nie zdaje sobie sprawy, że dzwoni!

Był to rzeczywiście mr. Dean Forsyth. Wszedł prawie natychmiast do salonu. Loo przyjęła go wymówkami.

— Z takim opóźnieniem! Pan widać chce, żeby się na niego gniewano.

— Dzień dobry, mrs. Hudelson! dzień dobry, kochana Jenny! — mówił mr. Forsyth, całując dziewczynę. — Dzień dobry, Loo — powtórzył, głaszcząc policzki dziewczęcia.

Powitanie to odbył widocznie z roztargnieniem. Jak słusznie mniemała Loo, mr. Dean Forsyth „miał głowę gdzie indziej”.

— Wuju odezwał się Francis Gordon — myślałem, że zapomniałeś o umówionej godzinie.

— Poniekąd tak, i przepraszam bardzo panią, mrs. Hudelson. Na szczęście Mitz przypomniała mi o tem na swój sposób.

— Dobrze uczyniła — oświadczyła Loo.

— Nie nękać mnie, panienczko!... Są to rzeczy ważne... Jestem może w przededniu niezwykłego odkrycia.

— To tak jak papa... — zaczęła Loo.

— Co! — zawołał mr. Dean Forsyth, zrywając się nagle, jak gdyby sprężyna wysadziła go z siedzenia — mówisz, że doktor...

— Nic nie mówimy, dobry mr. Forsyth — pośpieszyła z odpowiedzią mrs. Hudelson obawiając się, nie bez słuszności, że może zjawić się nowy powód do współzawodnictwa między mężem a wujem Francis Gordon'a.

Poczem dodała, aby przerwać niemiłe zdarzenie:

— Loo, idź po ojca.

Lekka jak ptaszek dziewczynka pobiegła do wieżycy. Bez wątpienia, jeżeli pofrunęła na schody,

zamiast wyfrunąć oknem, to dlatego że nie chciała robić użytku ze swych skrzydeł.

W minutę potem mr. Sydney Hudelson wszedł do salonu. Oblicze poważne, oko zmęczone, uderzenia do głowy grożące apopleksją.

Mr. Dean Forsyth i on zamienili uścisk ręki, spoglądając na siebie z ukosa i badawczo. Obserwowali się ukradkiem, jak gdyby nie ufali sobie.

Ale ostatecznie rodziny zebrały się w celu oznaczenia terminu ślubu, albo, mówiąc językiem Loo, połączenia dwóch gwiazd Francis i Jenny. — Chodziło więc przedewszystkiem o ustalenie tego terminu. Ponieważ wszyscy zgadzali się na to, że obrządek ślubny ma się odbyć w jak najkrótszym czasie, przeto rozmowa nie zajęła wiele czasu.

Niewiadomo nawet, czy mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson zwracali na nią wiele uwagi. Wolno nam myśleć raczej, że poszybowali gdzieś w przestrzeń, szukając jakiejś zaginionej planety, zadając sobie w duszy pytanie, czy który z nich nie był już na jej tropie.

W każdym razie nie sprzeciwiali się, aby ślub odbył się za kilka tygodni. Było to 21 marca. Data naznaczona była na 15 maja.

Tym sposobem, śpiesząc się, będzie można przygotować nowe mieszkanie.

— I skończyć moją suknię — dodała Loo z najpoważniejszą miną w świecie.

ROZDZIAŁ CZWARTY,

w którym dowiadujemy się, jakim sposobem dwa listy, wysłane jeden do obserwatorium w Pittsburgu, drugi do obserwatorium w Cincinnati, zostały wciągnięte do archiwum meteorów.

Do Pana Dyrektora Obserwatorium
w Pittsburgu, Pensylwanja.

Whaston, 24 marca.

Panie Dyrektorze!

Mam zaszczyt podać do wiadomości pana fakt następujący, który może wiedzę astronomiczną zainteresować. Rankiem 16 marca odkryłem meteor, szybujący z niesłychaną szybkością po północnej stronie nieba. Droga, którą zakreślał z północy na południe odchyłała się od południka o kąt $3^{\circ}31'$, co stwierdziłem dokładnie. Ukazał się o godzinie siódmej trzydzieści siedm minut dwadzieścia sekund, a znikł o siódmej trzydzieści siedm minut, dwadzieścia dziewięć sekund. Od tej pory pomimo najdokładniejszych poszukiwań nie mogłem się go dopatrzeć. Dlatego proszę Pana o zwrócenie uwagi na to zjawisko i przysłanie mi poświadczenia z odbioru tego listu, które w razie ponownego ukazania się meteoru zapewniłoby mi pierwszeństwo do tego cennego odkrycia.

Racz przyjąć, Panie Dyrektorze, wyrazy głębokiego poważania, z jakim pozostaje uniżony sługa
Dean Forsyth,
Elisabeth street.

Do Pana Dyrektora Obserwatorium
w Cincinnati, Ohio.

Whaston, 24 marca.

Panie Dyrektorze!

Rankiem 16 marca, między siódmą godziną minut trzydzieści siedm sekund dwadzieścia a siódmą minut trzydzieści siedm sekund dwadzieścia dziewięć miałem szczęście odkryć nowy meteor, który szybował od północy ku południu w stronie północnej nieba, a którego pozorny kierunek odchylał się od południka o kąt $3^{\circ} 31'$. Od tej pory na jego ślad nie trafiłem. Ale, jeżeliby się ukazał na horyzoncie, o czym nie wątpię, uważam za słuszne mienić się odkrywcą tego zjawiska, które zasługuje, aby je umieszczono w rocznikach astronomicznych naszych czasów. W tym celu ośmielałem się przesłać Panu ten list i będę Panu wielce obowiązany, jeżeli otrzymam od Niego poświadczenie odbioru mej odezwy.

Zechciej Pan przyjąć, Panie Dyrektorze, wraz z niskim pokłonem zapewnienie mego najgłębszego poważania

Doktor Sydney Hudelson,
17, Moriss street.

ROZDZIAŁ PIĄTY,

w którym mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson pomimo swej zaciekłości dowiadują się tylko z dzienników o odkrytym przez nich meteorze.

Na te dwa listy, polecane i zaopatrzone w potrójną pieczętę, pod adresem dyrektorów obserwatorium w Pittsburgu i obserwatorium w Cincinnati, odpowiadzano tylko pokwitowaniem i potwierdzeniem ich wciągnięcia do aktów. Odbiorcy nie wymagali nic więcej. Obaj byli pewni prędkiego powrotu meteoru. Że zjawisko mogło zniknąć w przestworzach niebieskich i nie ukazać się już w sferach podksiężycowych, tego nawet przypuszczać nie chcieli. Oczywiście, podlegając powszechnemu prawu, powróci na horyzont Whastonu; będzie można ujrzeć je znowu, określić jego współrzędne, i meteor zajmie miejsce na mapach niebieskich, ochrzczony rozgłośnem nazwiskiem odkrywcy.

Ale któż był tym odkrywcą? Nadzwyczaj drażliwa sprawa, która w kłopot wprowadziłaby nawet sprawiedliwy sąd Salomona. W razie powtórnego ukazania się meteoru obaj ubiegaliby się o zwycięstwo. Gdyby Francis Gordon i Jenny Hudelson wiedzieli o grożącym im niebezpieczeństwie,



byliby niezawodnie błagali niebiosa, aby przyczyniły się do zawarcia ich ślubu przed powrotem tego nieszczęsnego meteoru. I niemniej pewnie mrs. Hudelson, Loo, Mitz i wszyscy przyjaciele obu rodzin byliby z całego serca dołączyli swe prośby do ich błagań.

Ale nikt nie wiedział, co się święci, i pomimo wzrastającego niepokoju obu współzawodników, niepokoju stwierdzonego przez wszystkich, lecz niewytłumaczonego przez nikogo, żaden z mieszkańców domu na Moriss street oprócz doktora Hudelson'a nie dbał o to, co się dzieje w przestworzach niebieskich. Trosk nie było żadnych, zato zajęć wiele, oczywiście bardzo wiele. Wizyty i powinszowania do przyjmowania i oddawania, zawiadomienia i zaproszenia do wysyłania, przygotowania do ślubu i wybór podarunków ślubnych, wszystko to, zdaniem małej Loo, przypominało dwanaście prac Herkulesowych, nie było zaś chwili do stracenia.

— Wydanie pierwszej córki zamaż to sprawa nielada — mówiła. — Nie ma się doświadczenia. Z drugą córką pójdzie łatwiej. Wprawa już na-byta, nie potrzeba przeto obawiać się jakiegokolwiek zapomnienia. A zatem ze mną wszystko pójdzie gładko.

— Jakże! — odpowiedział Francis Gordon — panna Loo myślałaby już o małżeństwie? A czy można wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym wybranym...

— Myśl pan o ożenieniu się z moją siostrą — odpowiadała dziewczynka. — Jest to zajęcie, któ-

remu powinienes oddać się całkowicie. Zresztą nie wtrącaj się do tego, co do mnie należy!

Mrs. Hudelson, spełniając obietnicę, wybrała się do domu na Lambeth street. Liczyć na doktora byłoby szaleństwem.

— Wszystko co zrobisz, będzie dobre, mrs. Hudelson, zdaje się zupełnie na ciebie — odpowiedział, gdy proszono go, aby poszedł zobaczyć przyszłą siedzibę młodego małżeństwa. — Zresztą obchodzi to przedewszystkiem Francisa i Jenny.

— Jakto, papo, nie myślisz zejść z twej wieży nawet w dzień ślubu? — rzekła Loo.

— Ależ tak, Loo, tak.

— W surducie i w kamizelce białej, w spodniach i białym krawacie?

— Ależ tak, Loo, tak.

— A zgodzisz się zapomnieć o swoich planetach dla wysłuchania przemowy wielbnego O'Garth'a zapewne bardzo wzruszającej?

— Tak, Loo, tak. Ale jeszcze daleko do tego! A ponieważ dziś niebo jest pogodne, co w tych czasach jest rzadkością, więc idźcie beze mnie.

Mrs. Hudelson, Jenny, Loo i Francis Gordon zostawili przeto doktora przy jego lunecie i teleskopie, podczas gdy mr. Dean Forsyth, o czem nawet wątpić nie powinniśmy, stał przy swoich przyrządach na wieży przy Elisabeth street. Czy ten podwójny upór doczeka się przynajmniej nagrody, czy meteor ukaże się po raz wtóry w obiektywach ich przyrządów?

Tymczasem sympatyczna czwórka zeszła z ulicy Moriss, przeszła plac Konstytucji, gdzie spotkała się z uprzejmym ukłonem sędziego John Proth'a i weszła na Exeter street, naśladując w tem Seth Stanford'a, który kilka dni temu oczekiwał Arkadij Walker. Wreszcie dostała się na Lambeth street, gdzie znajdował się jej cel podróży.

Dom był ładny, urządzony według wszelkich wymagań nowoczesnego komfortu. Okna gabinetu i sali jadalnej wychodziły na ogród, zaledwie kilka akrów liczący, ale ocieniony kilku rozłożystymi bukami i ozdobiony kilku klombami, na których zaczęły rozkwitać pierwsze wiosenne kwiaty. Pokoje dla służby i kuchnia znajdowały się w suterenie, na modłę anglosaską.

Pierwsze piętro nie ustępowało parterowi, nie pozostawiało więc Jenny nic nadto, jak powinszować narzeczonemu szczęśliwego wyboru tej miłej siedziby.

Mrs. Hudelson wtórowała Jenny, zapewniając, że nic odpowiedniejszego znaleźćby nie można w całym Whastonie.

To pochlebne świadectwo okazało się tem bardziej usprawiedliwione, gdy weszli na ostatnie piętro. Tu królował taras obszerny i balustrada, skąd roztaczał się wspaniały krajobraz. Można objąć było wzrokiem cały bieg Potomaku, a za nim miasteczko Steel, skąd wyruszyła Arkadja Walker na spotkanie Seth Stanford'a.

Miasteczko całe nęciło wzrok dzwonniciami swych kościołów, wysokiem pokryciem dachów gmachów publicznych, zieleniejącemi wierzchołkami drzew.

— Oto plac Konstytucji — mówiła Jenny, patrząc przez lornetkę, którą, idąc za radą Francisa, byli wzięli. — Oto Moriss street... Widzę nasz dom i wieżycę i powiewającą chorągiew! Ktoś stoi na wieżycy.

— Ojciec! — stwierdziła Loo bez wahania.

— Naturalnie, że nie kto inny — oświadczyła mrs. Hudelson.

— Tak, to on — potwierdziła dziewczynka, chwytając bez ceremonji lornetkę. — Poznaję go... Posługuje się lunetą... Zobaczycie, że skieruje ją w naszą stronę!... Ach! gdybyśmy byli na księżycu!...

— Skoro widzi pani, panno Loo, swój dom, może zechce pani spojrzeć i na dom mego wuja?

— Dobrze — odparła dziewczynka, — tylko pozwól, żebym go odszukała sama... Poznam go łatwo po wieży... Musi być w tej stronie. Czekajcie... Otóż i on... Mam go.

Loo nie myliła się. Był to istotnie dom mr. Dean Forsyth'a.

— Na wieży jest ktoś!... — ciągnęła dalej po chwili milczenia.

— Bez wątpienia mój wuj — rzekł Francis.

— Ale nie jest sam.

— Z Omikronem.

— I zbytecznem byłoby pytać, czem są zajęci — dodała mrs. Hudelson.

— Tem samem, czem mój ojciec — powiedziała Jenny, z lekkim odcieniem smutku, gdyż współzawodnictwo mr. Dean Forsyth'a i mr. Hudelson'a niepokoiło ją zawsze.

Po skończonej wizycie i po wyrażeniu przez Loo jeszcze raz swego pełnego zadowolenia powrócili do siebie. Nazajutrz miano się porozumieć z właścicielem, poczem przystąpionoby do urządzenia mieszkania, aby gotowe było na 15 maja.

Tymczasem mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nie tracili ani chwili czasu. Ileż trudu fizycznego i moralnego pociągały za sobą te mozolne poszukiwania meteoru, który jakby z umysłu nie pokazywał się wcale!

Dotąd trud ten był bezowocny. Ani dniem, ani nocą nie mogli go dojrzeć na horyzoncie Whastonu.

— Czy zjawi się kiedy? — wzdychał Dean Forsyth po długiem wpatrywaniu się w szkła teleskopu.

— Zjawi się — odpowiedział Omikron z niewzruszoną pewnością. — Powiem nawet: zjawia się.

— A zatem dlaczegoż go nie widzimy?

— Dlatego że nie jest widzialny.

— To mi pociecha! — wzdychał powtórnie Dean Forsyth. — Ale wkońcu, jeżeli jest niewidzialny dla nas, to chyba musi być niewidzialnym dla wszystkich... przynajmniej w Whastonie.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości — potwierdził Omikron.

W ten sposób rozumowali pan i sługa, a rozmowa była wielce podobną do tej, którą sam z sobą prowadził doktor Hudelson, zrozpaczony również swem niepowodzeniem.

Obaj otrzymali z Pittsburga i Cincinnati odpowiedź na swoje listy. Zapisano dokładnie zjawienie się meteoru 16 marca w stronie północnej horyzontu whastońskiego. Dodawano, że dotąd obserwacje nie odniosły żadnego skutku, ale gdyby się meteor ukazał, nie omieszkano by powiadomić o tem obu astronomów.

Rozumie się, obserwatorja odpowiedziały oddzielnie, nie wiedząc, że każdy z tych astronomów-amatorów przypisywał sobie zasługę odkrycia i rościł prawo do pierwszeństwa.

Od chwili, gdy odpowiedź nadeszła, wieża z Elisabeth street i wieżyca z Moriss street mogłyby były zaniechać swych męczących poszukiwań. Obserwatorja posiadały przyrządy daleko potężniejsze i dokładniejsze, a jeżeli meteor nie był tylko błędzącem ciałem, ale krążył po zamkniętej orbicie, jeżeli słowem wróci na drogę raz zakreśloną, to lunety i teleskopy Pittsburga i Cincinnati potrafią przypilnować jego przejścia. Mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson byliby najrozumniej uczynili, gdyby byli zaufali uczonym tych dwu znanych obserwatorów.

Ale mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson byli astronomami, nie zaś mędrkami. Dlatego też z przedsięwzięcia swego nie zrezygnowali; przeciwnie, oddali mu się z jeszcze większym zapalem. Nie zwierając się sobie ze swych utrapień, odczuwali samorzutnie, że ścigają obaj tę samą zwierzynę, a obawa, żeby nie dać się prześcignąć, nie dawała im chwili spokoju. Zazdrość toczyła ich serca, a to nieprzyjemne usposobienie mimowoli odbijało się na stosunkach obu rodzin.

I niezawodnie było się czem niepokoić. Ich podejrzliwość stawała się coraz widoczniejszą, tak że wkońcu ci dwaj przyjaciele tak zażyli, przestali się widywać zupełnie.

Co za przykre położenie dla obojga narzeczonych! Wprawdzie Francis Gordon miał wstęp otwarty do domu przy Moriss street, a mrs. Hudelson okazywała mu tę samą życzliwość, a nawet zaufanie, ale młody człowiek czuł, że jego obecność widocznie krępuje doktora. W każdym razie było to niczem w porównaniu z tem, co się działo z Sydney Hudelson'em na wspomnienie przed nim o Dean Forsyth'cie. Doktor mienił się, był na przemian to blady, to czerwony, oczy rzucały błyski lub przymykały się złowrogo, a te pożałowania godne oznaki wzajemnej antypatji dawały się zauważyć w tym samym stopniu u Dean Forsyth'a.

Naprawdę mrs. Hudelson chciała się dowiedzieć o przyczynie tego oziębienia stosunków, a nawet więcej, bo wstrętu, który wzajemnie odczu-

wali dwaj dawni przyjaciele. Mąż ograniczał się do powiedzenia:

— To zbytęczne... nie zrozumiabyś... ale nie spodziewałem się nigdy takiego postępowania ze strony Forsyth'a.

Co za postępowanie? Niepodobieństwem było dowiedzieć się cośkolwiek. Loo nawet, to dziecko, pieszczone, nic nie wiedziało.

Proponowała, żeby zasięgnąć wiadomości u mr. Forsyth'a na wieży, ale Francis Gordon odradził jej to stanowczo.

— Nie, nie przypuszczałem, że Hudelson jest zdolny do takiego względem mnie postępowania — oto co byłby odpowiedział wuj Francis, niby echo słów doktora.

Jako dowód tego służyć może odpowiedź, którą usłyszała Mitz, gdy ośmieliła się go dopytywać.

— Nie mieszaj się do tego, co cię nie obchodzi! — wymówił oschłym tonem.

Z chwilą, gdy mr. Dean Forsyth odważył się mówić w ten sposób do groźnej Mitz, położenie było istotnie bardzo poważne.

Mitz zaś była tak porażona, mówiąc jej barwnym językiem, że zapewniała, iż musiała ugryźć się w język aż do kości, aby nie odpowiedzieć na takie zuchwalstwo. Co się tyczy jej pana, to miała o nim zdanie ustalone, z którego nie robiła tajemnicy. Według niej mr. Forsyth zwarzjował, a tłumaczyła to twierdzenie niewygodną pozycją,

na jaką był skazany, patrząc przez swe przyrządy, szczególnie w kierunku zenitu gdy musiał przechylać wtył głowę. Stąd Mitz wnioskuje, że mr. Forsyth złamał sobie kość mózgową, oczywiście specjalne jej wyrażenie.

Wszelako niema tak wielkiej tajemnicy, któraby najaw nie wyszła. Dowiedziano się wreszcie przez niedyskretnego Omikrona, o co chodziło. Jego pan odkrył niezwykle meteor i obawiał się, czy doktor Hudelson nie był odkrył go również.

Oto co było przyczyną tej sprzeczki! Meteor! aerolit, szybująca gwiazda, kamień, duży kamień, jeżeli kto woli, ale słowem kamień, zwykły kamyk, o który mógł się rozbić rydwan ślubny Francisa i Jenny!

To też Loo nie wstydziła się wysłać „do diabła wszystkie meteory, a z niemi całą mechanikę niebieską”.

Tymczasem czas upływał... Dzień po dniu marzec się cofał, ustępując kwietniowi. Niedługo, miał nadejść termin ślubu. Ale czy nie stanie się nic przedtem? Dotąd współzawodnictwo to spoczywało jedynie na przypuszczeniach. Co będzie jeżeli nieprzewidziany wypadek zamieni je na pewność i jeżeli jakieś wstrząśnienie odkryje maskę współzawodników?

Obawy te, zupełnie zrozumiałe, nie przeszkadzały jednak ślubnym przygotowaniom. Wszystko miało być gotowe, nawet suknia miss Loo.

Warunki atmosferyczne pierwszej połowy kwietnia były fatalne: deszcz, wiatr, niebo zasłane gęstymi chmurami, które następowały po sobie bez przerwy. Nie pokazało się ani słońce, zakreślające wtedy dość duże koło nad horyzontem, ani księżyc w pełni, który powinien był swojemi promieniami oświetlić przestworze, ani tem bardziej meteor zagubiony.

Miss Hudelson, Jenny i Francis Gordon nie utyskiwali nad niemożebnością uczynienia jakiegokolwiek obserwacji astronomicznej. Loo zaś, która niecierpiała wiatru i deszczu, tym razem cieszyła się bardziej trwaniem złego czasu, niż kiedykolwiek najpogodniejszym niebem.

— Gdyby tak było przynajmniej do dnia ślubu — powtarzała — gdyby przez trzy tygodnie jeszcze nie było ani słońca, ani księżyca, ani najdrobniejszej gwiazdeczki!

Jakby naprzekór życzeniom Loo z 15 na 16 kwietnia nastąpiła gwałtowna zmiana atmosferyczna. Wiatr północny rozwiął chmury i niebo wyjaśniło się.

Mr. Dean Forsyth ze swojej wieży, doktor Hudelson ze swojej wieżycy zaczęli śledzić badawczo sklepienie niebieskie od horyzontu aż do zenitu.

Czy meteor przeszedł przed szklami ich lunet? Nie możnaby tego przypuszczać, biorąc pod uwagę ponury wyraz twarzy obu badaczy. Ich zły humor świadczył aż nadto wyraźnie o ich niepowodzeniu. Istotnie mniemania takie było trafne. Nie, mr.

Sydney Hudelson nie dostrzegł nic w przestworzach niebieskich, jak również i mr. Dean Forsyth. Czyż rzeczywiście mieliby do czynienia z jakimś błakającym się meteorom, wylamującym się na zawsze z praw przyciągania ziemskiego?

Wzmianka, która ukazała się w dziennikach 19 kwietnia, dostarczyła im stosownej odpowiedzi.

Wzmianka ta, ogłoszona przez obserwatorium bostońskie, zawierała co następuje:

„Przedwczoraj, w piątek 17 kwietnia, wieczorem o dziewiątej minut dziewiętnaście i dziewięć sekund wspinały meteor przeszył powietrze w zachodniej stronie nieba z zawrotną szybkością.

Okoliczność godna uwagi, z której może być dumne miasto Whaston, że meteor ten był zauważony tego samego dnia i o tej samej godzinie przez dwóch najwybitniejszych jego obywateli.

Według obserwatorium pittsburskiego meteor jest ten sam, o którym mu doniósł pod datą 24 marca mr. Dean Forsyth, a według obserwatorium z Cincinnati — pod tą samą datą doktor Sydney Hudelson. Otóż mr. Dean Forsyth i Sydney Hudelson są mieszkańcami Whastonu, obaj bardzo szanowani w tem mieście.”

ROZDZIAŁ SZÓSTY,

zawierający kilka uwag mniej lub więcej fantastycznych o meteorach wogóle, a w szczególności o meteorze, o którego odkrycie współubiegają się równocześnie p.p. Forsyth i Hudelson.

Jeżeli kiedy jaka część świata może być dumną z jednego z krajów, wchodzących w jej skład, jak ojciec byłby dumny z jednego ze swych dzieci, jest to na pewno Ameryka Północna. Jeżeli kiedy Rzeczpospolita może być dumną z jednego ze swych stanów, które ją tworzą, to chyba Stany Zjednoczone. Jeżeli kiedy jeden z tych pięćdziesięciu jeden stanów, których pięćdziesiąt i jedna gwiazda zdobi sztandar związkowy, może być dumny z jednej ze swych stolic, to Wirginja ze stolicą Richmond. Jeżeli wreszcie które z miast Wirginji może być dumne ze swych synów, tem miastem jest Whaston, gdzie dokonane zostało sławne odkrycie, które powinno zająć wybitne miejsce w rocznikach astronomicznych stuleci!

Takie było przynajmniej ogólne zdanie whastończyków.

Łatwo domyślić się można, że dzienniki, a co najmniej dzienniki whastońskie, wydały cały szereg artykułów pełnych zapалу na cześć mr. Dean

Forsyth'a i doktora Hudelson'a. Czyż sława tych dwóch obywateli nie opromieniała całego miasta? Któryż z obywateli nie brał w niej udziału? Czyż imię Whastonu nie będzie nierozzerwalnie związane z tem odkryciem?

Wynik tych dytyrambów dziennikarskich niebawem dał się odczuć wśród ludności miejscowej, która tak jak wszyscy Amerykanie ulegała łatwo i z zapamiętaniem wpływowi opinji. Czytelnik więc nie będzie zdziwiony — a zresztą, gdyby tak było, zechce nam wierzyć na słowo, jeżeli mu powiemy, że od tego dnia ludność dążyła tłumnie i z hałasem do domów na Moriss i na Elisabeth street. Nikt nie wiedział o współzawodnictwie mr. Forsyth'a i mr. Hudelson'a. Ale zapal publiczny połączył ich w tej okoliczności, o tem wątpić nie było można. Dla wszystkich nazwiska te były nierozzerwalne aż do skończenia wieków, nierozzerwalne do tego stopnia, że po tysiącach lat przyszli historycy gotowi twierdzić, że należały do jednego człowieka.

Zanim jednak czas pozwoli sprawdzić słuszość tych hipotez, mr. Dean Forsyth musiał ukazać się na tarasie swej wieży, mr. Sydney Hudelson na tarasie swej wieżycy, aby odpowiedzieć okrzykom tłumu. Podczas gdy głośnie wołania wznosiły się ku nim, oni kłaniali się z wdzięcznością.

Wszelako bystry spostrzegacz mógł być zauważyć, że postawa ich nie wyrażała niezamąconej radości. Cień zasępiał ich triumf, jak chmura za-

sępia słońce. Spojrzenie ukośne szło od wieży do wieżycy i odwrotnie. Każdy z nich widział swego współzawodnika, dziękującego publiczności za oklaski i każdy z nich uważał mniej na zgodność oklasków skierowanych w jego stronę, a bardziej na dysonans tych, które rozlegały się na cześć rywala.

W rzeczywistości zaś oklaski te były jednakowe. Tłum nie robił żadnej różnicy między obu astronomami. Dean Forsyth nie był mniej oklaskiwany niż doktor Hudelson i odwrotnie przez tych samych obywateli, którzy zmieniali się przed ich domami.

Podczas tych owacyj, które ożywiły obie dzielnice, co też mówili sobie z jednej strony Francis Gordon i służąca Mitz, a z drugiej mrs. Hudelson, Jenny i Loo? Czy obawiali się, aby wzmianka w dziennikach obserwatorium bostońskiego nie pociągnęła za sobą niefortunných następstw? To co odbywało się w tajemnicy, stało się jawne teraz. Mr. Forsyth i mr. Hudelson dowiedzieli się urzędownie o swem współzawodnictwie. Czyż nie można było przypuszczać że obaj będą się ubiegali, jeżeli nie o korzyść, to przynajmniej o zaszczyt tego odkrycia i że stąd nastąpić może go-dny pożałowania rozłam dwóch rodzin?

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie uczucie ogarniało mrs. Hudelson i Jenny, podczas gdy tłum oklaskiwał astronoma przed domem.

Podczas gdy doktor stał na tarasie, one z ukrycia przypatrywały się z sercem ściśniętem tej manifestacji, która nie rokowała nic dobrego. Jeżeli mr. Forsyth i mr. Hudelson, pobudzeni niedorzecz-
nemi uczuciami zazdrości, zechcą ubiegać się o pierwszeństwo w odkryciu meteoru, czyż publiczność nie dowie się o tem i czyż nie zacznie wypowiadać się za jednym lub za drugim? Każdy z nich będzie miał swych stronników, a wśród tego podniecenia, które zawładnie miastem, jakież będzie położenie przyszłych małżonków, tego Romea i Julji, w sprzeczce naukowej, która przeobrazi obie rodziny w Capulettich i Montecchich?¹⁾

Loo zaś była wzburzona. Chciała otworzyć okno, przepędzić cały ten tłum, żałując, że nie ma pod ręką pompy, którąby oblała ciżbę, zagłuszając oklaski strumieniami zimnej wody. Matka i siostra uśmierzyły z trudnością oburzenie zapalczego dziewczęcia.

W domu na Elisabeth street stan umysłów był podobny. Francis Gordon rad byłby również wysłać do wszystkich djabłów tych zapaleńców, którzy mogli tylko pogorszyć położenie i tak już naciągnięte. On również nie ukazał się tłumowi, podczas gdy mr. Forsyth i Omikron paradowali na wieży, przyjmując z nadmierną dumą okazywane im hołdy.

¹⁾ Rody włoskie, które się zwalczały namiętnie; Szekspir unieśmiertelnił ich walkę w „Romeo i Julji“.

I tak samo jak mrs. Hudelson musiała powstrzymać zniecierpliwienie Loo, Francis musiał poskramiać gniew groźnej Mitz. Służąca ni mniej ni więcej tylko chciała zmieść tę ciżbę, a w jej ustach ta groźba nie była czczem słowem. Nikt wątpić nie mógł, że narzędzie, którem się posługiwała codziennie z takim mistrzostwem, byłoby użyte w jej ręku z całą zapalczywością. W każdym razie przyjęcie miotły ludzi, którzy przyszli wyrazić nam swoje uznanie, byłoby rzeczą mniej przyzwoitą.

— Ach! mój synu, czy ci krzykacze nie są szaleńcami?

— Można by w to uwierzyć — odpowiedział Francis Gordon.

— I wszystko to dla jakiegoś kamienia, spacerującego po niebie!

— Prawdę mówisz, Mitz.

— Jakiś tam medor!

— Meteor, Mitz — poprawił Francis, wstrzymując wybuch śmiechu.

— Słusznie mówię, medor — powtórzyła Mitz z przekonaniem. — Gdyby tak mógł spaść im na głowy i zmiażdżyć choć z pół tuzina. — A zresztą, pytam ciebie, ciebie, który jesteś uczony, do czego służyć on może?

— Do poróżnienia rodzin — oświadczył Francis Gordon, podczas gdy tłum oklaskiwał astronoma w najlepsze.

Dlaczego wszakże dwaj przyjaciele nie mieliby podzielić się sławą swego odkrycia? Przecież nie łudzili się żadną korzyścią materialną, żadnym pieniężnym dorobkiem. Chodziło tu tylko o sławę czysto platoniczną. Dlaczego więc nie mieliby zgodzić się na to, aby nazwiska ich obu przywiązane były do tego odkrycia aż do skończenia wieków? Dlaczego? Poprostu dlatego, że w grę tu wchodziła miłość własna i pycha. Otóż, gdy chodzi o miłość własną i pychę, kto zdoła przemówić do rozumu ludzkiego?

Czy jednakże odkrycie meteoru przynosi tak wielką sławę? Czyż nie jest to prosty przypadek? Czyż gdyby meteor nie był przebiegł z taką uprzejmością pola widzenia przyrządów mr. Forsyth'a i mr. Hudelson'a w chwili, gdy ich oczy utkwione były w szkła teleskopu, czy zobaczyliby go ci dwaj astronomowie, tak bardzo się nim chęłpiący?

A zresztą, czy nie przechodzi dniem i nocą tysiące tych ciał niebieskich, tych meteorów, tych gwiazd spadających? Czyż podobieństwem byłoby nawet zliczyć te kule ogniste, które całemi rojami przebiegają przestworza niebieskie po swych fantastycznych orbitach?

Sześćset milionów meteorów, zdaniem uczonych, przebiega atmosferę ziemską podczas jednej nocy, to jest dwanaście setek milionów w dwadzieścia cztery godziny. Te świetlne ciała przechodzą

więc mirjadami, a Newton twierdził, że dziesięć do piętnastu milionów można dostrzec gołym okiem.

„To też — zauważył P u n c h, jedyne pismo whastońskie, żartobliwie traktujące całą sprawę — łatwiej jest znaleźć meteor na niebie, niż znaleźć ziarno pszenicy w polu, i z całą słuszością można powiedzieć, że nasi astronomowie zbyt wielką wagę przywiązują do odkrycia, o którym mówić nie warto.”

Ale jeżeli satyryczny Punch nie zaniedbał niczego, by puścić w ruch swą werwę komiczną, to jego poważniejsi koledzy, zamiast iść w jego ślady, uchwycili tę sposobność, aby popisać się wiedzą o tyle świeżo nabytą, o ile budzącą zazdrość najwybitniejszych zawodowców.

„Kepler — pisał Whaston Standard — mniemał, że meteory są wytworem wyziewów ziemskich. Bardziej prawdopodobnem wydaje się, że te zjawiska są aerolitami, u których zauważono ślady gwałtownego spalania. Za czasów Plutarcha uważano je już za masy mineralne, które spadają na ziemię, gdy w swym przelocie wpadną w obręb działania przyciągania ziemskiego. Badanie meteorów wskazało, że ich skład nie różni się od minerałów nam znanych i że naogół zawierają trzecią część pierwiastków. Ale jakąż różnorodność stanowi to nagromadzenie pierwiastków! Składowe ich cząsteczki są albo tak małe jak opiłki, albo tak duże jak groch lub orzeszki, są znacznej twardości i wykazują przy rozbiciu ślady krystalizacji. Niektóre z nich składają się z żelaza rodzimego,

niekiedy z domieszką niklu i nie podlegają zupełnie utlenieniu“.

To co czytelnikom donosił *W h a s t o n* *S t a n a d a r d*, było zupełnie zgodne z rzeczywistością. *D a i l y W h a s t o n* zaś szczególny nacisk kładł na badania uczonych starożytnych i współczesnych o tych meteorach. Oto co głosił:

„Diogenes z Apolonji czyż nie mówi o kamieniu rozżarzonem, wielkości kamienia młyńskiego, który spadł był przy Aegos-Potamos, nabawiwszy strachu mieszkańców Tracji? Gdyby taki kamień spadł na dzwonnice Saint-Andrew, zgruchotałby ją doszczętu. Niech nam wolno będzie przy tej sposobności wspomnieć o pewnych kamieniach, które, znalazłszy się w sferze ciężenia ziemskiego, z głębin przestworza spadały na ziemię; np. przed naszą erą kamień gromowy, któremu w Galacji oddawano cześć boską jako symbolowi Cybeli, bogini ziemi, i który był przeniesiony do Rzymu; albo znów kamień, znaleziony w Syrii i poświęcony czci słońca; lub święta tarcza, znaleziona za panowania Numy; czarny kamień, który przechowują ze czcią w Mece; kamień piorunowy, z którego wykuto sławny miecz Antarski. A od początku naszej ery o iluż aerolitach wzmiankowano, opisując okoliczności towarzyszące ich upadkowi; np. kamień dwustusześćdziesięciofuntowy, który spadł w Ensisheim, w Alzacji; kamień czarny o połysku metalicznym, o kształcie i wielkości głowy ludzkiej, który spadł na górę Vaison w Prowancji; kamień siedmdziesięcio-

dwufuntowy, wydający z siebie woń siarki i wyglądający, jak gdyby był utworzony z piany morskiej, który spadł w Larini, w Macedonji; kamień, znaleziony w 1763 r. w Lucé, w pobliżu Chartres, a rozżarzony do tego stopnia, że nie można było się go dotknąć. Czy nie należy też wspomnieć o tem cieple niebieskiem, które ukazało się w 1203 r. mieszkańcom normandzkiego miasta Laigle, o którym Humboldt pisze, co następuje: „O pierwszej po południu, gdy niebo było nader pogodne, widziano duże ciało niebieskie, przebiegające w kierunku od południo-wschodu do północo-zachodu. W kilka minut potem usłyszano w przeciągu pięciu do sześciu minut odgłos wybuchu, którego sprawcą był mały, czarny obłoczek, prawie nieruchomy, poczem nastąpiły trzy lub cztery wystrzały, przypominające salwy karabinowe, pomieszane z odgłosem wielokrotnego bicia w bębny. Za każdym wystrzałem oddzielała się od czarnego obłoczka część oparów, które go tworzyły. Nie zauważono jednak w tem miejscu żadnego zjawiska świetlnego. Przeszło tysiąc kamieni meteorycznych upadło na powierzchnię eliptyczną, której wielka oś, w kierunku od południo-wschodu do północo-zachodu, miała jedenaście kilometrów długości. Kamienie te dymily i były rozżarzone, choć się nie paliły, i stwierdzono, że łatwiej było je rozbić w kilka dni po ich upadku, niż później.”

Daily Whaston na ten temat wypisywał całe szpalty, będąc niewyczerpany w szczegółach,

co świadczy co najmniej o sumienności jego redaktorów.

Inne dzienniki nie pozostały zresztą w tyle. Ponieważ astronomja była na czasie, zatem wszystkie pisały o astronomji, i jeżeli obecnie który z whastończyków nie znał się dobrze na sprawie ciał spadających, to tylko dlatego, że brak mu było dobrej woli.

Do wiadomości, podanych przez Daily Whaston, Whaston News dorzucał swoje. Przypominał o tej kuli ognistej o średnicy dwa razy większej od średnicy księżyca w pełni, którą w r. 1254 spostrzegano kolejno w Hurworth, Darlington, Durham, Dundee, a która przebiegła bez wybuchu od jednego horyzontu do drugiego, pozostawiając po sobie długą smugę świetlną barwy złotej, szeroką, zwartą i odbijającą jaskrawo od ciemnoniebieskiego tła nieba. Mówił dalej, że jeżeli kula ta przeleciała bez wybuchu, to zato inna, którą 14 maja 1864 r. ujrzał jeden z mieszkańców Castillon we Francji, wybuchła z całą gwałtownością. Pomimo że meteor ten był widoczny przez pięć sekund tylko, szybkość jego była tak wielka, że w ciągu tego krótkiego czasu zakreślił łuk sześciu stopni. Jego barwa, najpierw błękitno-zielona, zmieniła się następnie w białą o nadzwyczajnym blasku. Między wybuchem a odgłosem upłynęło trzy do czterech minut, co wskazuje na oddalenie sześćdziesięciu do ośmdziesięciu kilometrów. Znaczy to, że siła wybuchu przewyższała

wszystkie mogące się zdarzyć wybuchy na kuli ziemskiej. Co zaś do wielkości tego meteoru, to sądząc z jego wysokości nad ziemią, jego średnica wynosiła nie mniej niż tysiąc pięćset stóp, a szybkość jego, wynosząca przeszło sto trzydzieści kilometrów na sekundę, przewyższała nieskończenie szybkość ziemi w jej ruchu dookoła słońca.

Następnie wystąpił Whaston Morning, poczem Whaston Evening, zajmujący się specjalnie meteorami, zresztą bardzo licznymi, które składają się prawie całkowicie z żelaza. Przypomniiał swym czytelnikom, że jedna z tych mas meteorycznych, znaleziona na równinach Syberji, ważyła co najmniej siedmset kilogramów; inna znów, odkryta w Brazylii, ważyła do sześciu tysięcy kilogramów; trzecia znów wagi czternastu tysięcy kilogramów znaleziona była w Olimpie, w Tucuman; wreszcie ostatnia, która spadła w okolicach Duranzo, w Meksyku, dosięgła olbrzymiej wagi dziewiętnastu tysięcy kilogramów!

Bez wątpienia, nie przesadzimy twierdząc, że pewna część ludności whastońskiej doznawała szczególniejszej trwogi, czytając te artykuły. Meteor pp. Forsyth'a i Hudelson'a, dostrzeżony w okolicznościach, o jakich wiadomo, o odległości zapewne bardzo znacznej, musiał zapewne przewyższać objętością wszystkie meteory z Tucuman i Duranzo. Kto wie, czy jego wielkość nie równa się, nie przewyższa nawet wielkości aerolitu z Castillon, którego średnica wynosi tysiąc pięćset stóp?

Czy można wyobrazić sobie wagę takiej bryły? Otóż, jeżeli meteor, o którym mowa, ukazał się na zenicie Whastonu, to znaczy, że Whaston znajduje się na drodze jego przebiegu. Ukaże się znów nad tem miastem, o ile droga ta przyjmie kształt orbity. To też, jeżeli z jakiego bądź powodu właśnie w tej chwili miałby się zatrzymać w swym przebiegu, to Whaston narażone byłoby na wstrząśnienie, jakiego wyobrazić sobie nawet nie można! Była to jedyna sposobność powiadomić tych mieszkańców, którzy o niem nie wiedzieli, lub przypomnieć tym, którzy o niem słyszeli, o niewzruszonym prawie, że siła żywa równa się masie pomnożonej przez kwadrat szybkości, = szybkości, która, podlegając jeszcze bardziej groźnemu prawu spadku ciał, wynosiłaby w stosunku do meteoru, spadającego z wysokości czterechset kilometrów, około trzy tysiące metrów na sekundę, w chwili gdy rozplaszczy się na powierzchni ziemi!

Trzeba przyznać, że prasa whastońska nie omieszkała spełnić swego obowiązku, nigdy też dzienniki nie były tak przepelnione wzorami matematycznymi jak w tej gorącej chwili.

Stopniowo mieszkańców whastońskich ogarniać zaczął niepokój. Niebezpieczny i groźny meteor stał się przedmiotem rozmów na placu publicznym, w towarzystwach i przy ognisku domowym. Kobiety widziały w snach zburzone kościoły, domy zrównane z ziemią. Mężczyźni uważali za rzecz bardziej wskazaną ruszać ramionami, ale czynili to

bez przekonania. Dniem i nocą, można powiedzieć, zarówno na placu Konstytucji jak i w dzielnicach wyżej położonych stały ustawicznie grupy ludzi. Nie wstrzymywała ich zmienna pogoda. Nigdy optycy nie sprzedali tak wielkiej ilości lunet, lornetek i innych narzędzi optycznych! Nigdy niebo nie widziało tylu spojrzeń skierowanych ku niemu, jakimi obdarzały je zaniepokojone oczy whastoniczków. Czy meteor ukaże się, czy też nie, niebezpieczeństwo niemniej groziło i to o każdej godzinie, o każdej minucie, a nawet o każdej sekundzie.

Ale, zauważyć można, niebezpieczeństwo to było równie groźne dla wszystkich krajów, a zatem dla miast, miasteczek, wsi i wiosek leżących pod drogą jego przebiegu. Tak, oczywiście. Jeżeli, jak przypuszczano, meteor przebiegnie dookoła ziemi, wszystkie punkty, znajdujące się pod jego orbitą, będą zagrożone jego upadkiem. Wszelako Whaston, wyrażając się ultra nowoczesnie, trzymał rekord tej obawy, i to z tej jedynej przyczyny, że Whaston był miejscem, w którym ujrzano meteor po raz pierwszy.

Był jednakże dziennik, który się trzymał odpornie względem tej sprawy i nie odnosił się do niej poważnie. Zato dziennik ten nie był zbyt uprzejmy dla pp. Forsyth'a i Hudelson'a, czyniąc ich w sposób żartobliwy odpowiedzialnymi za niebezpieczeństwo, które groziło miastu.

„Do czegoż to wzięli się ci amatorowie?
— pisał P u n c h. — Potrzebnie drażnili prze-

stworza swemi lunetami i teleskopami? Nie mogli też zostawić w spokoju nieba, nie zajmując się jego ciałami? Czy niema dość, a nawet za wiele prawdziwych uczonych, którzy mieszają się do tego, co ich nie obchodzi, wkradając się niedyskretnie do sfer międzyplanetarnych? Ciała niebieskie są bardzo wstydliwe i nie lubią, aby się im przypatrywano zbliska. Tak, nasze miasto jest zagrożone, nikt nie czuje się pewnym, i na to niema rady! Można zabezpieczyć się od pożaru, gradu, cyklonu... Ale jakże tu ubezpieczyć się od upadku meteoru, może dzie sięć razy większego od cytadeli Whastonu!... A w razie jeżeli nastąpi wybuch przy tym upadku, co się zdarza często przy tego rodzaju pociskach, całe miasto zostanie zbombardowane, a nawet spalone, jeżeli pocisk będzie rozpalone! Zważywszy wszystko, jest to zguba naszego kochanego miasta, nie można tego ukrywać! Niech więc ratuje się kto może!... Ale dlaczegoż to pp. Forsyth i Hudelson nie pozostali spokojnie na swoim parterze zamiast śledzić meteory z wieżyc? Oni to wywołali tę swą niedyskretną sprowadzili przez swe nieczne abitygi. Jeżeli Whaston będzie zburzony, jeżeli będzie zmiądzony lub spalony przez ten meteor, będzie to ich winą i im należy to zawdzięczać... Zaiste, pytamy każdego bezstronnego czytelnika, to znaczą wszystkich abonentów Whaston Punch, do czego służą astronomowie, astrologowie, meteoro-

41.0 gr.

logowie i inne zwierzęta na owie? Co dobrego wynikło kiedy z ich prac „uczonych”?... Kto zadaje pytania, musi na nie odpowiedzieć, a co się nas tyczy, trwamy więcej niż kiedykolwiek przy swoich zapatrywaniach, tak dobrze wyrażonych w tem wzniosłem zdaniu, które zawdzięczamy genialnemu i sławnemu Francuzowi, Brillat-Savarin: „Odkrycie nowej potrawy przyniesie więcej szczęścia ludzkości, niż odkrycie gwiazdy!” Z jaką pogardą odnosiłby się Brillat-Savarin do dwu zbrodniarzy, którzy nie obawiali się ściągnąć na swój kraj najcięższych kataklizmów dla przyjemności odkrycia zwykłego meteoru?”

ROZDZIAŁ SIÓDMY,

w którym zobaczymy, jak mrs. Hudelson jest zmartwiona postępowaniem męża, i w którym usłyszymy, jak Mitz rozpawia się na dobre ze swoim panem,

Co też odpowiedzieli mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson na szyderstwo W h a s t o n P u n c h a? Nic zupełnie, z tej prostej przyczyny, że nie czytali artykułu zuchwałego dziennika. Nie wiedzieć o rzeczach nieprzyjemnych, które mogą o nas mówić, jest to jedyny sposób, ażeby przez nie nie cierpieć, tak rzekłby p. de la Palisse z niezaprzeczoną mądrością. Wszelako kpiny te mniej lub więcej dowcipne nie są bardzo przyjemne dla tych, do których się stosują, a jeżeli mianowicie te osoby nie są o nich powiadomione, dla ich krewnych i przyjaciół. Mitz była szczególnie wzburzona. Posądzać jej pana, że przyciągnął meteor, grożący bezpieczeństwu ogółu!... Jej zdaniem, mr. Dean Forsyth powinien oskarżyć autora artykułu, a sędzia John Proth wiedziałby, na jakie odszkodowania go skazać, nie mówiąc o więzieniu, na które zasługiwałby za swe oszczerstwa.

Mała Loo zaś uwierzyła tym słowom i bez wahania przyznała słusność W h a s t o n P u n c h o w i.

— Tak, ma słuszość. Dlaczego mr. Forsyth i ojciec dążyli do tego, aby odkryć ten przeklęty kamyk? Gdyby nie oni, przeszedłby niespostrzeżony jak inne, które nie zrobiły nam nic złego.

To zło, a raczej to nieszczęście, o którym myślała dziewczynka, było to nieuniknione współzawodnictwo między wujem Francisa a ojcem Jenny, ze wszystkimi towarzyszącymi mu okolicznościami w przeddzień związku, mającego zacieśnić jeszcze bardziej węzły, łączące obie rodziny.

Obawy miss Loo były słuszne, i co miało nastąpić, niebawem stało się. Dopóki mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson podejrzewali się tylko, dopóty nie przyszło do żadnego starcia. Pomimo iż stosunki ich wzajemne oziębły, pomimo że unikali się, nic ważniejszego nie zaszło. Ale teraz, kiedy ogłoszono publicznie, że odkrycie meteoru należy do dwu astronomów z Whastonu, co też uczynią? Czy będą upominali się o pierwszeństwo? Czy będzie to sprawą prywatną i czy ograniczy się do zwykłych nieporozumień, czy też na łamach dzienników zechcą prowadzić dysputy polemiczne, którym uprzejmie gościny udzieli prasa whastońska?

Nie wiedziano nic zgoła, i tylko przyszłość mogła dać odpowiedź. Pewnem było tylko to, że ani mr. Forsyth, ani doktor Hudelson nie wspominali wcale o ślubie, którego termin zbliżał się zbyt wolno dla narzeczonych. Skoro wszczynano o tem

rozmowę wobec nich, zawsze wynajdywali jakąś ważną przyczynę, przynaglającą ich do natychmiastowego powrotu do obserwatorium. Zresztą tam spędzali prawie cały swój czas, z dnia na dzień bardziej zajęci i niespokojni.

Istotnie, pomimo że meteor był powtórnie widziany przez urzędowych astronomów, oni go nie mogli dostrzec. Czyż byłby się oddalił tak znacznie, iż jego odległość stała się niedostępną dla ich przyrządów? Przypuszczenie zresztą prawdopodobne, wszelako nie do stwierdzenia. To też nie przestawali czuwać dniem i nocą, korzystając z każdej pogodnej chwili. Jeżeliby to dłużej potrwało, mogliby się byli rozchorować.

Obaj silili się napróżno obliczać elementy ciała, o którego odkrycie obaj się ubiegali, łudząc się nadzieją, że ten zwycięży, kto okaże się lepszym matematykiem.

Ale ich jedyne spostrzeżenie trwało zbyt krótko, aby móc dostarczyć ich formułom dostatecznych danych. Potrzeba było nie jednej obserwacji, lecz wielu dla dokładnego obliczenia orbity meteoru. Prześcigali się też w zabiegach, bojąc się, by jeden nie wyprzedził drugiego. Ale kapryśny meteor albo nie wracał, albo zachowywał najściślejsze incognito.

Niepowodzenie to odbiło się na usposobieniu obu astronomów. Nie można było się do nich zbliżyć. Dwadzieścia razy na dzień mr. Dean Forsyth wywierał swój gniew na Omikronie, który

nie pozostawał mu dłużny. Doktor zaś, nie mając na kim wyrzucić swego gniewu, tem zawzięciej tłumił go w sobie.

W tych okolicznościach, kto odważyłby się nawet wspomnieć o kontrakcie ślubnym lub o weselu?

Atoli trzy dni minęły od czasu ogłoszenia w dziennikach wiadomości, nadesłanej przez obserwatorjum w Bostonie. Zegar niebieski, którego wskazówką jest słońce, dałby znać, że nadszedł 22 kwietnia, gdyby Wielki Zegarmistrz był go zapatrzył w odpowiednie urządzenie. Jeszcze dni kilkanaście, a zbliży się z kolei wielka data, pomimo że niecierpliwa Loo twierdziła, że nie było jej wcale w kalendarzu.

Czy należało przypomnieć o tem wujowi Francis Gordon'a i ojcu Jenny Hudelson, którzy zachowywali się tak, jak gdyby nie miało być mowy o żadnym ślubie? Mrs. Hudelson była zdania, że lepiej nie wspominać o tem mężowi. Wszak nie on zajmuje się przygotowaniami ślubnymi... tak jak nie zajmuje się własnem gospodarstwem. A gdy nadejdzie dzień ślubu, powie mu poprostu:

„Oto twój tużurek, kapelusz i rękawiczki. Pora udać się do Saint-Andrew. Podaj mi rękę i chodźmy“.

Poszedłby niezawodnie, nie zdając sobie z tego sprawy, ale z warunkiem, że w owej chwili nie ukaże się meteor przed szkłem jego teleskopu!

Uszanowano zdanie mrs. Hudelson w domu na Moriss street i nikt nie pytał doktora o przyczynę jego zachowania się względem mr. Dean Forsyth'a. Tymczasem w domu na Elisabeth street działo się inaczej. Mitz nie chciała słyszeć o niczem. Oburzona na swego pana mówiła, że musi rozmówić się z nim „w cztery oczy“, ażeby raz wyjaśnić położenie, grożące zerwaniem obu rodzinom. Jakież wynikłyby z tego następstwa? Ślub byłby odłożony, może nawet zerwany, rozpacz obojga narzeczonych, a szczególnie jej ukochanego Francisca, jej syna, jak go dawnym zwyczajem, poufale a serdecznie nazywała. Co uczyniłby biedny młodzieniec, gdyby nastąpiło głośne zerwanie, po którym wszelkie pojednanie byłoby rzeczą niepodobną?

To też, po południu, 22 kwietnia, znalazłszy się sam na sam z mr. Dean Forsyth'em w sali jadalnej, „w cztery oczy“, jak sobie tego życzyła, zatrzymała go w chwili, gdy dążył do schodów, prowadzących na wieżę.

Wiadomo, że mr. Forsyth obawiał się spotkania z Mitz. Wiedział dobrze, że naogół spotkanie to nie wyjdzie mu na dobre; unikał go więc, ile mógł.

I obecnie, spojrzawszy ukradkiem na twarz Mitz, przypominającą mu bombę, której lont zapalony wróży niedaleki wybuch, chcąc schronić się przed skutkiem wybuchu, dotarł szybko do drzwi. Ale zanim zdołał uchwycić za klamkę, stara słu-

żąca zagrodziła mu drogę i z oczyma, utkwionemi w swego pana, który unikał trwożliwie jej spojrzenia, powiedziała:

— Panie! muszę z panem pomówić.

— Pomówić ze mną, Mitz? Ależ ja nie mam czasu w tej chwili.

— Ja również nie mam czasu, bo całe naczynie od śniadania czeka na mnie. Pańskie rury mogą zarówno dobrze zaczekać, jak moje talerze.

— A Omikron?... Zdaje mi się, że mnie woła.

— Pański przyjaciel Amikron?... Oto jeszcze jeden ładny kokos. Będzie miał do czynienia ze mną pewnego pięknego poranka ten pański przyjaciel Amikron. Może go pan uprzedzić o tem, mówiąc: służąca wie, o co chodzi, i kłania ci się! Niech pan mu to powtórzy, słowo w słowo.

— Nie omieszkam, Mitz, ale mój meteor?

— Medor?... — powtórzyła Mitz. — Nie wiem, co to znaczy, ale cobyś pan o nim powiedział, wiem, że to rzecz wcale niepiękna, jeżeli to on sprawił, że serce twoje zamieniło się w kamień.

— Meteor, Mitz — zaczął cierpliwie tłumaczyć mr. Dean Forsyth — to...

— Ach! — zawołała służąca, przerywając mu — tak, to ten sławny medor! A zatem poczeka on również, jak przyjaciel Amikron.

— Jeszcze brakowałoby tego! — zawołał mr. Forsyth, dotknięty w słabą stronę.

— Zresztą — ciągnęła dalej Mitz — jest pochmurno, lada chwila deszcz spadnie, czas wcale nieodpowiedni, aby zabawiać się patrzeniem na księżyc.

Była to prawda, i ta przeciągająca się niepogoda doprowadzała do szalonego gniewu mr. Forsyth'a i doktora Hudelson'a. Od czterdziestu ośmiu godzin niebo pokryte było gęstymi chmurami. Dniem ani znaku promienia słońca, nocą ani znaku gwiazd. Białe opary przesuwaly się z jednej strony horyzontu na drugą, jak zasłona z krepy, którą przyszywała czasem strzała dzwonnicy Saint-Andrew. W tych warunkach niepodobieństwem było dojrzeć upragniony meteor. Należy nawet przypuszczać, że astronomowie stanu Ohio i stanu Pensylwanji nie byli w szczęśliwszem położeniu, jak również i inni badacze Starego i Nowego Świata. Istotnie, żadna nowa wzmianka o ukazaniu się meteoru nie pojawiła się w dziennikach. Co prawda, ważność tego meteoru nie była tak wielka, ażeby uczeni mieli się nim zajmować nadmiernie. Chodziło tu o zjawisko kosmiczne dość pospolite, i tylko tak Dean Forsyth lub Hudelson mogli pragnąć jego powrotu i to z tak osobliwą zacieklnością.

Mitz, skoro jej pan stwierdził niepodobieństwo ucieczki, skrzyżowawszy ręce, odezwała się temi słowy:

— Mr. Forsyth, może pan przypadkiem zapomniał o istnieniu swego siostrzeńca Francis Gordon'a?

— Ach, ten kochany Francis! — odpowiedział mr. Forsyth, kiwając dobrodusznie głową. — Ależ nie, nie zapomniałem wcale... A jakże się miewa ten zacny Francis?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Zdaje mi się, że nie widziałem go dawno. Tak, w istocie, od śniadania.

— Niepodobna!

— Czy oczy pana są na księżycu? — spytała Mitz, zwracając uwagę Dean Forsyth'a na siebie.

— Ależ nie, moja dobra Mitz!... Cóż chcesz jednak, jestem tak zajęty...

— Zajęty do tego stopnia, że zapominasz o rzeczy ważnej...

— Zapominam o rzeczy ważnej?... O jakiej?

— Przecież siostrzeniec pana ma się żenić...

— Żenić się?... żeni się?

— Może pan spyta, o jakie małżeństwo chodzi?

— Nie, Mitz! ale do czego zmierzają te pytania?

— Dobrze sobie!... Nie trzeba być czarno-księżnikiem, aby wiedzieć, że jeżeli kto pyta, to chce odpowiedzi.

— Odpowiedzi, ale względem czego, Mitz?

— Względem postępowania pana względem rodziny Hudelson!... Bo chyba pan wie, że jest jakaś rodzina Hudelson, jakiś doktor Hudelson, mieszkający na ulicy Moriss street, jakaś mrs. Hu-

delson, matka miss Loo Hudelson i miss Jenny Hudelson, narzeczonej pańskiego siostrzeńca?

W miarę jak usta Mitz wymawiały z coraz większym naciskiem nazwisko Hudelson, mr. Dean Forsyth chwycił się za głowę, za piersi, za boki, jak gdyby go kula trafiła. Cierpiał, sapał, krew uderzała mu do głowy. Widząc, że nie odpowiada, Mitz zaczęła nalegać.

— A więc pan nie słyszy?

— Jakżeby nie słyszał! — zawołał jej pan.

— A więc? — powtarzała Mitz, podnosząc głos.

— A zatem Francis myśli ciągle o tem małżeństwie? — wymówił wreszcie mr. Forsyth.

— Czy myśli! — zawołała Mitz. — Ależ kochany chłopiec tylko do tego wzdycha! Zresztą wszyscy o niem myślimy i chyba pan także, sądzę!

— Co? mój siostrzeniec trwa ciągle w zamiarze poślubienia córki tego doktora Hudelson'a?

— Miss Jenny, jeżeli łaska, panie! Ręczę za to, że trwa przy swym zamiarze! Na Boga! czy stracił zmysły, ażeby nie trwać? Gdzież znajdzie narzeczoną równie miłą, młodość równie zachwycającą?...

— Przypuściwszy — przerwał mr. Forsyth, — że córka tego człowieka... tego człowieka wreszcie, którego nazwiska wymówić nie mogę bez zakrzuszenia się, może być zachwycająca...

— Tego już za wiele! — zawołała Mitz, która rozwiązała fartuch, jak gdyby chcąc go oddać.

— Uspokój się, Mitz, uspokój — szeptał jej pan, zatrwożony jej groźną postawą.

Stara służąca wymachiwała swym fartuchem, którego tasiemka włókła się po ziemi.

— To oburzające — oświadczyła. — Po pięćdziesięciu latach służby, pójdę gnić w jakim kącie, niby pies parszywy, a nie zostanę u człowieka, który psuje własną swą krew. Jestem prostą służącą, ale mam serce, panie... ja!

— Ach, Mitz! — odparł mr. Forsyth, dotknięty do żywego — nie wiesz zatem, co mi uczynił ten Hudelson?

— Co panu uczynił?

— Okradł mnie!

— Okradł?

— Tak okradł, wstrętne okradł!

— A co panu ukradł? zegarek? sakiewkę? chustkę?

— Mój meteor!

— A jeszcze ten me d o r! — zawołała stara służąca, szydząc w sposób najnieprzyjemniejszy dla mr. Forsyth'a. — Dawno mówiono już o tym pańskim me d o r z e! Czy widziano kiedy, aby kto wpadał w taki stan z powodu spacerującej maszyny!... Czy miał pan do niej większe prawo niż mr. Hudelson? Czy nalepił pan na me d o r z e swe nazwisko? Czy nie jest on własnością wszystkich, moją, lub mego psa, gdybym go miała... ale dzięki niebu nie mam go!... Czy kupiłeś go pan za swoje pieniądze, lub może odziedziczyłeś?

— Mitz!... — krzyknął mr. Forsyth, który stracił panowanie nad sobą.

— Niema Mitz! — wołała stara służąca doprowadzona do rozpacz. — Na Boga, trzeba być głupim jak Saturn, żeby poróżnić się ze starym przyjacielem dla głupiego kamyka, którego się już nie zobaczy.

— Cicho bądź, cicho bądź! — mówił astronom trafiony w samo serce.

— Nie, panie, nie będę cicho, i może pan zawołać swego idjotę Amikrona na pomoc...

— Omikron — idjota?!

— Tak, idjota, i nie potrafi mnie zmusić do milczenia, jak nie potrafi sam prezydent zmusić do milczenia archaniola, przysłanego przez Wszechmogącego z wieścią o końcu świata!

Niewiadomo, czy mr. Forsyth ostatecznie osłupiał, słysząc to straszne zdanie, czy też krtań jego zwarła się do tego stopnia, iż słowa w niej zamarły, dość, że nie wymówił ani wyrazu. To jest tylko pewne, że nic nie odpowiedział. Gdyby nawet w paroksyzmie gniewu chciał być wyrzucić za drzwi wierną, lecz krzykliwą Mitz, nie byłby w stanie wymówić tradycyjnego: „Wyjdz!... wyjdz natychmiast, niech oczy moje nie widzą cię więcej!”

Zresztą Mitz nie byłaby mu posłuszną. Nie poto ma się pięćdziesiąt lat służby za sobą, ażeby dla jakiegoś nieszczęsnego meteoru opuszczać pana, przy którego urodzeniu była obecną!

Wszelako należało zakończyć to burzliwe zajście. Mr. Forsyth, zrozumiawszy, że nie pokona przeciwnika, starał się wycofać z walki bez pozoru ucieczki.

Słońce przyszło mu z pomocą. Wypogodziło się niespodziewanie i promienie słońca zajrzały do okien od strony ogrodu.

W tej chwili, bez wątpienia, doktor Hudelson jest na swojej wieżycy, przemknęło przez głowę mr. Dean Forsyth'a. Widział swego rywala z okiem przy szkłe teleskopu, przypatrującego się najwyższym strefom przestworza!

Nie wytrzymał. Promień słoneczny działał na niego tak samo, jak na balon napelniony gazem. Rozpierał go, wzmacniał jego siłę wznoszenia się, zmuszał do lotu.

Mr. Dean Forsyth, zrzucając jak balast — to dla dokończenia porównania — cały gniew w nim nagromadzony, skierował się ku drzwiom.

Niestety, Mitz stała przed niemi, nie mając zamiaru ułatwić mu przejścia. Czyż pozostawało mu wziąć ją za ramiona, borykać się z nią i wzywać pomocy Omikrona?

Nie był jednak zmuszony uciec się do tej ostateczności. Bez wątpienia stara służąca była bardzo wyczerpana dokonanym wysiłkiem. Pomimo że była przyzwyczajona strofować swego pana, nigdy wszakże nie czyniła tego z taką gwałtownością.

Byłże to nadmierny wysiłek, spowodowany tą gwałtownością, czy też waga niezmierna tej rozmowy, w której chodziło o przyszłe szczęście jej kochanego „syna”, dość, że Mitz, czując się blisko omdlenia, usunęła się ciężko na krzesło.

Mr. Dean Forsyth, musimy to powiedzieć na jego pochwałę, zapomniał o słońcu, pogodzie i meteorze. Zbliżył się do służącej i z troskliwością zapytał, co jej dolega.

— Nie wiem, panie, zdaje mi się, że żołądek mi się przekręcił.

— Żołądek przekręcił? — powtórzył mr. Dean Forsyth, oszołomiony tą chorobą co najmniej osobliwą.

— Tak — twierdziła Mitz słabym głosem.
— Mam węzeł w sercu.

— Hm! — westchnął mr. Dean Forsyth, którego to drugie objaśnienie wcale nie uspokoiło.

Na wszelki wypadek miał zamiar zastosować środki zwykłe w takich razach: rozpięcie stanika, zwilżenia czoła i skroni octem, szklanka ostudzonej wody...

Lecz nie miał na to czasu.

Głos Omikrona rozległ się z wierzchołka wieży:

— Meteor, panie, meteor!

Mr. Dean Forsyth, zapomniawszy o reszcie świata, rzucił się ku schodom.

Jeszcze nie wyszedł, kiedy już Mitz odzyskała siły zupełnie i pobięła za swym panem. Gdy ten,

przeskakując stopnie, wznosił się coraz wyżej, mściwy głos służącej towarzyszył mu:

— Mr. Forsyth! — wołała Mitz. — Nie zapominał, że ślub Francis Gordon'a i Jenny Hudelson odbędzie się, i odbędzie się w terminie naznaczonym! Odbędzie się, panie Forsyth, albo — rozum stracę!

Mr. Dean Forsyth nie odpowiedział, nie słyszał, dążąc pośpiesznie na wieżę.

Magdary niszcz dla zalpiny
Gtupi czyta to ciekawo.

ROZDZIAŁ ÓSMY,

w którym polemiki dziennikarskie pogarszają położenie i który się kończy stwierdzeniem czegoś zarówno pewnego jak nieoczekiwanego.

— To on, Omikronie, to on na pewno! — zawołał mr. Dean Forsyth, spojrzawszy w szkło teleskopu.

— On sam — oświadczył Omikron i dodał: — dałoby niebo, żeby doktor Hudelson nie był na swej wieżycy!

— Albo, jeżeli jest — rzekł mr. Forsyth — ażeby nie zobaczył meteora!

— Naszego meteora — z naciskiem wymówił Omikron.

— Mojego meteora — poprawił mr. Forsyth.

Mylili się obaj. Luneta doktora Hudelson'a była skierowana w tej właśnie chwili ku południowschodowi, tam gdzie się meteor ukazał. Doktor zobaczył go i również jak mr. Forsyth nie spuszczał z niego wzroku, dopóki nie znikł w mgłach południa.

Zresztą nietylko astronomowie z Whastonu zauważyli to zjawisko. Obserwatorium w Pittsburgu dostrzegło je również, a jeżeli dodamy obserwatorium z Bostonu, będziemy mieli trzykrotne jego stwierdzenie.

Słowem powrót tego meteoru był faktem wielce zaciekawiającym, o ile wogóle meteor ten miał realne znaczenie! Skoro ujrzano go powtórnie, to znaczy, że droga jego była zamknięta. Nie należał on do tych gwiazd spadających, które znikają, zaledwie ukazawszy się w najwyższych warstwach atmosferycznych, ani też do tych asteroidów, które zjawiają się raz tylko i giną w przestworzach, lub też do tych aerolitów, których upadek następuje zaraz po ukazaniu się. Nie, meteor ten wracał, krążył naokoło ziemi, jak drugi satelita. Zasługiwał więc, aby się nim zajmowano, i dlatego należy usprawiedliwić zapamiętałość mr. Dean Forsyth'a i doktora Hudelson'a w ubieganiu się o pierwszeństwo.

Skoro meteor podlegał stałym prawom, zatem można było obliczyć jego elementy. Wszędzie zajmowano się tem potrochu, ale nigdzie z taką gorliwością jak w Whastonie. Wszakże, aby zadanie było całkowicie rozwiązane, należało dokonać jeszcze kilku dobrych spostrzeżeń.

Pierwszą rzeczą, określoną już w czterdzieści ośm godzin później przez matematyków, którymi nie byli ani mr. Dean Forsyth, ani doktor Hudelson, była droga meteoru.

Droga ta szła ściśle w kierunku od północy ku południowi. Małe zboczenie, o $3^{\circ}51'$, zaznaczone przez mr. Dean Forsyth'a w odezwie do obserwatorium w Pittsburgu, było tylko pozorne i wypływało z obrotu ziemi.

Czterysta kilometrów dzieliło meteor od powierzchni ziemi, jego niezwykła zaś szybkość nie była mniejszą od sześciu tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciu siedmiu metrów na sekundę. Dokonywał więc obrotu dookoła ziemi w godzinę czterdzieści jeden minut, czterdzieści jeden sekund i dziewięćdziesiąt trzy setne, z czego ludzie wiedzy wnosili, że nie ukaże się nad Whastonem prędzej, niż za sto cztery lata, sto siedmdziesiąt sześć dni i dwadzieście dwie godziny.

Co za szczęśliwe obliczenie dla mieszkańców miasta, którzy obawiali się tak bardzo upadku nieszczęsnego asteroidu! Jeżeli spadnie, to w każdym razie nie na nich.

„Ale dlaczegoż miałby spaść? — pytał *Whaston Morning*. — Niema żadnego powodu przypuszczać, że napotka na swej drodze jakąkolwiek przeszkodę, ani że zatrzyma się w swym ruchu postępowym.“

Było to oczywiste.

„Zapewne — zauważył *Whaston Evening* — są aerolity, które spadały i spadają do-
tąd. Ale ich objętość zwykle jest mała i spadają wtedy tylko, gdy przyciąganie ziemi zaskoczy je w przebiegu.“

Objaśnienie to zgadzało się z prawdą i nie mogło mieć zastosowania do meteoru, którego bieg był prawidłowy i którego upadek był równie niemożliwy jak upadek księżyca.

Ale oprócz tego wyjaśnienia powstawało jeszcze kilka innych, zanim można było osiąść dokładną wiadomość o tym asteroidzie, który jak gdyby stał się drugim satelitą ziemi.

Jaką była jego objętość? jaką masę, jaką naturę?

Na pierwsze zapytanie Whaston Standard odpowiedział, co następuje:

„Wnosząc z wysokości i pozornych rozmiarów meteoru, jego średnica musi przewyższać pięćset metrów, tak przynajmniej wnosić można ze spostrzeżeń dotąd czynionych. Ale nie można było dotąd poznać jego istoty. Widoczny jest dlatego — i to dzięki bardzo silnym szkłom — że ma blask niezwykle, spowodowany prawdopodobnie tarciem atmosferycznym, pomimo że powietrze jest bardzo rozrzedzone na takiej wysokości. Następnie, czy meteor ten nie jest tylko skupieniem ciał w stanie gazowym? Albo czy przeciwnie nie składa się ze stałego jądra, otoczonego powłoką świetlną? A w takim razie, jaka jest wielkość i istota tego jądra? Tego nikt nie wie i nigdy może wiedzieć nie będzie.

„Słowem, ani objętość, ani ruch postępowy tego meteoru nie przedstawiają sobą nic nadzwyczajnego. Jego jedyną osobliwością jest, że opisuje orbitę zamkniętą. Od jakiego czasu krąży dookoła naszej kuli? Najwytrawniejsi astronomowie nie byłiby zdolni odpowiedzieć

nam na to, ponieważ nie zauważyliby go nigdy swemi urządowemi teleskopami, gdyby nie nasi dwaj ziomkowie mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson, którym przypada sława tego wspaniałego odkrycia.“

W tem wszystkim, jak to rozsądnie zauważył Whaston Standard, niema nic nadzwyczajnego, wyjąwszy wymowę redaktora. To też świat uczony z wielkiem umiarkowaniem traktował to, co tak bardzo zajmowało ten wielce szanowany dziennik, a ogół nie zajmował się tem prawie wcale.

Jedynie mieszkańcy Whastonu przywiązywali wagę do wszystkiego, co miało związek z pojawieniem się meteoru, którego odkrycie zawdzięczano dwom czcigodnym osobistościom miasta.

Zresztą, być może, że i oni, jak inne istoty podksiężycowe, zaczęliby obojętnie traktować odnośne kosmiczne zjawiska, które Punch z uporem nazywał „komicznem“, gdyby dzienniki z coraz większą przejrzystością nie były czyniły wzmianek o współzawodnictwie mr. Dean Forsyth'a i doktora Hudelson'a, co dało pole do plotek i sposobność do kłótni. Wkrótce też miasto podzieliło się na dwa obozy.

Tymczasem termin ślubu zbliżał się. Mrs. Hudelson, Jenny i Loo z jednej strony, Francis Gordon i Mitz z drugiej, żyli w coraz większym niepokoju. Obawiali się ustawicznie wybuchu, wywołanego spotkaniem dwu współzawodników, jak dwu

chmur, naładowanych elektrycznością przeciwnych znaków, których spotkanie wywołuje iskrę, a po niej odgłos gromu. Wiedziano, że mr. Dean Forsyth nie przestawał się gniewać, wzburzenie zaś mr. Hudelson'a szukało tylko ujścia dla siebie.

Niebo Whastonu było naogół piękne, powietrze jasne, horyzont czysty. Obaj astronomowie mogli więc oddawać się swym badaniom. Sposobności nie brakło, gdyż meteor ukazywał się nad horyzontem przeszło czternaście razy na dobę, i wiedzieli już obecnie dokładnie, dzięki obliczeniom obserwatorów, gdzie zwracać mieli swoje teleskopy za każdym przejściem meteoru.

Co prawda, dogodność tych danych była tak nierówna, jak wysokość meteoru nad horyzontem. Ale jego przejścia były tak częste, że niedogodność nie miała większego znaczenia. Jeżeli nie powracał do matematycznego zenitu Whastonu, gdzie cudownym przypadkiem spostrzeżono go po raz pierwszy, to przechodził tak blisko, że praktycznie było to to samo.

Słowem, obaj astronomowie swobodnie mogli napawać się meteorem, szybującym w przestworzu nad ich głową i wspaniale otoczonym jasną aureolą.

Pochłaniali go wzrokiem. Pieścili go spojrzeniem. Każdy z nich nazywał go swem imieniem, meteor Forsyth, meteor Hudelson. Był on ich dzieckiem, ciało ich ciał. Należał do nich jak syn do rodziców, co więcej, jak stworzenie do stwórcy. Jego widok nie przestawał ich podniecać



. . . szybował w przestworzu, nad ich głowami, wspaniale
otoczony jasną aureolą. Str. 96.

(W pogoni za meteorem.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
ŚW. WÓJCIECHA W POZNANIU



Posyłali wyniki swych badań i przypuszczenia, które im nasuwała jego droga, jeden do obserwatorium w Pittsburgu, drugi do obserwatorium w Cincinnati, i obaj nie zapominali nigdy zaznaczać swego prawa pierwszeństwa do jego odkrycia.

Wkrótce ta cicha walka przestała wystarczać ich wzajemnej nienawiści. Nie zadowalało ich już zerwanie wszelkich stosunków dyplomatycznych, czyli stosunków osobistych, potrzeba im było walki jawnej i wojny urzędownie zdeklarowanej.

Pewnego dnia zjawiała się w *Whaston Standard* wzmianka dość zaczepna o doktorze Hudelson, wzmianka przypisywana mr. Dean Forsyth'owi. Głosiła, że zaiste niektórzy ludzie zanadto dobrze widzą, patrząc przez lunety bliźniego, i że spostrzegają zbyt łatwo to, co już przed nimi widziano.

Jako odpowiedź na tę wzmiankę *Whaston Evening* nadmieniał nazajutrz, że co do lunet, to niektóre z nich muszą być źle wycierane, skoro na ich szklach znajdują się pyłki, uważane przez niepowołanych astronomów za meteory...

Równocześnie *Punch* podawał wielce podobną karykaturę dwu współzawodników, zaopatrzonych w olbrzymie skrzydła i walczących o szybkość w osiągnięciu meteora przedstawionego w kształcie głowy zebry, pokazującej im język...

Jednakże pomimo że te wzmianki i uwłaczające przytyki wzmogły nienawiść dwu współzawodników, nie mieli jeszcze sposobności zająć od-

powiedniego stanowiska w sprawie projektowanego małżeństwa. Chociaż nie wspominali o niem, nie przeszkadzali jednakże biegowi rzeczy i nie nie upoważniało do przypuszczenia, że Francis Gordon i Jenny Hudelson nie pobiorą się w oznaczonym terminie, wiążąc się

Węzłem złotym,

Kończącym się wraz ze śmiercią,

jak opiewa stara piosenka bretońska.

Ostatnie dni kwietnia przeszły spokojnie. Atoli, pomimo że położenie nie pogarszało się, nie było danych, aby się miało polepszyć. Podczas posiłków u mr. Hudelson'a, nikt nie czynił najlżejszej wzmianki o meteorze, a miss Loo, milcząca na rozkaz matki, srożyła się wielce, nie mogąc obejść się z nim, jak należało. Dość było spojrzeć, jak krajała mięso, żeby zdać sobie sprawę, że myśli o meteorze i radaby go rozćwiartować na takie cząsteczki, aby zeń nie pozostało śladu. Jenny zaś nie ukrywała swego smutku, ale doktor udawał, że go nie widzi. A może nie widział go w istocie, zajęty wyłącznie swemi astronomicznemi kłopotami.

Naturalnie Francis Gordon'a nie było przy tych posiłkach. Poprzestawał na codziennych odwiedzinach w porze, kiedy doktor Hudelson znajdował się na swej wieżycy.

W domu na Elisabeth street zebrania przy stole jadalnym nie były weselsze. Mr. Dean Forsyth nie rozmawiał wcale, a jeżeli się zwracał do sta-

rej Mitz, służąca odpowiadała oschle „tak” lub „nie“.

Pewnego razu tylko, 28 kwietnia, mr. Dean Forsyth, wstając od stołu, spytał się siostrzeńca, czy bywa jeszcze u Hudelson'ów.

— Naturalnie — odpowiedział Francis tonem stanowczym.

— A dlaczego nie miałby bywać u Hudelson'ów? — spytała Mitz opryskliwie.

— Nie do ciebie mówię, Mitz! — mruknął mr. Forsyth.

— Ale ja panu odpowiadam. Pies też g a d a z biskupem.

Mr. Forsyth ruszył ramionami i odwrócił się do Francisa.

— Ja również odpowiedziałem wujowi. Bywam tam codziennie.

— Po tem, co mi ten doktor zrobił! — zawołał mr. Dean Forsyth.

— A cóż on zrobił?

— Odważył się odkryć...

— To co odkryłeś, wuju, sam, co każdy miał prawo odkryć... Bo, wreszcie, o cóż chodzi? o meteor, jakich tysiące przelatuje nad Whastonem.

— Tracisz czas, mój synu — przerwała Mitz opryskliwie. — Widzisz, że twój wuj stracił głowę z tym kamykiem, który jest tyle wart, co słupek kamienny w rogu domu.

Mr. Forsyth, którego mowa Mitz miała dar wyprowadzić z równowagi, odezwał się gniewnie:

— Otóż ja, Francis, zabraniam ci bywać u doktora.

— Żałuję, wuju, że muszę iść wbrew twojej woli — oświadczył Francis, siląc się na spokój — ale pójdę.

— Tak, pójdzie! — zawołała Mitz. — Choćby pan nas wszystkich miał posiekać na kawałki.

Mr. Forsyth nie zwrócił uwagi na to ryzykowne twierdzenie.

— A zatem trwasz w swym zamiarze? — spytał siostrzeńca.

— Tak, wuju.

— I myślisz poślubić córkę tego złodzieja?

— Tak, i nic na świecie nie zdoła mi przeszkodzić!

— Zobaczymy!...

Po tych słowach, będących pierwszym zwiastunem postanowienia niedopuszczenia do tego małżeństwa, mr. Dean Forsyth opuścił pokój, udając się do swej wieży, której drzwi zamknął z hałasem.

Że Francis Gordon nie wahał się powrócić jak zwykle do domu rodziny Hudelson, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Ale jeżeli za przykładem mr. Dean Forsyth'a doktor zabroni mu wstępu do siebie? Czyż nie należało się wszystkiego spodziewać po tych dwu wrogach, zaślepionych przez zazdrość wzajemną, przez nienawiść odkrywców, najgorszą ze wszystkich?

Jakże trudno było Francis Gordon'owi dnia tego ukryć swój smutek przed mrs. Hudelson i jej córkami! Nie chciał wspominać przed nimi o swem przykrem zajściu. Nacóż powiększać troski rodzinne, kiedy trwał w mocnem postanowieniu nieliczenia się z rozkazem wuja, na wypadek, gdyby ten upierał się przy swoim?

Czy bowiem rozsądny człowiek mógł nawet pomyśleć, że meteor miałby przeszkodzić szczęściu dwojga narzeczonych? Jeżeli mr. Forsyth'owi i doktorowi Hudelson'owi chodzi o to, żeby się nie spotkali przy obrzędzie ślubnym, to można się bez nich obejść. Zresztą, obecność ich nie jest konieczna. Najważniejszą jest rzeczą, aby nie odmówili swego zezwolenia... szczególnie ze strony doktora Hudelson'a, zważywszy, że Francis Gordon jest tylko siostrzeńcem swego wuja, gdy Jenny jest córką swego ojca, któraby wbrew jego woli wyjść za mąż nie mogła. Skoro wielebny O'Garth dokona obrządku ślubnego w kościele Saint-Andrew, to niech się kłóć w dalszym ciągu nieprzejednani przeciwnicy.

Jakby na potwierdzenie tych optymistycznych dowodzeń, kilka dni przeszło spokojnie. Pogoda trwała, a niebo było wyjątkowo jasne. Z wyjątkiem porannych i wieczornych mgieł, które znikwały po wschodzie i zachodzie słońca, żadna chmurka nie zasłaniała nieba, na którym codziennie zjawiał się meteor.

Nie potrzebujemy powtarzać, że pp. Forsyth i Hudelson pochłaniali meteor wzrokiem, wyciągali doń ręce, jakby chcąc go pochwycić i przycisnąć do piersi. O wiele byłoby lepiej, gdyby gruba warstwa chmur zasłoniła była to ciało przed ich oczami, przynajmniej jego widok nie podniecałby ich ustawicznie. To też Mitz przed udaniem się na spoczynek wygrażała pięścią pogodnemu niebu. Próżna groźba! Meteor w dalszym ciągu opisywał swą świetlną drogę na niebie, usianem gwiazdami.

Wszakże położenie rzeczy najbardziej pogarszało coraz widoczniejsze wmieszanie się publiczności w tę sprzeczkę natury prywatnej. Dzienniki, jedne z podnieceniem, drugie z gwałtownością, stawały po stronie albo mr. Forsyth'a albo doktora Hudelson'a. Ani jeden nie pozostał obojętny. Właściwie sprawa o pierwszeństwo nie powinna była ich obchodzić wcale, tymczasem żaden z nich ustąpić nie miał zamiaru. Z wyżyn wieżycy i wieży sprzeczka zstąpiła do biur redakcyj i należało spodziewać się niejednego smutnego następstwa. Ogłoszono już „meetingi,” na których roztrząsać miano tę oplakaną sprawę. Można sobie wyobrazić, z jakim nieumiarowaniem będą prowadzone te dyskusje, zważywszy gwałtowność obywateli wolnej Ameryki.

Mrs. Hudelson i Jenny zaniepokoiły się tem ogólnem podnieceniem! Loo napróżno starała się uspokajać matkę, Francis — swoją narzeczoną. Gniew obu współzawodników, pobudzany przez te

nieczne rozprawy, stawał się coraz widoczniejszym. Powtarzano zdania, prawdziwe czy fałszywe, wypowiedziane przez mr. Forsyth'a, albo znów słowa rzekomo wymówione przez mr. Hudelson'a, i z dnia na dzień, z godziny na godzinę położenie stawało się groźniejsze.

W tych okolicznościach padł grom z jasnego nieba, który wstrząsnął, można powiedzieć, światem całym.

Czyliż nastąpił wybuch meteoru, którego echo rozeszło się szeroko po sklepieniu niebieskiem?

Nie, chodziło tylko o wiadomość osobliwego rodzaju, która dzięki elektrycznej szybkości telegrafu i telefonu rozniosła się po wszystkich republikach i królestwach Starego i Nowego Świata.

Wiadomość ta nie pochodziła ani z wieżycy mr. Hudelson'a, ani z wieży mr. Forsyth'a, ani z obserwatorium w Pittsburgu, ani w Bostonie, ani w Cincinnati. Tym razem obserwatorium paryskie poruszyło świat cały za pośrednictwem prasy, ogłaszając 2 maja, co następuje:

„Meteor, na który dwaj szanowani obywatele miasta Whaston stanu Wirginja zwrócili uwagę obserwatorjom w Pittsburgu i Cincinnati, i którego ruch dokoła ziemi dokonywa się dotąd z całą prawidłowością, obecnie badany jest dniem i nocą we wszystkich obserwatoriach świata przez cały zastęp znanych astronomów, którzy swą niezrównaną znajomość rzeczy oddają z całym poświęceniem na usługi wiedzy.

„Ścisłe badanie nie zdołało jeszcze wyjaśnić wszystkich części zagadnienia, pomimo to wszakże obserwatorium paryskie rozwiązało najważniejszą jego część, gdyż istotę tego meteoru.

„Promieniowanie tego meteoru zostało zbadane przy pomocy analizy widmowej, a z położenia ich prążków, można było wnioskować z całą pewnością o substancji tego świetlnego ciała.

„Jego jądro, otoczone powłoką świetlną, skąd wychodzą badane promienie, nie jest w stanie gazowym, lecz stałym. Nie składa się ani z żelaza rodzimego, jak wiele aerolitów, ani z żadnych innych składników chemicznych, które zwykle wchodzą w skład tych ciał błędzących.

„Meteor ten jest ze złota, czystego złota, a jeżeli nie można było dotąd ocenić jego wartości, to dlatego, że nie zdołano jeszcze wyliczyć rozmiarów tego jądra.”

Ta wiadomość obiegła świat cały. Następstwa, jakie pociągnęła za sobą, łatwiej jest wyobrazić sobie, niż opisać. Kula złota, masa szlachetnego metalu, którego wartość wynosiła miljardy, krążyła dookoła ziemi! Do jakichże marzeń pobudzić może ta wiadomość! Jaką pożądlivość wznieci w całym świecie, a szczególnie w tem mieście Whaston, któremu przypada sława tego odkrycia, przede wszystkim zaś w sercach dwu jego obywateli, odtąd nieśmiertelnych, Dean Forsyth'a i Sydney Hudelson'a!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY,

w którym dzienniki, publiczność, mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nadużywają swej wiedzy matematycznej.

Ze złota!... Jest ze złota!

Pierwszem wrażeniem była nieufność. Dla jednych była to pomyłka, która niebawem odkrytą zostanie; dla drugich — genialny dowcip...

Gdyby tak być miało, obserwatorium paryskie nie omieszkałoby pośpieszyć z zaprzeczeniem, a w takim razie zrzekłoby się odpowiedzialności za podaną wiadomość.

Powiedzmy zaraz, że zaprzeczenie to nie ukazało się. Przeciwnie, astronomowie ze wszystkich krajów, powtarzając na wyścigi obserwacje swych kolegów francuskich, potwierdzili jednogłośnie wnioski podane. Trzeba więc było przyjąć zjawisko za sprawdzone i pewne.

Wtedy szal ogarnął wszystkich.

Wiadomo, że przy zaćmieniu słońca szkła optyczne rozchodzą się w wielkich ilościach. Można przeto wyobrazić sobie, ile sprzedano lornetek, lunet, teleskopów wobec tego pamiętnego zdarzenia! Żaden panujący czy panująca, żadna sławna śpiewaczka lub baletnica nie były tak lornetowane,

z takim zapamiętaniem, jak ten meteor wspa-
niały, obojętnie i prawidłowo szybujący w prze-
stworzu.

Pogoda dopisywała stale, ułatwiając uprzejmie
badania. To też mr. Dean Forsyth nie opuszczał
wcale swej wieży, a doktor Hudelson — wieżycy.
Obaj starali się wyznaczyć najważniejsze elementy
meteoru, jego objętość, masę, nie uwłaczając po-
szczególnym właściwościom, które ściśle badania
mogły odkryć. Jeżeli ostatecznie niepodobieństwem
będzie rozstrzygnąć spór o pierwszeństwo, to ja-
kąż przewagę odniesie nad drugim ten z przeciw-
ników, który wyrwie mu jedną z jego tajemnic!
Czyż sprawa meteoru nie była sprawą dnia?
W przeciwieństwie do Gallów, którzy tego tylko
się obawiali, aby niebo nie spadło im na głowy,
ludzkość cała ożywiona była jednym jedynem
pragnieniem, aby meteor, wstrzymany w swym
biegu w odpowiedniej chwili przyciąganiem ziemi,
wzbogacił kulę ziemską swemi błędzącemi miljar-
dami.

Ileż czasu poświęcono na obliczenie liczby
tych miliardów! Niestety, obliczenia te nie miały
podstawy, ponieważ rozmiary jądra były nieznane.

W każdym razie wartość tego jądra bez
względu na jego wielkość musiała być znaczna,
a to wystarczało, aby podniecić wyobraźnię.

3 maja *Whaston Standard* podał w tym
przedmiocie artykuł, który po długich uwagach
kończył się jak poniżej:

„Przypuściwszy, że jądro meteoru Forsyth-Hudelson składa się z kuli, liczącej tylko dziesięć metrów średnicy, to ważyłaby ona, gdyby była z żelaza, trzy tysiące siedmset siedmdziesiąt trzy tonn. Ale waga tej samej kuli ze szczerego złota wynosiłaby dziesięć tysięcy ośmdziesiąt trzy tonny i wartaby była przeszło trzydzieści jeden miliardów franków.“

Jak widać z tego, Standard, hołdujący prądom nowoczesnym, opierał się w swych obliczeniach na systemie metrycznym. Niechże nam wolno będzie złożyć mu serdeczne powinszowanie!

A zatem meteor o tak małej nawet objętości miałby wartość podobną!...

— Czyż możliwe, panie? — wyjąkał Omikron po przeczytaniu tej wzmianki.

— To nie tylko prawdopodobne, ale pewne — z powagą odpowiedział mr. Dean Forsyth. — Ażeby dojść do tego wyniku, wystarczy pomnożyć masę przez średnią wartość złota, czyli 3100 franków kilogram, która to masa jest iloczynem objętości, otrzymanej w najprostszy sposób ze wzoru:

$$V = \frac{\pi D^3}{6}.$$

— Tak, w istocie!... — potwierdził Omikron z miną znawcy, chociaż nie rozumiał tego wcale.

— Ale, że ten dziennik łączy ciągle moje nazwisko z nazwiskiem tego osobnika!

Prawdopodobnie doktor Hudelson czynił ze swej strony tę samą uwagę.

Miss Loo zaś, przeczytawszy dowodzenie *Standarda*, zrobiła tak pogardliwą minkę swemi pięknymi ustami, że te trzydzieści jeden miliardów czułyby się bardzo upokorzone, gdyby ten grymas spostrzegły.

Wiadomo, że temperament dziennikarzy skłonny jest instynktownie do przeliczowania kolegów. Skoro jeden powie dwa, drugi bez wahania powie trzy. To też nie można się dziwić, że tegoż wieczora *Whaston Evening* odpowiedział w słowach, zdradzających potępienia godną stronniczość swych zapatrywań.

„Nie rozumiemy, dlaczego *Standard* okazał się tak skromny w swych obliczeniach. My będziemy śmielsi, przypuszczając, że średnica jądra meteoru Hudelson wynosi sto metrów. Opierając się na tym rozmiarze, waga tego rodzaju kuli szczerzłotej wynosiłaby dziesięć milionów, ośmdziesiąt trzy tysiące, czterysta ośmdziesiąt tonn, i jej wartość przewyższałaby trzydzieści jeden tryljonów dwieście sześćdziesiąt miliardów franków — to jest liczbę o czternastu cyfrach!”

— A do tego nie licząc centymów — zauważył żartobliwie *Punch*, przytaczając te olbrzymie liczby, których wyobraźnia nie może objąć.

Tymczasem, korzystając z pięknej pogody, mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson coraz zapamiętalej oddawali się swym badaniom, w nadziei że ubiegną przeciwnika przynajmniej w ustaleniu roz-

miarów jądra asteroidu. Niestety bardzo trudno było określić zarys z powodu jego błyszczącej powłoki.

Pewnego razu jedynie, w nocy z 5 na 6 mr. Dean Forsyth'owi zdawało się, że osiągnął cel. Ponieważ promieniowanie na chwilę osłabło, można było zauważyć kulę o nadzwyczajnym blasku.

— Omikron! — zawołał mr. Dean Forsyth głosem stłumionym przez wzruszenie.

— Panie?

— Jądro!

— Tak... Widzę je.

— Nareszcie je mamy!

— Ba! — zawołał Omikron — już go nie widać!

— Mniejsza o to, widziałem je!... Moją to będzie sławą!... Jutro rano wysyłam telegram do obserwatorium w Pittsburgu, a ten nędznik Hudelson nie będzie mógł tym razem twierdzić...

Czy mr. Dean Forsyth łudził się, czy też doktor Hudelson rzeczywiście dał się ubiec? Nikt się o tem nigdy nie dowie. List do obserwatorium w Pittsburgu również nie został wysłany.

6 maja bowiem następująca wzmianka ukazała się w dziennikach całego świata:

„Obserwatorium w Greenwich ma zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że z jego obliczeń i z obserwacji bardzo dokładnych wynika, że meteor, odkryty przez dwu szanowanych oby-

wateli miasta Whastonu, a uznany za szczer-złoty przez obserwatorjum paryskie, składa się z kuli o stu dziesięciu metrach średnicy i objętości około sześciuset dziewięćdziesięciu sześciu tysięcy metrów sześciennych.

„Podobna kula złota musiałaby ważyć przeszło trzynaście milionów tonn. Tymczasem rachunek zaprzecza temu. Waga rzeczywista meteoru wynosi zaledwie siódmą część poprzedniej liczby czyli mniej więcej milion ośmset sześćdziesiąt siedm tysięcy tonn, jest to waga odpowiadająca objętości około dziewięćdziesięciu siedmiu tysięcy metrów sześciennych i średnicy w przybliżeniu pięćdziesięciu siedmiu metrów.

„Rozważania te naprowadzają nas bezpośrednio na wniosek, że, ponieważ skład chemiczny meteoru nie podlega wątpliwości, w metalu, z którego składa się jądro, są puste, obszerne komórki, lub też, co jest prawdopodobniejsze, metal ten znajduje się w stanie rozpylonym, a w takim razie jądro jego jest porowate naksztalt gąbki.

„Bądź co bądź obliczenia i badania pozwalają nam określić dokładnie wartość meteoru. Wartość ta, według obecnego kursu złota, nie jest mniejszą nad pięć tysięcy siedmset ośmdziesiąt ośm miliardów franków.”

A zatem, jeżeli średnica nie wynosiła stu metrów, jak przypuszczał Whaston Evening, nie

miała ona również dziesięciu metrów, jak twierdził Standard. Prawda leżała pośrodku. W każdym razie jednak mogła zadowolić najzuchwalsze pragnienia, o ile meteor nie miałby wiekuiście szybować ponad kulą ziemską.

Gdy mr. Dean Forsyth dowiedział się o wartości swego meteoru, zawołał:

— To ja go odkryłem, a nie ten łotr z wieżycy. Do mnie należy, a gdyby spadł na ziemię, posiadałbym pięć tysięcy ośmset miliardów!

Ze swej strony doktor Hudelson, wygrazając wieży pięścią, powtarzał:

— To jest moje dobro... moja własność... jest to spuścizna moich dzieci, szybująca w przestworzu. Gdyby spadł na ziemię, należałby całkiem do mnie, byłbym pięć tysięcy ośmset razy miliardem!

Jest rzeczą pewną, że Vanderbilt, Astor, Rockefeller, Pierpont Morgan, Mackay, Gould i inni krezusi amerykańscy byliby w takim razie drobnymi kapitalistami wobec doktora Hudelson'a albo mr. Dean Forsyth'a!

Oto do czego doszli. Jeżeli nie potracili głowy, to dlatego, że te głowy były mocne!

Francis i mrs. Hudelson wiedzieli dobrze, czem się to skończy. Ale jakim sposobem powstrzymać współzawodników na tej śliskiej drodze? Niepodobna mówić z nimi spokojnie. Zdawało się, że zapomnieli o mającym się odbyć ślubie, myśląc tylko

o współzawodnictwie, tak oplakanie podtrzymywanem przez dzienniki.

Artykuły tych pism, zwykle spokojne, stawały się gwałtowne, a pożalowania godne osobiste wycieczki mogły być wyprowadzić z równowagi ludzi najbardziej umiarkowanych.

Ze swej strony Punch swemi epigramami i karykaturami nie przestawał drażnić współzawodników. Jeżeli nie dolewał oliwy do ognia, to co najmniej sypał nań sól swych żartów, która oczywiście ogień podsycala.

Zaczęto się obawiać, aby mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nie chcieli walczyć o meteor z bronią w ręku i załatwić sprawy pojedynkiem amerykańskim. Odbiłoby się to smutnie na losie dwojga narzeczonych!

Na szczęście dla spokoju świata, podczas gdy obaj manjacy tracili codziennie część swego zdrowego rozsądku, publiczność wracała do równowagi. Powoli zaczęto się zastanawiać, że mało korzyści przyniesie wartość tego meteoru, skoro dosięgnąć go nie można, i uwaga ta uspokoiła umysły.

Otóż było rzeczą pewną, że dosięgnąć go nie było można. Codziennie zjawiał się o godzinie wyznaczonej obliczeniem. Szybkość jego zatem była jednostajna i, jak zauważył pierwszy Whaston Standard, nie było żadnej przyczyny, dla której miałyby się ona zmniejszyć. Stąd wniosek, że meteor będzie wiekuiście szybował dookoła ziemi, jak prawdopodobnie czynił to dotąd.

Rozważania te, powtarzane dowoli przez wszystkie dzienniki całego świata, przyczyniły się bardzo do uspokojenia umysłów. Z dnia na dzień mniej zajmowano się meteorem, wreszcie każdy wrócił do swego zajęcia z westchnieniem żalu za niedoścignionym skarbem.

W numerze z 9 maja *Punch* stwierdził tę rosnącą obojętność publiczności dla przedmiotu tak żywo ją zajmującego kilka dni temu i sądząc, że jego żarty wywierają najlepszy skutek, znalazł znów powód do napaści na odkrywców meteoru.

„Kiedyż nareszcie — pisał z oburzeniem *Punch*, kończąc swoją odezwę — nie będą ukarani ci dwaj złoczyńcy, których już napiętnowaliśmy publicznie? Nie dość, że chcieli zniszczyć za jednym zamachem miasto, w którym się urodzili ale obecnie stają się przyczyną ruiny jednej z najbardziej szanowanych rodzin. Przeszłego tygodnia nasz przyjaciel, wprowadzony w błąd przez ich złudne i kłamliwe twierdzenia, roztrwonił w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin olbrzymi majątek. Nieszczęśliwy liczył na miljarady meteoru! Co poczną teraz biedne dzieci naszego przyjaciela, skoro miljarady przechodzą nam pod... nie, nad nosem? Czy potrzebujemy dodawać, że ten przyjaciel jest symboliczny i że jest legionem? Proponujemy, aby jednogłośnie mieszkańcy kuli ziemskiej wytoczyli proces pp. Dean Forsyth'owi i Sydney Hudelson'owi, żądając, aby zapłacili pięć

tysięcy siedmset osiemdziesiąt ośm miliardów od-
szkodowania. I żądamy, aby ich zmuszono do
tego!”

Winowajcy nie dowiedzieli się nigdy, że byli za-
grożeni procesem, dotychczas niebywałym i zresztą
trudnym do przeprowadzenia.

Podczas gdy inni śmiertelnicy wracali do rze-
czy ziemskich, pp. Dean Forsyth i Sydney Hudel-
son wciąż przebywali w przestworzu, przyglądając
mu się uporczywie przez szkła teleskopu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY,

w którym Zefirynowi Xirdal przychodzi jeden, a właściwie dwa pomysły do głowy.

Poufale mówiono: „Zefiryn Xirdal... Co za typ!” Zarówno pod względem fizycznym jak i moralnym Zefiryn Xirdal był rzeczywiście osobistością niezwykłą.

Długie ciało jak gdyby rozczłonkowane, kośzula często bez kołnierza, a zawsze bez mankietów, spodnie pomięte, kamizelka bez dwu lub trzech guzików, marynarka obszerna z kieszeniami wypchanymi tysiącem przedmiotów, wszystko bardzo brudne i na chybił trafił wyciągnięte ze stosu najrozmaitszych ubrań, oto pobieżny obraz Zefiryna Xirdal'a i jego poglądów na elegancję. Ze zgarbionych pleców, jak ze sklepienia piwnicy, zwisały dwa długie ramiona, zakończone olbrzymimi włochatymi rękoma, zresztą zadziwiającej zręczności, które bardzo rzadko miewały do czynienia z mydłem.

Jeżeli głowa, na modłę wszystkich, stanowiła punkt kulminacyjny tego osobnika, to dlatego, że inaczej być nie mogło. Ale oryginał ten, jakby dla powetowania sobie tego przymusu ukazywał z przyjemnością wszystkim swe niepomierne brzydkie oblicze. A jednak te rysy, kanciaste i sprzeczne,

zatrzymywały uwagę: podbródek ciężki, kwadratowy, duże usta o wargach grubych, zaopatrzone w mocne zęby, nos szeroko spłaszczony, uszy odstające, jak gdyby czuły wstręt do czaszki, wszystko to przypominało bardzo słabo pięknego Antinousa. Przeciwnie, czoło poważnie wyniosłe, o szlachetnym zarysie, wieńczyło to osobliwe oblicze, jak świątynia wieńczy pagórek, świątynia na wzór najwznioślejszych myśli. Wreszcie, dla dopełnienia tych zagadkowych kontrastów, Zefiryn Xirdal ukazywał pod szerokiem czołem dwoje oczu wypukłych, które wyrażały zależnie od godziny i minuty, albo najwyższą inteligencję, albo największą głupotę.

Strona moralna również odcinała się niemniej jaskrawo od banalności współczesnych.

Opierając się wszelkiej nauce systematycznej, od najmłodszych lat oświadczył, że będzie się kształcił sam, i zmusił rodziców do poddania się jego niezłomnej woli, na czem, ostatecznie, źle nie wyszli. W wieku, w którym młodzież często przebywa jeszcze w gimnazjach, Zefiryn Xirdal dla zabawy, jak mówił, złożył egzamina konkursowe do wszystkich szkół wyższych, otrzymując na nich zawsze pierwsze miejsce.

Swoją drogą zapominał o swych sukcesach wnet po ich zdobyciu, tak że te szkoły musiały kolejno wykreślać laureata ze swoich list, ponieważ zapominał do nich uczęszczać.

Po śmierci rodziców, w ośmnastym roku życia został panem swej woli i rozporządzać mógł pięć-

nastu tysiącami renty rocznej. Zefiryn Xirdal, zlikwidowawszy wszystkie zobowiązania spadku na żądanie swego opiekuna i chrzestnego ojca bankiera Roberta Lecoeur, którego od dzieciństwa nazywał „wujem”, zajął dwa małe pokoje na szóstym piętrze, przy ulicy Cassette, w Paryżu.

Mieszkał tam jeszcze w trzydziestym pierwszym roku życia, nagromadzając w nich powoli całe stosy najprzeróżniejszych sprzętów. Były tam maszyny i ogniwa elektryczne, dynamo, przyrządy optyczne, retorty i sto innych rozmaitych rzeczy. Stosy broszur, książek, papierów wznosiły się od podłogi do sufitu, zajmując jedyne krzesło i stół i podwyższając tem samem ich poziom do tego stopnia, że oryginał siedząc na jednym z nich, mógł pisać na drugim. W dodatku, jeżeli mu te papiery przeszkadzały zbytnio, ciskał je na środek pokoju i spokojnie wracał do pracy na stole, sprzątniętym dokładnie, ponieważ nie pozostawało na nim nic, a więc gotowym do pomieszczenia nowych zapasów.

Czemże zajmował się Zefiryn Xirdal? Należy przyznać, że naogół zadawała się paleniem niewygasającej fajki, puszczając wodze marzeniom. Ale od czasu do czasu przychodził mu do głowy jakiś pomysł. Wtedy sprzątał stół na swój sposób, to znaczy, zmiatał zeń wszystko jednym pociągnięciem pięści, i zasiadał przy nim, nie opuszczając go przedzej, aż skończył swą pracę, która trwać mogła zarówno czterdzieści minut jak czterdzieści godzin. Następnie, po postawieniu kropki, pozostawiał na

stole zapisany papier, do którego przyłączały się niebawem inne, tworząc stos, skazany również na uprzątnięcie z chwilą, gdy nowy pomysł przyjdzie mu do głowy.

Pomysły te, wywołujące dorywczy kryzys pracy, dotyczyły rozmaitych dziedzin. Wyższa matematyka, fizyka, chemja, fizjologia, filozofja, nauki oderwane i stosowane pokolei przyciągały jego uwagę. Wszystko jedno, jakiego rodzaju było zagadnienie; każde studjował z równą zaciekleścią, prawie z szaleń, i dopóty mozolił się nad niem, dopóki go nie rozwiązał o ile...

O ile inny pomysł niespodziewanie nie zajął jego uwagi. Zdawało się wtedy, że ten dziwak skończony rzucał wszystko, przenosząc się na wybijane pole chimery w pogoni za drugim motylem, którego błyszczące barwy go przyciągały, i zapominał o poprzednim szale w upojeniu nowego marzenia.

Ale w danym razie było to chwilowe zapomnienie. Prędzej czy później, gdy tylko w ręce wpadła mu praca rozpoczęta, wracał do niej z nowem zapamiętaniem, a chwilowa przerwa nie przeszkodziła mu w doprowadzeniu do rozwiązania rozpoczętego zadania.

Ileż to głębokich i doniosłych poglądów, ile rozwiązanych trudności najzawilszych z dziedziny nauk ścisłych i doświadczalnych, ile wynalazków praktycznych tkwiło w tym stosie papierów, które Zefiryn Xirdal odtrącał od siebie jednym pogardliwym pchnięciem nogi! Nie myślał nigdy o wy-

korzystaniu swego skarbu, chyba że który z jego rzadkich przyjaciół skarżył się przed nim nad bezowocnością swych poszukiwań.

— Czekaj — mówił wtedy Xirdal. — Zdaje mi się, że będę miał coś o tem.

Równocześnie wyciągał rękę i trafiał z przedziwnym instynktem pod tysiącem kartek, mniej lub więcej pomiętych, na pracę z tej dziedziny, wręczał ją przyjacielowi, pozwalając na korzystanie z niej bez zastrzeżeń. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że postępował wbrew swym interesom.

O pieniądze mu nie chodziło. Skoro potrzebował pieniędzy, zwracał się do swego chrzestnego ojca, p. Roberta Lecoeur, który, chociaż przestał być jego opiekunem, pozostał jego bankierem, dostarczającym mu zawsze potrzebnej sumy na zaspokojenie jego potrzeb. To też Zefiryn, odkąd mieszkał przy ulicy Cassette, udawał się zawsze do bankiera, wiedząc, że dostanie żadaną kwotę pieniędzy. Zadowalało go to w zupełności. Mieć coraz to nowe pragnienia i wiedzieć, że mogą być urzeczywistnione, jest to zapewne jedna z postaci szczęścia. Ale nie jest jedyną. Nie mieć żadnego pragnienia i być zupełnie szczęśliwym było udziałem Zefiryna Xirdal'a.

Otóż 10 maja zrana ten szczęśliwy człowiek, wygodnie siedzący na swem jedynem krześle, z nogami opartymi o okno, a położonemi o kilka centymetrów wyżej od głowy, palił fajkę niezwykle aromatyczną, zabawiając się odgadywaniem rebusów

i słów, ułożonych w kwadrat na papierze w formie worka, którym obdarzył go kupiec przy sprzedaży jakiegoś artykułu spożywczego. Skoro skończył rozwiązywanie tego ważnego zadania, rzucił papier na stos innych i wyciągnął niedbale lewą rękę, chcąc wziąć ze stołu cokolwiek bądź.

Natrafiał na paczkę gazet nierozpieczętowanych, wziął na chybił trafił jedną, był to numer *Journala* z ubiegłego tygodnia. Starożytność daty nie przestraszyła czytelnika żyjącego poza obrębem czasu i przestrzeni.

Przebiegł wzrokiem pierwszą stronicę, ale naturalnie jej nie czytał. To samo było z innemi aż do ostatniej. Tu zatrzymał się, śledząc ogłoszenia; następnie, myśląc, że to nowa strona, wrócił najspokojniej do pierwszej.

Niewiele myśląc, spojrział na początek pierwszego artykułu i błysk zastanowienia zjawiał się w wypukłych źrenicach, dotąd bezmyślnie patrzących.

Błysk ten powoli przechodził w płomień, w miarę jak przedłużało się czytanie.

— A to co!... A to co!... a to co!... — powtórzył Zefiryn Xirdal z trzykrotną zmianą w głosie, czytając artykuł po raz wtóry.

Miał zwyczaj mówić głośno w samotności swego pokoju. Chętnie nawet mówił w liczbie mnogiej, jakby łudząc się, że przemawia do większego audytorjum, słuchającego go z zaparciem tchu, a które musiało być licznem, skoro składało się ze wszystkich uczniów, wielbicieli, przyjaciół,

których Zefiryn Xirdal nie miał nigdy i nigdy miećby nie mógł.

Tym razem był mniej wymowny i ograniczył się do tego trzykrotnego wykrzyknika. Ogromnie zajęty treścią *Journala* czytał go w milczeniu.

O czym tedy czytał z takim zapamiętaniem?

Ostatni z mieszkańców świata dowiadywał się o odkryciu meteoru, whastońskiego i o jego niezwykłym składzie, gdyż przypadkiem trafił na ustęp opowiadający o tej cudownej kuli złotej.

— Cóż to nowego!... — oświadczył głośno, przeczytawszy rzecz po raz drugi.

Kilka minut siedział zamyślony, poczem spuścił nogi z okna i zbliżył się do stołu. Kryzys pracy był nieunikniony.

Bez wahania znalazł pomiędzy innemi potrzebny mu przegląd naukowy i zerwał opaskę. Przegląd otworzył się sam na potrzebnej kartce.

Przegląd naukowy ma prawo do większej obfitości szczegółów, niż wielki dziennik codzienny. Ten posiadał ich dostatecznie. Elementy meteoru — droga, szybkość, objętość, masa, istota — podane były w kilku stronach, dopiero po całych stronach wykresów i równań algebraicznych.

Zefiryn Xirdal przyswoił sobie bez trudu ten pokarm intelektualny, niezbyt wszakże łatwo strawny, poczem obrzuciwszy wzrokiem niebo, stwierdził, że żadna chmura nie zaciemnia błękitu.

— Zobaczymy! — mruknął, wykonywając ręką kilka szybkich obliczeń.

Następnie zanurzył rękę pod stos papierów, leżących w jednym z rogów stołu, i szybkim ruchem, którego sprawność świadczyła o wielokrotnem sprawianiu tej czynności, odsunął stos na drugi koniec.

— To zadziwiające, jaki u mnie porządek! — powiedział z widocznem zadowoleniem, gdy po tem „odsunięciu”, stosownie do jego przewidywań, ukazała się luneta astronomiczna, pokryta warstwą kurzu, jak stuletnia butelka.

W jednej chwili postawił lunetę przed oknem, skierował ją na punkt nieba, wyznaczony swojemi obliczeniami, i przyłożył oko do szkła.

— Zupełna prawda — rzekł po kilku minutach badania.

Zastanowiwszy się jeszcze kilka minut, wziął kapelusz, zszedł z sześciopiętrowych schodów i podążył na ulicę Drouot, która szczyliła się położonym przy niej domem bankowym Lecoeur'a.

Zefiryn Xirdal uznawał tylko jeden sposób lokomocji: ani omnibus, ani tramwaj, ani żaden pojazd — tylko własne nogi, choćby droga była najdłuższą.

Ale nawet w tej czynności, najnaturalniejszym i najpraktyczniejszym ze sportów, nie mógł wyzbyć się swej oryginalności. Z oczyma spuszczone, poruszając szerokimi ramionami z prawej strony na lewą, szedł ulicą, jak gdyby był na pustyni. Pojazdy, przechodnie nic i nikt go nie wzruszał. To też ile nasłuchiwał się różnych przezwisk: „idjota, źle wychowany, grubjanin” od przechodniów, których

popychał lub deptał bez ceremonji! Ileż przekleństw bardziej dosadnych obito się o jego uszy od krzykliwych furmanów, którzy zmuszeni byli nagle wstrzymywać bieg koni, ażeby nie zapelniać szpalty dzienników zdarzeniami, w których Zefiryn Xirdal odegrałby rolę ofiary!

Nic go to nie obchodziło. Nie zwracając uwagi na ten chór przekleństw, które biegły za nim jak brózdza za okrętem, szedł niewzruszony szerokim i równym krokiem.

W dwadzieścia minut był już na ulicy Drouot, w banku Lecoeur'a.

— Czy zastałem wuja? — spytał woźnego, który wstał na jego spotkanie.

— Tak, panie Xirdal.

— Jest sam?

— Sam.

Zefiryn Xirdal otworzył obite drzwi i wszedł do gabinetu bankiera.

— A... to ty? — spytał machinalnie p. Lecoeur, spojrzawszy na pseudo-siostrzeńca.

— Ponieważ stoję tu żywyicały — odpowiedział Zefiryn Xirdal — śmiem zauważyć, iż to pytanie jest zbyteczne, a odpowiedź byłaby niepotrzebna.

P. Lecoeur, przyzwyczajony do dziwactw chrześniaka, którego uważał słusznie za istotę niezrównoważoną, choć skądinąd genjalną, zaczął się śmiać z całego serca.

— Rzeczywiście — przyznał — ale odpowiedzieć: tak, zajęłoby mniej czasu. A jakież jest cel twych odwiedzin?

— Wszak stoję przed tobą, więc...

— Nie kończ! — przerwał p. Lecoeur. — Drugie moje pytanie jest również zbyteczne jak pierwsze, z doświadczenia bowiem jest mi wiadomem, że przychodzisz tylko wtedy, gdy ci potrzeba pieniędzy.

— A czyż nie jesteś moim bankierem? — odparł Zefiryn Xirdal.

— Prawda — potwierdził p. Lecoeur — ale ty jesteś osobliwym klientem! Czy pozwolisz, że przy sposobności będę ci służył radą?

— Jeżeli może ci to sprawić przyjemność!

— Radą tą jest, żebyś był mniej oszczędny. Cóż bowiem robisz, kochany chłopcze, ze swoją młodością? Czy masz chociaż pojęcie o stanie twego rachunku u mnie?

— Najmniejszego.

— Twój rachunek jest wprost potworny. Rodzice twoi zostawili ci piętnaście tysięcy franków renty, nie wydajesz zaś nawet czterech!

— Co znowu!... — zawołał Xirdal głosem zdziwionym, pomimo że słyszał tę uwagę co najmniej dwadzieścia razy.

— Tak jest. Procenty twoje rosną. Nie znam dokładnie twego obecnego kredytu, ale z pewnością przewyższa sto tysięcy franków. Co zrobić z temi pieniędzmi?

— Rozważę sprawę — odrzekł Zefiryn Xirdal najpoważniejszym tonem. — Zresztą, jeżeli te pieniądze przeszkadzają tobie, pozbadź się ich.

— W jaki sposób?

— Oddaj je. To bardzo proste.

— Komu?

— Byle komu. Co mnie to może obchodzić?

P. Lecoeur wzruszył ramionami.

— Wreszcie, ile ci potrzeba dzisiaj? — spytał. — Dwieście franków, jak zwykle?

— Dziesięć tysięcy franków — odpowiedział Zefiryn Xirdal.

— Dziesięć tysięcy franków? — powtórzył p. Lecoeur, bardzo zdziwiony. — Oto coś nowego! Co chcesz zrobić z temi pieniędzmi?

— Wybieram się w podróż.

— Doskonała myśl! A dokąd?

— Nie wiem jeszcze — oświadczył Zefiryn.

P. Lecoeur, rozbawiony, spojrzał wesoło na swego chrześniaka i klienta.

— Do pięknego zapewne kraju — dodał poważnie. — Masz dziesięć tysięcy franków. Czy to wszystko, czego sobie życzysz?

— Nie — odrzekł Zefiryn Xirdal. — Potrzebny mi również kawałek ziemi.

— Kawałek ziemi? — powtórzył p. Lecoeur, który wpadał, jak mówią, z niespodzianki w niespodziankę. — A jakież to kawałek ziemi?

— Kawałek ziemi, jak kawałek ziemi. Dwa, trzy kilometry kwadratowe na przykład.

— To mały kawałek — odpowiedział chłodno p. Lecoeur, poczem spytał żartobliwie: — Przy Boulevard des Italiens?

— Nie — rzekł Zefiryn Xirdal. — Nie we Francji.

— A zatem gdzie? Mów.

— Nie wiem — powtórzył po raz drugi Zefiryn Xirdal, nie wzruszając się bynajmniej.

P. Lecoeur z trudnością wstrzymywał się od śmiechu.

— W taki sposób można przynajmniej wybierać — dowodził. — Ale powiedz mi, kochany Zefirynie, czy ty nie jesteś trochę... postrzelony, przypadkiem? Do czego to wszystko zdąża, proszę?

— Mam na myśli pewien interes — oświadczył Zefiryn Xirdal, podczas gdy czoło jego zaczęło się marszczyć pod wpływem nabiegających myśli.

— Interes! — wykrzyknął p. Lecoeur z najwyższem zdziwieniem.

— Tak — potwierdził Zefiryn Xirdal.

— Ważny interes?

— Pięć do sześciu tysięcy miliardów franków.

Tym razem p. Lecoeur spojrzał na chrześniaka z niepokojem. Jeżeli nie żartował, to oszalał na dobre.

— Mówisz? — spytał.

— Pięć do sześciu tysięcy miliardów franków — powtórzył Zefiryn Xirdal spokojnie.

— Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, Zefirynie? Czy wiesz, że niema na całej ziemi tyle

złota, aby przedstawiało setną część tej bajecznej sumy?

— Na ziemi, to możliwe — rzekł Xirdal. — Gdzie indziej, to rzecz odmienna.

— Gdzie indziej?

— Tak. O czterysta kilometrów w kierunku pionowym.

Błysk prawdy przemknął przez głowę bankiera. Świadom bieżącego wypadku przez dzienniki, które przetrwały go dowoli, zdawało mu się, że zaczął rozumieć. Zrozumiał w samej rzeczy.

— Meteor?... — wymówił, błędą mimowoli.

— Meteor — potwierdził Xirdal spokojnie.

Gdyby kto inny rozmawiał z nim w ten sposób, byłby go wyrzucił bez namysłu za drzwi. Czas bankiera jest zbyt drogocenny, żeby miał go trwonić na słuchanie podobnych bredni. Ale Zefiryn Xirdal nie był przeciętnym osobnikiem. Pomimo, że jego czaszka była nadwerężona, co niestety nie ulegało żadnej wątpliwości, w nadwerężonej tej czaszce krył się wszakże umysł genialny, w którym mogły powstawać najnieprawdopodobniejsze pomysły.

— Chciałbyś wyeksploatować meteor? — spytał p. Lecoeur, patrząc chrześniakowi prosto w oczy.

— Dlaczegożby nie? Cóż w tem nadzwyczajnego?

— Ależ ten meteor jest o czterysta kilometrów od ziemi, sam to powiedziałeś. Przypuszczam, że nie masz zamiaru wybrać się do niego.

— Pocóż, jeżeli go ściągnę?

— Jakim sposobem?

— Mam go. To wystarcza.

— Masz go!... masz go!... Jak podziałasz na ciało tak oddalone? Gdzież weźmiesz punkt oparcia? Jakiej siły użyjesz?

— Za wiele czasu zabrałoby objaśnienie ci tego — odpowiedział Zefiryn Xirdal — zresztą byłoby to zbyt długie, nie zrozumiałbyś.

— Bardzo uprzejmie! — podziękował p. Le-coeur bez gniewu.

Wszelako na jego nalegania chrześniak dał mu kilka wyjaśnień. Autor tego osobliwego opowiadania podaje w skróceniu tylko te objaśnienia, jako że pomimo swego zamiłowania do ryzykownych rozważań nie chce się wypowiadać w sprawie tych teoryj zajmujących, lecz może trochę zbyt śmiałych.

Dla Zefiryna Xirdal'a materja jest tylko pozorem; w rzeczywistości nie istnieje. Dowodem tego — niemożność stwierdzenia jej składu. Choć się ją rozkłada na molekuly, atomy, cząsteczki, pozostaje zawsze ułamek, wobec którego całe zagadnienie staje w swej całości, i to się będzie powtarzało ustawicznie, dopóki nie przyjmiemy za pierwszą zasadę tego, co nie jest materją. Ta pierwsza zasada niematerjalna — to energja.

Czem jest energja? Zefiryn Xirdal wyznaje, że nic o niej nie wie. Człowiek poznaje świat zewnętrzny jedynie zapomocą zmysłów, zmysły

*Memor
Marie podaj
wypis*



— Mam na myśli pewien interes — oświadczył Zefiryn
Xirdal . . . Str. 126.

(W pogoni za meteorem.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA W POZNANIU



BIBLIOTEKA

VI. KOŁA

* T. S. L. *

W KRAKOWIE

zaś są wrażliwe tylko na podnieętą materjalną, więc wszystko, co nie jest materją, zakryte jest przed nim. Jeżeli wysiłkiem samego rozumu zdoła stwierdzić istnienie świata niematerjalnego, to jest w niemożności pojęcia jego istoty z powodu braku danych porównawczych. I nie będzie inaczej, dopóki ludzkość nie nabędzie nowych zmysłów, co a priori nie jest absurdem.

Tak czy inaczej, energia, zdaniem Zefiryna, wypełnia wszechświat i waha się wiekuiście między dwiema granicami: bezwzględną równowagą, którą osiągnąć można byłoby tylko przez równomierny rozkład tej energii w przestrzeni, i bezwzględnem skupieniem jej w jednym punkcie, który w takim razie otaczałaby bezwzględna próżnia. Ponieważ przestrzeń jest nieskończona, więc te dwie granice są zarówno nie do osiągnięcia. Z tego wynika, że energia we wszechświecie jest w stanie ustawicznego ruchu. Ciała materjalne pochłaniają bez przestanku energię, a to skupienie wywołuje siłą rzeczy w innem miejscu względną próżnię, skądinąd zaś materja promieniuje w przestrzeń energję, którą uwięziła.

A zatem w przeciwieństwie do klasycznej zasady „nic nie ginie, nic się nie tworzy” Zefiryn Xirdal głosi, że „wszystko ginie i wszystko się tworzy”. Substancja, ulegająca wiecznemu zniszczeniu, odtwarza się wiekuiście. Każdej ze zmian tych stanów towarzyszy promieniowanie energii i odpowiednie znikanie substancji.

Jeżeli zniszczenie to nie może być stwierdzone przez nasze przyrządy, to dlatego, że są zbyt mało udoskonalone wobec tej olbrzymiej ilości energji, zawartej w najmniejszej cząsteczce materji, czem znów Zefiryn Xirdal tłumaczy olbrzymią odległość ciał niebieskich w stosunku do ich niewielkich rozmiarów.

Zniszczenie to, choć niestwierdzone, niemniej istnieje. Pośrednim dowodem tego jest ciepło, elektryczność i światło. Zjawiska te pochodzą od energji promieniującej, i przez nie ujawnia się energia wyzwolona, chociaż jeszcze pod grubą postacią i napół materjalną. Energia czysta, ponieważ oczyszczona, może istnieć tylko poza obrębem światów materjalnych. Ona otacza te światy pewną dynamo-sferą w stanie napięcia wprost proporcjonalnego do masy i tem mniejszego, im bardziej oddalamy się od ich powierzchni. Działanie tej energji i jej dążność do skupienia coraz większego znajduje swój wyraz w przyciąganiu.

Taką jest teoria, którą Zefiryn Xirdal wyłożył p. Lecoœur, nieco nią odurzonemu. Przyznajmy, że było czem.

— Przyjawszy to — zakończył Zefiryn Xirdal, jak gdyby mówił o rzeczach najzwyczajniejszych, — wystarczy, ażebym wyzwolił małą ilość energji i ażebym ją skierował na punkt przestrzeni dowolnie przeze mnie wybrany. Będę wtedy w możności dostarczyć ciału sąsiadującemu z tym punk-

tem, szczególnie, jeżeli to ciało jest mniejszej wagi, znacznej ilości energii. To jest proste!

— I masz sposób wyzwolenia tej energii? — spytał p. Lecoeur.

— Mam, co na jedno wychodzi, sposób otwarcia jej drogi, usuwając przed nią wszystko, co jest substancją i materją.

— W ten sposób mógłbyś popsuć całą mechanikę niebieską! — wykrzyknął p. Lecoeur.

Zdawało się, że Zefiryn Xirdal był wzruszony niesłychanością tej hipotezy.

— Obecnie — przyznał się z prostotą — maszyna, którą zbudowałem, może dać słabe tylko wyniki. Wszelako jest ona wystarczająca, aby wpłynąć na marny meteor wagi kilku tysięcy tonn.

— Oby tak było — rzekł p. Lecoeur już z pewnem przekonaniem. — Ale gdzież chcesz, aby nastąpił upadek meteoru?

— Na moim kawałku ziemi.

— Jakim kawałku ziemi?

— Na tym, który mi kupisz, kiedy zrobię potrzebne wyliczenia. Dam ci znać o tem. Rozumie się, będę się starał, aby to było w kraju niezamieszkałym, w którym ziemia nie ma wartości. Naprzykład będziesz miał trudności ze sporządzeniem aktu sprzedaży. Nie jestem bowiem zupełnie niezależny co do swego wyboru i być może, że kraj nie będzie nader przystępny.

— To już moja rzecz — powiedział bankier.
— Telegraf został w tym celu wynaleziony. Odpowiadam za wszystko w tym względzie.

Zaopatrzony w to zapewnienie i w dziesięć tysięcy franków, włożonych do kieszeni, Zefiryn Xirdal wrócił do siebie, jak wyszedł, wielkimi krokami, i zamknąwszy drzwi, w tej chwili zasiadł do stołu, który stosownie do swego zwyczaju uprzątnął jednym pociągnięciem dłoni.

Kryzys pracy dosięgnął punktu kulminacyjnego.

Całą noc mozolił się nad swem obliczeniem, ale rozwiązanie nad ranem było gotowe. Wyzna-
czył siłę, którą należało zastosować do meteoru,
kierunki odpowiednie, miejsce i datę upadku me-
teoru.

W tej chwili napisał do p. Lecoeur'a, stosownie do swej obietnicy, zszedł, aby wrzucić list do skrzynki i znów zamknął się u siebie.

Wtedy zbliżył się do tego rogu pokoju, gdzie wczoraj zgarnął był stos papierów, leżących na jego lunecie. Dziś należało uczynić odwrotnie. Xirdal zatem zanurzył rękę w papiery i ruchem pewnym rzucił je na dawne miejsce.

To nowe „usunięcie” dało taki wynik, że ukazała się pewnego rodzaju skrzynka czarniawa, którą Zefiryn uniósł bez trudu, przenosząc ją na środek pokoju, wprost okna.

Skrzynka ta nie przedstawiała nic osobliwego. Był to drewniany sześcian, pomalowany na ciemno. Wewnątrz znajdowały się cewki, włączone w szereg

szklanych rurek, których ostre końce złączone były po dwa miedzianymi drutami coraz cieńszymi. Ponad skrzynką nazewnątrzn znajdowała się, umieszczona na przegubie, w ognisku metalowego reflektora, jeszcze jedna rurka, wrzecionowato zakończona na obu końcach, a niepołączona żadnym przewodem materjalnym z innemi.

Z pomocą dokładnych przyrządów Zefiryn Xirdal nastawił reflektor metalowy ściśle w kierunku, który mu wskazały jego obliczenia poprzedniej nocy; następnie, stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, umieścił w dolnej części skrzynki małą rurkę, silnie błyszczącą. W ciągu pracy przemawiał do siebie jak zwykle, jak gdyby się chciał pochwalić swą wymową przed licznem audytorjum.

— Oto, moi panowie — mówił — Xirdalium, ciało sto tysięcy razy bardziej promieniotwórcze, niż rad. Przyznam się między nami, że jeżeli używam tego ciała, to bardziej dla efektu. Nic ono nie przeszkadza, ziemia bowiem promieniuje dostateczną ilość energii, ażeby zachodziła potrzeba jej powiększania. Jest to ziarnko soli w morzu. Wszakże pewna dekoracja nie psuje efektu, mojem zdaniem, w doświadczeniu tego rodzaju.

Mówiąc to, zamknął skrzynkę i połączył dwoma przewodnikami z baterją, stojącą na półce.

— Obojętne prądy śrubowe — moi panowie — ciągnął dalej — mają naturalnie własność, ponieważ są obojętne, odpychania wszystkich ciał bez wyjątku, czy te ciała są naelektryzowane dodatnio,

czy ujemnie. Ponieważ zaś są śrubowe, a zatem mają kształt śruby, dziecko to zrozumie... A jednak co za szczęście, że mi przyszło do głowy je odkryć... Jakże na świecie wszystko przydać się może!

Po zamknięciu obwodu elektrycznego dało się słyszeć łagodne brzęczenie, i błękitnawe światło ukazało się w rurce na przegubie. Prawie równocześnie rurka zaczęła wykonywać ruchy obrotowe, najpierw wolne, następnie coraz szybsze z sekundy na sekundę, wreszcie zawrotne.

Zefiryn Xirdal przypatrywał się przez kilka chwil temu zapamiętałemu tańcowi, poczem wzrok jego, idąc w kierunku równoległym do osi reflektora metalowego, zawisł w przestworzu.

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że działanie maszyny nie ujawnia żadnego znaku materjalnego. Jednakże uważny obserwator mógł być zauważyć zjawisko, które pomimo że zaznaczało się zaledwie, niemniej przeto było osobliwe. Drobne pyłki, znajdujące się w zawieszeniu w atmosferze, w zetknięciu z brzegami metalowego reflektora nie mogły jakby przekroczyć tej granicy i wirowały gwałtownie, jak gdyby zatrzymane przez niewidzialną przeszkodę. W swym całokształcie pyłki te zakreślały ścięty stożek, którego podstawa opierała się na obwodzie reflektora. O dwa czy też trzy metry od maszyny ten stożek, utworzony z cząsteczek niedotykalnych i wirujących, zmieniał się stopniowo w walec kilku centymetrów średnicy, a ten walec z pyłków utrzymywał

się zewnątrz, w wolnem powietrzu, pomimo dość silnego powiewu, aż do chwili, kiedy zniknął w oddaleniu.

— Mam zaszczyt, panowie, oznajmić wam, że wszystko idzie dobrze — stwierdził Zefiryn Xirdal, siadając na swem jedynem krześle i zapalając fajkę, artystycznie napchaną.

W półgodziny później wstrzymał działanie maszyny, którą kilkakrotnie puszczał w ruch tego dnia i następnych, kierując przy każdym doświadczeniu reflektor do nieco odmiennego punktu w przestrzeni. Przez dziewiętnaście dni czynił to samo z bezwzględną dokładnością.

Dwudziestego dnia, skoro puścił w ruch maszynę i zapalił swą wierną fajkę, duch wynalazków zawładnął jego mózgiem. Jedno z następstw teorii ciągłego zanikania materji, o której napomknął był panu Lecoœur, ujawniło się w całym blasku jego umysłowi. Jednym rzutem myśli, jak to zwykle u niego bywało, objął zasadę ogniwa elektrycznego, będącego w stanie odrodzić się samemu przez stopniowe oddziaływania, z których ostatnie spowodowałyby rozłożone ciała do ich stanu pierwotnego. To ogniwo elektryczne działałoby oczywiście aż do zupełnego zaniku substancyj użytych i całkowitego ich przekształcenia w energję. Było to praktycznie perpetuum mobile.

— A więc... a więc... — szeptał Zefiryn Xirdal pod wpływem wielkiego wzruszenia.

Zaczął się zastanawiać, tak jak on tylko zastanawiać się umiał, to jest skupiając w jednym punkcie i w jedną zawartość całą siłę żywotną swego organizmu. Myśl w ten sposób skupiona, którą naprowadzał na cienie zagadnienia, była jak pęk świetlny, łączący w sobie wszystkie promienie słońca.

— Nic zarzucić temu nie można — rzekł wreszcie, tłumacząc głośno wynik wewnętrznego wysiłku. — Należy natychmiast spróbować.

Zefiryn Xirdal wziął kapelusz, przebiegł szybko sześć pięter i wpadł do stolarza, którego warsztat znajdował się po drugiej stronie ulicy. W krótkich słowach opowiedział jasno i dokładnie, czego sobie życzył, to jest pewnego rodzaju koła na osi żelaznej, zaopatrzonego na obwodzie w dwadzieścia siedm podstawek, których dał wymiar, podstawki te zaś przeznaczone były do dwudziestu siedmiu słoików, które pozostawać miały w pozycji pionowej podczas obrotu podstawek.

Po tem objaśnieniu, danem wraz z poleceniem natychmiastowego wykonania obstalunku, pobiegł o pięćset metrów dalej, do kupca z produktami chemicznymi, którego był stałym klientem. Tam wybrał dwadzieścia siedm słoików, które subjekt zawinął w gruby papier, obwiązał mocnym sznurkiem, do którego przyczepiona była wygodna rączka z drzewa.

Gdy Zefiryn Xirdal miał wychodzić ze sklepu ze swą paczką w rękę, w drzwiach spotkał się

z jednym z nielicznych swych przyjaciół, zasłużonym bakterjologiem. Zefiryn Xirdal, zatopiony w swych myślach, nie dostrzegł bakterjologa, ale bakterjolog spostrzegł Xirdal'a.

— Co? Xirdal! — wykrzyknął, uśmiechając się życzliwie. — Cóż za spotkanie!

Na brzmienie tego znanego głosu wezwany zgodził się otworzyć swe duże oczy, by spojrzeć na świat zewnętrzny.

— Co? — powtórzył jak echo — Marcel Leroux!

— On sam we własnej osobie.

— Ogromnie zadowolony jestem, że cię widzę. Jakże się miewasz?...

— Jak człowiek, który niebawem ma wsiąść do pociągu. Jak mnie widzisz, idę, z tą oto torebką, przewieszoną przez plecy, w której są trzy chustki i kilka innych przyrządów toaletowych, na wybrzeże morskie, gdzie będę napawał się świeżym powietrzem przez ośm dni.

— Szczęśliwiec! — potwierdził Zefiryn Xirdal.

— Od ciebie zależy byś był nim również. Sciśnawszy się, zmieścilibyśmy się obaj w pociągu.

— Prawda!... — zaczął Zefiryn Xirdal.

— O ile nie zatrzymuje cię nic w tej chwili w Paryżu.

— Bynajmniej.

— Nic osobliwego? Żadnego doświadczenia niema w toku?

Xirdal zastanowił się zupełnie szczerze.

— Nic zupełnie — odpowiedział.

— W takim razie, daj się skusić. Ośm dni odpoczynku będzie miało dla ciebie ogromne znaczenie. Nagadamy się dowoli na piasku!

— Nie licząc — przerwał mu Xirdal — że będę mógł z tego skorzystać, ażeby wyjaśnić pewne wątpliwości o przyptywach i odpływach, które mi spokoju nie dają. Łączy się to poniekąd z pewnemi ogólnemi zagadnieniami, nad którymi pracuję. Właśnie myślałem o tem, kiedy cię spotkałem — dodał z rozbrajającą szczerością.

— A więc tak?

— Tak.

— Zatem w drogę!... Ale sądzę, że zechcesz wstąpić do siebie, nie wiem zaś, czy nie czas na pociąg...

— Zbyteczne — odpowiedział Xirdal — mam przy sobie wszystko, czego mi potrzeba.

I roztargniony dziwak wskazał oczyma na paczkę ze słoikami.

— Doskonale! — rzekł wesoło Marcel Leroux.

Dwaj przyjaciele ruszyli wielkimi krokami w stronę stacji.

— Rozumiesz, kochany Leroux, przypuszczam, że napięcie powierzchowne...

Jakaś para, którą mijali, zmusiła ich do rozłączenia się, reszta zatem zdania zginęła w turkocie pojazdów. Nie przeszkadzało to Zefirynowi Xirdal ciągnąć dalej swoje objaśnienie, zwracając się kolejno do całego szeregu przechodniów, którzy patrzyli na niego ze zdziwieniem. Mówca nie zwraca-

cał na to uwagi i rozprawiał z zapalem, przebijając się przez fale ludzkie oceanu paryskiego.

A podczas gdy Xirdal, zajęty myślą, która mu zajechała do głowy, zbliżał się do stacji, skąd miał opuścić miasto, oddalając się coraz bardziej od ulicy Cassette, w pokoju na szóstym piętrze, czar-niawa skrzynka o niewinnym wyglądzie brzęczała ciągle łagodnie, metalowy reflektor odbijał ciągle swe światło błękitnawe, a walec o wirujących pyłkach zanurzał się ciągle, sztywny a tak kruchy, w nieskończoności przestworza.

Zostawiona samej sobie maszyna, którą Zefiryn Xirdal zapomniał zatrzymać a o której istnieniu obecnie zapomniał, ciągnęła dalej naoślep nieznaną tajemniczą pracę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY,

w którym mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson doznają
gwałtownego wzruszenia.

Meteor przestał być nowością. Przynajmniej myślą objechano go dookoła. Wyznaczono jego orbitę, szybkość, objętość, masę, istotę, wartość. Przestano się niepokoić, ponieważ, odbywając drogę ruchem jednostajnym, nie miał spaść nigdy na ziemię. Nic więc dziwnego, że uwaga ogółu odwróciła się od tego niedostępnego meteoru, który stracił już swą tajemniczość.

Zapewne w obserwatorjach niektórzy astronomowie rzucali okiem od czasu do czasu na tę kulę złotą, która krążyła nad ich głowami; ale odwracali się od niej szybko, aby się zająć innemi zagadnieniami przestworza.

Ziemia posiadała drugiego satelitę — i tyle. Czy ten satelita był z żelaza, czy ze złota, co mogło to obchodzić uczonych, dla których świat jest tylko abstrakcją matematyczną?

Żałować należy, że mr. Dean Forsyth i doktor Sydney Hudelson nie podzielali tych prostych zapatrywań. Obojętność ogółu nie wpływała na uspokojenie ich rozgorączkowanej wyobraźni; w dal-
szym ciągu badali meteor, swój meteor, z zapa-

łem, graniczącym z zaciekłością. Przy każdym jego przebiegu obecni byli z okiem wlepionem w szkło lunety lub teleskopu, nawet wtedy, kiedy meteor ukazywał się zaledwie na kilka stopni nad horyzontem.

Wspaniała pogoda rozpaczliwie sprzyjała ich manji, pozwalając im widzieć błędzące ciało niebieskie dwanaście razy na dobę. Czy miało spaść na ziemię, czy nie, to zawsze niezwykle właściwości tego meteoru, które czyniły go jedynym w swym rodzaju i sławnym na wieki, zwiększały jeszcze ich chorobliwe pragnienie stać się wyłącznym jego odkrywcą.

W tych warunkach byłoby szaleństwem liczyć na pogodzenie się współzawodników, których dzieliła coraz większa nienawiść. Mrs. Hudelson i Francis Gordon zdawali sobie z tego doskonale sprawę. Francis Gordon nie wątpił już teraz wcale, że wuj użyje całej swej władzy, aby sprzeciwić się jego małżeństwu, mrs. Hudelson zaś zaczęła powątpiewać o uległości swego męża, skoro nadejdzie uroczysta chwila. Nie było się czem łudzić. Ku rozpaczowi dwojga narzeczonych, ku oburzeniu miss Loo i Mitz małżeństwo to wydawało się, jeżeli nie zachwiane, to odłożone na nieokreśloną a prawdopodobnie daleką metę.

Co więcej takie już widać było przeznaczenie, aby to położenie, samo przez się bardzo poważne, stało się jeszcze bardziej zawikłane.

11 maja wieczorem mr. Dean Forsyth, który jak zwykle stał przy teleskopie, nagle odskoczył od przyrządu, wydając okrzyk stłumiony, następnie wrócił doń, rzuciwszy kilka uwag na papier, i znów odskoczył, i znów powrócił, powtarzając ten ruch kilkakrotnie, aż meteor znikł całkowicie z nad horyzontu.

W tej samej chwili mr. Dean Forsyth blady był jak воск i oddychał z takim wysiłkiem, że Omikron, myśląc, iż jego pan jest chory, chciał go ratować. Ale ten, odsunawszy go, odszedł chwiejnym krokiem do swego gabinetu i zamknął się w nim na dwa spusty.

Odtąd nie widziano mr. Dean Forsyth'a. Przeszło trzydzieści godzin pozostawał w swym pokoju, ani jedząc, ani pijąc. Raz tylko jeden udało się Francis Gordon'owi zmusić wuja, aby drzwi otworzył, ale drzwi uchyliły się zaledwie i młodzian ujrzał przez wąską szczelinę wuja tak złamanego, z takim obłędem w oczach, że osłupiały stanął na progu.

— Czego chcesz ode mnie? — spytał mr. Forsyth.

— Ależ, wuju — zawołał Francis — od dwudziestu czterech godzin jesteś zamknięty! Pozwól, żebym ci chociaż przyniósł coś zjeść!

— Nie potrzebuję niczego — odpowiedział mr. Dean Forsyth — oprócz ciszy i spokoju, i wyrzadzisz mi prawdziwą przysługę, jeżeli nie będziesz mi przerywał tej samotności!

Wobec takiej odpowiedzi, wyrażonej tonem niezłomnej stanowczości i równocześnie z niebywałą u niego słodyczą, Francis nie miał odwagi nalegać. Zresztą byłoby to zbyteczne, gdyż przy ostatnich słowach astronom zamknął drzwi na klucz. Siostrzeniec przeto nie dowiedział się niczego.

13 maja rano, w dwa dni przed ślubem, Francis po raz dwudziesty wynurzał się ze swą troską przed mrs. Hudelson, która słuchając go, wzdychała.

— Nie mogę nic zrozumieć — rzekła wreszcie. — Możnaby sądzić, że mr. Forsyth i mój mąż oszaleli.

— Co? — zawołał Francis — czy i doktorowi coś się stało?

— Tak — przyznała mrs. Hudelson. — Ci panowie dali sobie słowo, że będą postępowali jednakowo, z tą różnicą, że dla mego męża kryzys nastąpił później. Dopiero wczoraj rano zaryglował się w swoim pokoju. Odtąd nikt go nie widział, możesz sobie wyobrazić, jak jesteśmy niespokojne.

— Można stracić głowę! — zawołał Francis.

— Po tem, co mnie powiedziałaś, przychodzę do wniosku, że obaj zauważyli coś w tym przekłętym meteorze. I nie wróżę nic dobrego dla ich usposobienia.

— Ach! gdybym to ja była panią! — odezwała się Loo.

— Cobyś uczyniła, kochana siostrzyczko? — spytał Francis Gordon.

— Cobyś uczyniła?... To bardzo proste. Odrzuciłabym tę złotą kulę tak daleko, że najlepsze lunety dojrzećby jej nie mogły.

Zniknięcie meteoru może rzeczywiście wróciłoby spokój mr. Forsyth'owi i doktorowi Hudelson'owi. Kto wie, czy nie uleczyłoby ich odrazu z tej niemądrej zazdrości?

Zdawało się jednak, że ta możliwość jest wykluczona. Meteor będzie w dzień ślubu, będzie później, będzie zawsze, ponieważ krążył według stałych praw po niewzruszonej orbicie.

— A wreszcie, zobaczmy! — zakończył Francis. — Za czterdzieści ośm godzin będą musieli się zdecydować, a wtedy będziemy wiedzieli, czego się trzymać należy.

Wracając do domu na Elisabeth street, przypuszczać mógł zresztą, że obecne zdarzenie nie pociągnie za sobą poważniejszych następstw. Mr. Dean Forsyth opuścił istotnie swą samotnię i w milczeniu spożył obfity posiłek. Teraz, zmordowany i najedzony, spał z zaciśniętymi pięściami, podczas gdy Omikron załatwiał w mieście polecenia swego pana.

— Widziałś wuja, zanim udał się na spoczynek? — spytał Francis starej sługi.

— Tak jak ciebie widzę, mój synu — odpowiedziała. — Wszak usługiwałam mu przy stole.

— Czy był głodny?

— Głodny jak wilk. Zjadł całe śniadanie: jajecznicę, rostbef na zimno, kartofle, pudding z owoców. Nic nie zostawił.

— Jakże się czuł?

— Wcale nieźle, tylko był blady jak widmo, oczy miał czerwone. Poradziłam mu, żeby je prze-mył wodą borową. Ale zdawało mi się, że mnie nawet nie słyszy.

— Nie zostawił dla mnie jakiego zlecenia?

— Ani do ciebie, ani do nikogo. Jadł, nie otwierając wcale ust i poszedł spać, posławszy swego Amikrona do Whaston Standard.

— Do Whaston Standarda! — zawołał Francis. — Założę się, że pošłał mu wyniki swej pracy. Znów zaczną się polemiki prasowe! Tego tylko brakowało!

Wiadomość, którą mr. Dean Forsyth podał do Whaston Standarda, Francis przeczytał naza-jutrz z rozpaczą, będąc pewnym, że będzie nowym powodem do współzawodnictwa tak niepomysłnego dla jego szczęścia. A rozpacz ta zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy stwierdził, że obaj współza-wodnicy działają znów jednocześnie. Kiedy bowiem Standard podawał notatkę mr. Dean Forsyth'a, Whaston Morning drukował podobną notatkę doktora Sydney Hudelson'a. Przedłużała się więc zacięta walka, która dotąd nie zapewniła ani jednemu ani drugiemu zwycięstwa!

Odezwy dwu astronomów, podobne z początku, różniły się znacznie w swych wnioskach ostatecznych. Ta rozbieżność poglądów, dająca pole do sporów, mogła zresztą być użyteczną, jak w tym wypadku, gdyż umożliwiała rozróżnienie zasług obu rywali.

Równocześnie z Francis Gordon'em cały Whaston, równocześnie zaś z Whastonem cały świat dowiedział się zapomocą zwartej sieci telegrafów i telefonów o nadzwyczajnej wiadomości, podanej przez astronomów z Elisabeth i Moriss street, wiadomości, która natychmiast stała się przedmiotem ożywionych komentarzy na obu półkulach.

Czy wiadomość ta była w najwyższym stopniu sensacyjną, i czy podniecenie ogółu było usprawiedliwione, niechaj czytelnik sam osądzi.

Mr. Dean Forsyth i doktor Sydney Hudelson donosili, że wytrwałe badania doprowadziły ich do wniosku, że w biegu meteoru zaszły niezaprzeczone zaburzenia. Jego orbita, dotąd stale trzymająca się północo-południowej strony, obecnie odchyliła się w stronę północo-wschodnią i południowo-zachodnią. Skądinąd zauważono, że daleko ważniejsza zmiana zaszła w odległości jego od ziemi, odległości niezaprzeczenie zmniejszonej, pomimo że szybkość jego ruchu postępowego nie uległa zmianie. Z obserwacyj i z obliczeń dwaj astronomowie wywnioskowali, że meteor, zamiast dążyć stale po swej orbicie, spadnie siłą rzeczy na ziemię w miejscu

i terminie, które już obecnie można było przewidzieć.

Ale o ile dotąd mr. Forsyth i doktor Hudelson zgadzali się w swych dowodzeniach, o tyle w dalszym ciągu swych wywodów nie byli w zgodzie.

Podczas gdy uczone równania doprowadziły jednego z nich do przewidywania, że meteor spadnie 28 czerwca na południowym krańcu Japonji, równania niemniej uczone drugiego zmuszały go do twierdzenia, że upadek ten nastąpi 7 lipca w Patagonji.

Oto jak zgadzają się astronomowie! Niech publiczność wybiera!

Narazie publiczność się tem nie zajmowała. Obchodził ją tylko fakt, że meteor spadnie, a z nim tysiące miliardów, które bujają w przestworzu. To było rzeczą najważniejszą. A co do reszty, było jej obojętne, czy to będzie Japonja, czy Patagonja, miljardy bowiem znajdują się zawsze.

Następstwa tego zdarzenia, przewrót ekonomiczny, wywołany takim olbrzymim napływem złota, musiały stać się przedmiotem wszystkich rozmów. Naogół bogaci myśleli o możliwym zmniejszeniu wartości swych fortun; biedni zaś byli zachwyceni prawdopodobnie złudną perspektywą udziału w tych skarbach.

Francis Gordon zaś był w rozpacz. Cóż go mogły obchodzić te wszystkie bogactwa? Jednego tylko dobra pragnął, swej drogiej Jenny, skarbu nieśkończenie cenniejszego od meteoru i jego wstrętnych miliardów.

Pobiegł na Moriss street. Wiedziano już i tutaj o nieszczęsnej wiadomości i zdawano sobie sprawę z jej smutnych następstw. Starcie gwałtowne i ostateczne było nieuniknione między obu szaleńcami, którzy rościli sobie prawo do ciała niebieskiego, w chwili, gdy do ich ambicji zawodowej dołączył się jeszcze interes materialny.

Ileż westchnień wydobyło się z piersi Francis Gordon'a, gdy ścisnął rękę mrs. Hudelson i jej miłych córek. Na ileż wybuchów gniewu pozwoliła sobie wzburzona Loo! Ileż łez wylała zachwycająca Jenny, której pocieszyć nie mogła ani matka, ani siostra, ani narzeczony, pomimo że ten obiecywał jej uroczyście dozgonną wierność i przysięgał, że czekać będzie, jeżeli tego zajdzie potrzeba, aż do dnia, w którym ostatni sou z tych pięciu tysięcy siedmset ośmdziesięciu ośmiu miliardów, zostanie wydany przez ostatecznego właściciela tego bajecznego meteoru, — przysięga nieopatrna, która go skazywała, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na wieczny celibat.

ROZDZIAŁ DWUNASTY,

w którym mrs. Arkadja Walker oczekuje zkolei na kogoś z żywą niecierpliwością, mr. John Proth zaś zgłasza niekompetencję swego sądu.

Tegoż rana sędzia John Proth siedział przy oknie, służąca zaś Kate sprzątała w pokoju. Że nie obchodziło go wcale, czy meteor krąży nad Whastonem, czy nie, możecie, czytelnicy, być tego pewni. Bez najmniejszej troski spoglądał na plac Konstytucji, na który wychodziły główne drzwi jego spokojnej siedziby.

Ale o ile mr. Proth traktował obojętnie sprawę meteoru, o tyle meteor zajmował Kate.

— A zatem jest złoty? — spytała, stając przed swym panem.

— Podobno — odpowiedział sędzia.

— Zdaje się, że to na panu nie robi wielkiego wrażenia.

— Jak widzisz, Kate.

— A jednak jeżeli jest ze złota, musi być wart miliony.

— Miljony i miljardy, Kate... Tak, miljardy spacerują nad naszymi głowami.

— I one spadną, panie!

— Tak mówią, Kate.

— Niech pan pomyśli, nie będzie już nieszczęśliwych na ziemi.

— Będą zawsze nieszczęśliwi, Kate...

— A jednakże, panie...

— Wymaga to za wiele objaśnień... A najpierw, Kate, czy wyobrażasz sobie, co to jest miliard?

— Miliard, proszę pana, to... to...

— To tysiąc razy miljon.

— Aż tyle!

— Tak, Kate, i gdybyś sto lat żyła, nie mogłabyś przeliczyć tej liczby, nawet poświęcając na to dziesięć godzin dziennie.

— Czyż podobna, proszę pana?...

— Najzupełniej.

Na myśl, że wiek nie wystarczyłby na przeliczenie miliarda, służąca osłupiała. Poczem wzięła szczerbkę, ścierkę i powróciła do swej roboty. Ale co chwila zatrzymywała się jakby w zamyśleniu.

— Ile wypadłoby na każdego, proszę pana?

— Co, Kate?

— Z tego meteoru, gdyby go podzielono na równe części między wszystkich.

— Można to obliczyć, Kate — odpowiedział mr. John Proth.

Sędzia wziął papier i ołówek.

— Przypuściwszy — rzekł, obliczając — że ziemia ma tysiąc pięćset milionów mieszkańców, wyniosłoby to... wyniosłoby trzy tysiące ośmset pięć-

dziesiąt dziewięć franków, dwadzieścia centymów na głowę.

— Nie więcej? — szepnęła Kate rozczarowana.

— Nie więcej — potwierdził mr. John Proth, podczas gdy Kate spoglądała w niebo zadumana.

Gdy wreszcie rzuciła spojrzenie na ziemię, spostrzegła u wejścia na Elisabeth street dwie osoby, na które zwróciła uwagę swego pana.

— Niech pan spojrzysz — rzekła — dwie panie tam stoją.

— Tak, Kate, widzę je.

— Niech pan spojrzysz na jedną z nich... tę wyższą... tą, która się tak niecierpliwi.

— Niecierpliwi się, Kate, rzeczywiście. Ale kto jest ta pani, nie wiem.

— Wszak to ta, która dwa miesiące temu przyszła do nas, aby wziąć ślub, nie schodząc z konia.

— Miss Arkadja Walker? — spytał John Proth.

— Mrs. Stanford obecnie.

— Tak, istotnie to ona — przyznał sędzia.

— Poco przyszła ta pani?

— Nie wiem wcale — odpowiedział mr. Proth — i dodam, że nie dałbym ani szeląga, żeby to wiedzieć.

— Czy potrzebowały nas znowu?

— Nie zdaje mi się, bigamja bowiem nie jest dozwolona na terytorjum Stanów Zjednoczonych — rzekł sędzia, zamykając okno. — Tak czy inaczej,

zresztą, nie powinienem zapominać, że czas udać się do sądu, gdzie sądzić mam ważną sprawę, dotyczącą właśnie tego meteoru, który cię zajmuje. Gdyby więc ta pani chciała się ze mną widzieć, przeproś ją w moim imieniu.

Podczas tej rozmowy mr. John Proth przygotowywał się do wyjścia. Wolnym krokiem zszedł ze schodów i furtką wyszedł na Potomak street, skąd podążył do pałacu sprawiedliwości, znajdującego się wprost jego domu z drugiej strony ulicy.

Służąca nie omyliła się: była to rzeczywiście mrs. Arkadja Stanfort, znajdująca się tego dnia w Whaston ze swą panną służącą Bertą. Obie dwie przechadzały się niecierpliwie, wypatrując kogoś wzdłuż Exeter street.

Dziesiąta wybiła na ratuszu.

— I jeszcze go niema? — zawołała mrs. Arkadja.

— Może zapomniał o dniu wyznaczonym? — rzekła Berta.

— Zapomniał!? — powtórzyła z oburzeniem młoda kobieta.

— A może się rozmyślił? — odezwała się Berta.

— Rozmyślił się!? — powtórzyła powtórnie jej pani z jeszcze większem oburzeniem.

Podążyła w stronę Exeter street, a za nią panna służąca.

— Nie dostrzegasz go? — spytała po kilku minutach niecierpliwie.

— Nie, pani.

— Tego zanadto!

Mrs. Stanfort wróciła znów w stronę placu.

— Nie!... nikogo nie widać... nikogo — powtarzała. — Pozwolić czekać, po tem co postanowiliśmy!.. Wszak mamy dzisiaj 18 maja!

— Tak, pani.

— I niedługo będzie pół do jedenastej.

— Za dziesięć minut.

— Niech mu się nie zdaje, że wyczerpie moją cierpliwość!... Zostanę tu dzień cały, a nawet więcej, jeżeli zajdzie potrzeba!

Służba hotelowa z placu Konstytucji byłaby zauważyła tę przechadzającą się młodą kobietę, jak zauważyła przed dwoma miesiącami jeźdźca, czekającego na nią. Ale obecnie wszyscy: mężczyźni, kobiety, dzieci, myśleli o czem zgoła innem... o rzeczy, o której w całym Whastonie nie myślała tylko mrs. Stanfort. Zajmowano się cudownym meteorem, jego zjawieniem się, możliwym upadkiem na ziemię, oznaczonym w terminach stałych, chociaż odmiennych! — przez dwu astronomów miasta. Ludzie zebrani na placu Konstytucji, służba hotelowa, stojąca przede drzwiami, nie zajmowali się bynajmniej obecnością mrs. Arkadji Stanfort. Nie wiemy, czy stosownie do ogólnego mniemania o lunatykach, księżyc ma pewien wpływ na mózgi ludzkie. W każdym razie wolno twierdzić, że wtedy kula nasza liczyła pokaźną cyfrę „meteoryków“. Zapominali o jedzeniu i piciu wobec myśli,

że kula, warta miljardy, przechadza się nad ich głowami i w tych dniach ma spaść na ziemię.

Mrs. Stanford miała widocznie inny kłopot.

— Nie widzisz go, Berto? — powtórzyła po krótkiej chwili.

— Nie, pani.

W tej chwili powstał krzyk na krańcu placu. Przechodnie pobiegli w tę stronę. Kilkaset osób nadciągnęło z sąsiednich ulic, zebranie więc było liczne. Równocześnie w oknach domu ukazali się ciekawi.

— Otóż i on!... otóż on!...

Te słowa przechodziły z ust do ust. A były tak zgodne z pragnieniem mrs. Arkadji Stanford, że wykrzyknęła: „Nareszcie!” jak gdyby stosowały się do niej.

— Ależ nie, pani! — musiała jej powiedzieć panna służąca. — To nie do pani wołają.

I w istocie, dlaczegoby tłum miał tak owacyjnie przyjmować tego, na kogo czekała mrs. Arkadja Stanford? Dlaczego miałby zauważyć jego przybycie?

Zresztą wszystkie głowy zwrócone były ku niebu, wszystkie ręce wyciągnięte, wszystkie spojrzenia zwrócone ku stronie północnej horyzontu. Czy to słynny meteor zjawił się nad miastem? Czy mieszkańcy zebrali się na placu, aby powitać go w przelocie?

Nie! O tej godzinie szybował w przestworzu na drugiej półkuli. Co więcej gdyby nawet był

po tej stronie horyzontu, nie możnaby go przecież w biały dzień dojrzeć gołym okiem.

Czemuż więc tłum wznosił okrzyki?

— Pani... to balon! — rzekła Berta. — Niech pani patrzy!... widać go za strzałą Saint-Andrew.

Posuwając się zwolna ku ziemi, aerostat stawał się coraz widoczniejszym dla tłumu, który go witał życzliwemi oklaskami. Pocóż te oklaski? Czy wzlot ten był rzeczywiście czemś osobliwem? Byłże jaki powód, dla którego publiczność witała go tak owacyjnie?

Rzeczywiście, był.

W przeddzień wieczorem balon wyruszył z sąsiedniego miasta, zabierając z sobą sławnego aeronautę Walter Vragg'a wraz z pomocnikiem; wzlot ten zaś miał na celu badanie meteoru w najkorzystniejszych warunkach. Oto przyczyna wzruszenia tłumu, żadnego dowiedzenia się o wynikach tego osobliwego przedsięwzięcia.

Skoro mr. Dean Forsyth dowiedział się o projektowanym wzlocie, chciał, ku przerażeniu Mitz, wziąć w nim udział; domyślić się zaś łatwo, że doktor Hudelson wyraził to samo życzenie, ku niemniejszemu przerażeniu mrs. Hudelson. Dla aeronauty, który zabrać mógł tylko jednego pasażera, położenie stawało się niezmiernie drażliwe. Stąd piśmienny spór obu współzawodników, roszczących sobie równe prawa. Ostatecznie obaj ustąpić musieli na korzyść trzeciego pretendenta, bez którego Walter Vragg, jak twierdził, obyć się nie mógł.

Obecnie aerostat, popychany lekkim wiatrem, znalazł się nad Whastonem i dlatego ludność postanowiła urządzić mu owacyjny przyjęcie.

Balon spokojnie dosięgnął ziemi w samym środku placu Konstytucji. Sto rąk natychmiast zatrzymało łódkę, z której wyskoczył Walter Vragg, a za nim jego pomocnik.

Ten, zostawiwszy swego naczelnika przy nader delikatnej funkcji wypuszczania gazu, podszedł szybko do niecierplivej mrs. Stanford.

— Oto jestem, pani — rzekł, kłaniając się.

— O dziesiątej trzydzieści pięć — stwierdziła mrs. Arkadja Stanford, pokazując palcem zegar miejski.

— Umówiliśmy się zaś na pół do jedenastej, wiem — przyznał przybyły z wyszukaną grzecznością. — Niech mi pani wybaczy, ale aerostaty nie stosują się do naszej woli z żadaną punktualnością.

— A więc nie omyliłam się. Pan był w balonie z Walter Vragg'iem?

— Tak, ja.

— Może pan mi to wyjaśnić?

— Nic łatwiejszego. Chciałem w sposób niezwykły przybyć na tę naszą schadzkę. Kupiłem więc od Walter Vragg'a dzięki okazałej ilości dolarów miejsce w jego balonie za obietnicę przybycia tutaj o pół do jedenastej. Można mu wybaczyć to pięciominutowe opóźnienie.

— Można — przyznała mrs. Arkadja Stan-

fort — skoro pan tu jest. Mam nadzieję, że pan trwa w swym zamiarze!

— Naturalnie.

— I uważa pan, że postępujemy rozsądnie, wyrzekając się wspólnego pożycia?

— Uważam.

— Ja zaś jestem zdania, że nie byliśmy stworzeni dla siebie.

— Podzielam w zupełności to zdanie.

— Bez wątpienia, mr. Stanfort, bynajmniej nie zaprzeczam, że pan ma zalety...

— Zalety pani oceniam w całej ich wartości.

— Można się szanować wzajemnie, a równocześnie nie podobać się sobie. Szacunek nie jest miłością, nie potrafili by się zgodzić na taką różnicę charakterów.

— Słowa pani są złotem.

— Oczywiście, gdybyśmy się kochali!...

— Rzecz zgoła inna.

Ale my się nie kochamy.

— To aż nadto pewne.

— Pobraliśmy się, nie znając się bliżej, i rozczarowaliśmy się wzajemnie... Ach! gdybyśmy sobie byli oddali jaką przysługę, która podnieciłaby naszą wyobraźnię, może rzeczy wzięłyby inny obrót.

— Niestety, do tego nie przyszło. Nie potrzebowała pani poświęcić swego majątku, aby wydźwignąć mnie z ruiny.

— Byłabym to uczyniła z przyjemnością, mr. Stanfort. Z pana strony nie było przeznaczone, aby pan wyratował mi życie, narażając swoje.

— Nie zawahałbym się, mrs. Arkadjo.

— Jestem przekonana, ale nie nadarzyła się sposobność. Byliśmy dla siebie obcy, pozostaniemy dla siebie obcymi.

— Straszna to prawda.

— Zdawało nam się, że mamy równe upodobania, co najmniej w kwestji podróży...

— A nie mogliśmy się zgodzić nigdy o wybór drogi.

— Istotnie, ile razy chciałam jechać na południe, pan wybierał północ.

— A kiedy ja wybrałam zachód, pani chciała jechać na wschód!

— Sprawa meteoru przepelniła czarę.

Istotnie, przepelniła czarę.

— Ponieważ pan jest zawsze stronnikiem mr. Dean Forsyth'a, nieprawdaż?

— Najzupełniej.

— I wybierasz się do Japonji, aby być obecnym przy upadku meteoru?

— W samej rzeczy.

— Otóż, ponieważ ja postanowiłam trwać po stronie doktora Sydney Hudelson'a...

— I podążyc do Patagonji...

— Porozumienie jest niemożliwe.

— Niemożliwe.

— A zatem pozostaje jedno.

— Jedno!

— Udać się do sędziego, panie.

— Służę pani.

Oboje w równej linji, oddaleni od siebie o trzy kroki, udali się do domu mr. Proth'a, za nimi zaś w należnem oddaleniu panna służąca Berta.

Stara Kate stała na progu.

— Czy jest mr. Proth? — równocześnie spytali mr. i mrs. Stanford.

— Nieobecny — odpowiedziała Kate.

Oblicza zainteresowanych wydłużyły się.

— Na długo? — spytała mrs. Stanford.

— Do obiadu — rzekła Kate.

— A obiad?

— O pierwszej.

— Przyjdziemy o pierwszej — oświadczyli jednogłośnie mr. i mrs. Stanford, oddalając się. Doszedłszy do placu, na którym stał balon Walter Vragg'a, zatrzymali się na chwilę.

— Mamy dwie godziny czasu — stwierdziła mrs. Arkadja Stanford.

— Dwie godziny i kwadrans — poprawił mr. Seth Stanford.

— Możebyśmy spędzili te dwie godziny razem?

— O ile się pani łaskawie zgodzi.

— Gdybyśmy przeszli się nad brzegiem Potomaku?

— Miałem to na myśli.

Zaledwie uczynili kilka kroków w stronę Exeter street, kiedy oboje zatrzymali się.

— Pozwoli pani, że zrobię jedną uwagę? — spytał mr. Stanfort.

— Pozwalam — odpowiedziała mrs. Arkadja.

— Stwierdzam zatem, że zgadzamy się oboje. Po raz pierwszy, mrs. Arkadjo!

— I po raz ostatni! — odparła, ruszając dalej.

Mr. i mrs. Stanfort, ażeby dostać się do Exeter street, musieli przeciskać się przez zwarty tłum, zgromadzony przy aerostacie. W tłumie tym jednak nie było wszystkich mieszkańców Whastonu, a to dlatego, że innego rodzaju atrakcja, bardziej sensacyjna, pochłaniała uwagę ogółu. Od samego świtu miasto całe dążyło do pałacu sprawiedliwości, przed którym utworzył się długi szereg ludzi. Gdy tylko drzwi otworzono, tłum wpadł do sali sądowej, która zapełniła się w okamgnieniu. Trzeba było usunąć spóźnionych i ci nieszczęśliwi, w drodze wynagrodzenia, obecni byli przy lądowaniu Walter Vragg'a.

O ileż woleliby znajdować się wraz z uprzywilejowanymi w tej sali sądowej, w której prowadziła się sprawa, przewyższająca znaczeniem wszystko, co w przeszłości i w przyszłości podawane było i będzie pod orzeczenie sędziów!

Zapewne szal tłumów wzniósł się do ostatnich granic, gdy obserwatorjum paryskie dało znać, że meteor, a przynajmniej jego jądro było

szczerozłote. Ale szal ten był niczem w porównaniu z tym, który ogarnął wszystkie zakątki ziemi, skoro mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson dowiedli kategorycznie, że upadek asteroidu musi nastąpić. Niezliczone były wypadki obłądu, wynikłe z tego powodu, w szpitalach zaś dla obłąkanych po kilku dniach nie było wolnego miejsca.

Ale najbardziej szalonymi wśród tych szalonych byli z pewnością sprawcy tego ogólnego wstrząśnienia.

Dotąd ani mr. Dean Forsyth, ani doktor Hudelson nie przewidywali podobnej możliwości. Jeżeli upominali się o pierwszeństwo odkrycia meteoru, to nie dlatego, ażeby przywiązywać mieli wagę do niedostępnych miliardów meteoru, ale dlatego, że chcieli połączyć swe nazwiska z tem wielkiem zjawiskiem astronomicznem.

Położenie stało się zgola odmienne, skoro stwierdzili w nocy z 11 na 12 maja zmianę zaszłą w biegu meteoru. Zagadnienie bardziej palące stało przed ich oczami.

Do kogo należeć będzie meteor po upadku? Czyje będą tryljony jądra, ukrytego obecnie w błyszczącej powłoce? O ile ona zniknie, zresztą wcale niepotrzebna, jądro stanie się oczywistem i nie będzie rzeczą trudną zamienić je na brzęczącą monetę!...

Do kogo należeć będzie?

— Do mnie! — zawołał bez wahania mr. Dean Forsyth — do mnie, który pierwszy zauważyłem jego obecność na horyzoncie Whastonu!

— Do mnie! — zawołał z podobnem przekonaniem doktor Hudelson — ponieważ ja jestem odkrywczą!

Obaj szaleńcy przenieśli swe roszczenia, sprzeczne i nie dające się pogodzić na łamy prasowe. Przez dwa dni dzienniki whastońskie wypełnione były wzburzonymi odezwaniami dwu współzawodników, rzucających sobie w oczy najniewybredniejsze przezwiska z powodu niedostępnego meteoru, który doprawdy jakby się naigrawał z nich z wysokości czterystu kilometrów nad ziemią.

Łatwo pojąć, że w tych okolicznościach o projektowaniu małżeństwie nie mogło być mowy. To też 15 maja przeszedł, ale nie skończyło się narzeczeństwo Francis Gordon'a i Jenny Hudelson.

Czy mieli nawet prawo nazywać się narzeczonymi? Siostrzeńcowi, który jeszcze raz spróbował przemówić do sumienia mr. Dean Forsyth'a, wuj odpowiedział temi słowy:

— Uważam doktora Hudelson'a za nędznika i nie dam nigdy zezwolenia na twoje małżeństwo z jego córką.

I prawie równocześnie wspomniany doktor Hudelson przerwał przemowę córki temi słowy:

— Wuj Francis Gordon'a jest nieuczciwym człowiekiem i córka moja nie poślubi nigdy siostrzeńca takiego Forsyth'a.

Było to kategoryczne i należało się poddać.

Wzlot aerostatyczny Walter Vragg'a dał nową sposobność do ujawnienia nienawiści, którą

żywili ku sobie obaj astronomowie. W listach chętnie drukowanych przez prasę żadną skandalu, wypowiedzieli się w najgwałtowniejszy sposób, co wcale nie przyczyniało się do polepszenia stosunków.

Wszelako ubliżanie sobie nie jest rozwiązaniem kwestji. Skoro porozumieć się nie można, należy iść za przykładem innych, udając się do sądu. Jest to najlepszy, jedyny sposób zakończenia sporu.

Ostatecznie przeciwnicy zgodzili się na to. Dlatego też 17 maja wezwanie stawienia się przed sądem szanownego mr. John Proth'a wysłane było do doktora Hudelson'a przez mr. Dean Forsyth'a; dlatego też natychmiast doktor Hudelson przesłał podobne wezwanie mr. Dean Forsyth'owi; dlatego też wreszcie rano dnia 18 maja hałaśliwy i niecierpliwy tłum zapełnił przybytek sprawiedliwości.

Mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson byli obecni. Wzajemnie zapozwani przed sąd, obaj współzawodnicy stanęli naprzeciw siebie.

Załatwiono kilka spraw na początku posiedzenia z pomyślnym skutkiem, zapozwane zaś strony, wrogo usposobione do siebie aż do wzajemnego wygrażania pięścią, wychodziły pogodzone, trzymając się pod rękę ku wielkiemu zadowoleniu mr. Proth'a. Czy tak samo się pogodzą przeciwnicy, którzy niebawem stanąć mają przed nim?

— Następna sprawa! — rozkazał.

— Forsyth przeciwko Hudelson'owi, i Hudelson przeciwko Forsyth'owi — odczytał pisarz sądowy.

— Niech ci panowie się stawią — powiedział sędzia, prostując się na swym fotelu.

Mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson wysunęli się z grupy towarzyszących im stronników. Stali tak przed sobą, mierząc się wzrokiem, z okiem płomiennem, zaciśniętymi pięściami, naksztalt dwu armat nabitych aż po samą paszczę i czekających tylko na iskrę, by wybuchnąć w podwójnym wystrzale.

— O co chodzi, panowie? — spytał sędzia Proth, świadomy dobrze sprawy.

Mr. Dean Forsyth przemówił pierwszy:

— Przychodzę upomnieć się o swoje prawo.

— A ja o moje — natychmiast przerwał doktor Hudelson.

Był to bez najmniejszego przejścia ogłuszający duet, w którym nie śpiewano ani w tercji, ani w sekście, lecz wbrew wszelkim zasadom harmonji, w ciągłym dysonansie.

Mr. Proth niecierpliwie uderzał o stół nożem z kości słoniowej, jak to czyni kapelmistrz ze swym smyczkiem, gdy chce przerwać nieznośną kakofonję.

— Zlitujcie się, panowie! — powiedział — tłumaczcie się jeden po drugim. Stosując porządek alfabetyczny, daję głos mr. Forsyth'owi; potem mr. Hudelson może mówić dowoli.

Tak więc mr. Dean Forsyth przedstawił sprawę pierwszy, podczas gdy doktor z trudem silił się na milczenie. Opowiadał, jak 16 marca o siódmej minut trzydzieści siedm, sekund dwadzieścia, znaj-

dując się na swej wieży przy Elisabeth street, spostrzegł meteor przebiegający z północy na południe, jak obserwował go dopóki nie znikł zupełnie, i jak wreszcie, w kilka dni później, wysłał list do obserwatorjum w Pittsburgu, ażeby dać znać o swem odkryciu i stwierdzić, że pierwszeństwo należy do niego.

Doktór Hudelson zkolei dał identyczne objaśnienie, tak że sąd po tych dwu obronach niewiele więcej się dowiedział.

Wszelako wiedzieć musiał dostatecznie, skoro mr. Proth nie żądał żadnego dodatkowego objaśnienia. Nakazał tylko milczenie ruchem poważnym, i gdy cisza zaległa, przeczytał wyrok, który sformułował podczas obrony dwu przeciwników:

„Zważywszy z jednej strony, że mr. Dean Forsyth twierdzi, iż odkrył meteor, który zjawił się nad Whastonem 16 marca o siódmej godzinie, trzydzieści siedm minut sekund dwadzieścia;

„zważywszy z drugiej strony że mr. Sydney Hudelson twierdzi, iż zauważył ten sam meteor o tej samej godzinie, o tej samej minucie i o tej samej sekundzie...

— Tak! tak! — wołali stronnicy doktora, wznosząc zajadłe pięści do nieba.

— Nie! nie! — wołali stronnicy mr. Forsyth'a, tupiąc nogami.

„Ale zważywszy, że spór cały polega na kwestji minut i sekund, i że jest natury wyłącznie naukowej;

„zważywszy, że nie istnieje paragraf prawny, wyjaśniający prawo do pierwszeństwa odkrycia astronomicznego;

„opierając się na tych motywach, zgłaszamy swoją niekompetencję i skazujemy obie strony na wspólne koszty.”

Sędzia nie mógł oczywiście wydać innego wyroku.

Zresztą, a może takim był zamiar sędziego, ponieważ przeciwnicy odesłani byli z niczem, nie należało się obawiać, narazie przynajmniej, jakiego gwałtownego wystąpienia z ich strony. Tyle się zyskało.

Ale ani przeciwnicy, ani ich zwolennicy nie myśleli w ten sposób zakończyć sporu. Jeżeli mr. Proth sądził, że wyjdzie z tej sprawy, stwierdzając swą niekompetencję, to niebawem stracić musiał wszelką nadzieję.

Dwa głosy jednocześnie zapanowały nad pomrukiem tłumu po wysłuchaniu wyroku.

— Proszę o głos — wołali razem mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson.

— Chociaż nie potrzebuję wcale wracać do swego orzeczenia — odpowiedział sędzia tym grzecznym tonem, który nie opuszczał go nigdy, nawet w najważniejszych okolicznościach — chętnie udzielał głosu mr. Dean Forsyth'owi i doktorowi Hudelson'owi z warunkiem, iż zechcą go użyć jeden po drugim.

Żądanie było ponad siły współzawodników. Mówili razem z tą samą szybkością, z tą samą niepowściągliwością, nie chcąc się dać wyprzedzić w niczem jeden drugiemu.

Mr. Proth uważał za rzecz najrozsądniejszą pozwolić się im wygadać, nasłuchując, o ile mógł. Tym sposobem zdołał uchwycić znaczenie ich nowych dowodzeń. Nie chodziło już o sprawę astronomiczną, ale o sprawę pieniężną, o sprawę własności. Słowem, ponieważ upadek meteoru był nieunikniony, więc do kogo miał należeć? Czy do mr. Dean Forsyth'a, czy do doktora Hudelson'a.

— Do mr. Forsyth'a! — krzyczeli stronnicy wieży.

— Do mr. Hudelson'a! — wołali zwolennicy wieżycy.

Mr. Proth, którego same oblicze rozjaśniło się błogim uśmiechem filozofa, nakazał milczenie; które też natychmiast zapanowało, tak żywą była ciekawość ogólna.

— Panowie! — rzekł — pozwólcie mi przedewszystkiem dać wam jedną radę. W razie gdyby meteor spadł rzeczywiście...

— Spadnie! — powtarzali ciągle zwolennicy mr. Dean Forsyth'a i doktora Hudelson'a.

— Niech i tak będzie! — przyznał sędzia z tą pobłażliwą uprzejmością, którą nie odznacza się zawsze sądownictwo, nawet amerykańskie. — Nie widzę w tem żadnej przeszkody i życzę tylko, ażeby nie spadł na kwiaty mego ogrodu.

Zapanował wesoły nastrój. Korzystając z tego mr. Proth spojrział wzrokiem życzliwym na obu przeciwników. Niestety! życzliwość ta była bezowocna. Byłoby rzeczą łatwiejszą ulaskawić wygłodzone tygrysy, niż pogodzić tych zaciętych współzawodników.

— W takim razie — odezwał się ojcowski sędzia — ponieważ chodzi o meteor, który wart pięć tysięcy siedmset, osiemdziesiąt ośm miljardów, radzę panom podzielić się niemi!

— Nigdy!

Zaprzeczenie to uniosło się ze wszystkich stron. Nigdy mr. Forsyth ani mr. Hudelson nie zgodziliby się na podział! Bez wątpienia, przyniosłoby to każdemu z nich około trzech tryljonów; ale niema tryljonów, które mogłyby iść w zawody ze sprawą miłości własnej.

Mr. Proth, znając dobrze słabości ludzkie, nie był zdziwiony, że na jego radę tak rozsądną odpowiedziano ogólnem zaprzeczeniem obecnych. Nie zbiło go to z tropu; czekał tylko, aż się uciszy.

— Ponieważ wszelkie porozumienie jest niemożliwe — odezwał się po chwili — Sąd wyda wyrok.

Na te słowa jak pod wpływem różdżki czarodziejskiej zapanowało głębokie milczenie, i nikt nie ośmielił się przerwać mr. Prothowi, który dyktował głosem spokojnym pisarzowi:

„Sąd,

„wysłuchawszy strony w ich wnioskach i obronie;

„zważywszy, że przytoczone motywy mają tę samą wartość z jednej i drugiej strony, i są oparte na tych samych początkach dowodu,

„zważywszy, że odkrycie meteoru nie jest koniecznie związane z prawem własności, że prawo milczy w tym względzie i że w braku prawa nic analogicznego nie istnieje w postępowaniu sądowym,

„że wykonanie tego rzekomego prawa własności mogłoby na skutek wyjątkowych okoliczności sprawy natrafić na nieprzewidywane trudności i że jakikolwiek wyrok narażony byłby na pozostanie martwą literą, co ku wielkiej szkodzie zasad, na których opiera się wszelkie społeczeństwo cywilizowane, mogłoby zmniejszyć w umysłach ogółu powagę rzeczy sądzonej;

„że wypada w razie tak wyjątkowym postępować z rozwagą i ostrożnością;

„zważywszy wreszcie, że sprawa ta opiera się pomimo twierdzeń obu stron na zdarzeniu hipotetycznym, które może równie dobrze się nie urzeczywistnić;

„że meteor może, zresztą, spaść w głąb mórz, które zajmują trzy czwarte naszej ziemi;

„że, w jednym i drugim wypadku, sprawa powinna być umorzona, na skutek zupełnego braku podstawy do sporu;

„z tych powodów,

„odkłada sprawę do czasu nastąpienia upadku spornego meteoru i należytego jego stwierdzenia.”

— Kropka! — dyktował mr. Proth, który równocześnie podniósł się z fotelu.

Posiedzenie było skończone.

Zgromadzenie znajdowało się pod wrażeniem mądrych rozważań mr. Protha. Dlaczego w istocie meteor nie miałby upaść w głąb mórz, gdzieby go osiągnąć nie było można? A znów z drugiej strony, o jakich to „nieprzewyciężonych trudnościach” sędzia myślał? Co znaczyły te słowa tajemnicze?

Wszystko to dawało do myślenia, a namysł zwykle uspokaja podniecone umysły.

Należy przypuszczać, że mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nie oddawali się rozmyślaniom, skoro oni bynajmniej nie uspokoili się. Przeciwnie. Z dwu krańców sali wygrażali sobie pięściami, przemawiając do swych stronników.

— Wstrzymam się od określenia tego wyroku!
— wołał stentorowym głosem mr. Dean Forsyth — jest poprostu bezsensowny!

— Wyrok ten jest niedorzeczny! — krzyczał równocześnie w niebogłosy mr. Sydney Hudelson.

— Powiedzieć, że mój meteor nie spadnie!

— Wątpić o upadku mojego meteoru!

— Spadnie tam, gdzie wskazałem!

— Ja wyznaczyłem miejsce jego upadku!

— A ponieważ nie mogę otrzymać sprawiedliwości...

— A ponieważ odmawiają mi sprawiedliwości...

— Bronić będę swego prawa do ostatka i wyjeżdżam tego wieczoru...

— Nie przestanę bronić mych praw do ostatka i wyjeżdżam dziś jeszcze...

— Do Japonji! — wrzasnął mr. Dean Forsyth.

— Do Patagonji! — wrzasnął podobnie doktor Hudelson.

— Hura! — wykrzyknęły jednogłośnie oba obozy.

Skoro wszyscy znaleźli się na ulicy, tłum podzielił się na dwie grupy, do których przyłączyli się ciekawi przechodnie, ci co się nie mogli dostać do sali posiedzeń. Było co podziwiać: krzyki, wyzywania, groźby tych szaleńców! A bez wątpienia do czynu było niedaleko, gdyż, widocznie, zwolennicy mr. Dean Forsyth'a czekali tylko na sposobność zlinczowania mr. Hudelson'a, a stronnicy mr. Hudelson'a byli żądni zlinczowania mr. Dean Forsyth'a, co byłoby sposobem ultra-amerykańskim zakończenia sprawy.

Na szczęście władze zastosowały odpowiednie środki ostrożności. Policjanci wdali się w tłum stanowczo i szybko, i rozdzielili walczących.

Z chwilą, gdy przeciwnicy oddalili się od siebie, gniew ich nieco sztuczny opadł. Ponieważ jednak musieli mieć jakikolwiek pretekst do hałasowania, a przestali wyzywać wodza wrogiego

obożu, zaczęli przeto wznosić okrzyki na cześć swego.

— Niech żyje Dean Forsyth!

— Niech żyje Sydney Hudelson!

Okrzyki te krzyżowały się, przypominając odgłos gromu. Niebawem zamieniły się w jeden ryk.

— Na dworzec! — zahuczało wreszcie zgodnie.

W jednej chwili tłum samorzutnie urządził dwa pochody, które przeszły ukośnie przez plac Konstytucji, oswobodzony nareszcie od balonu Walter Vragg'a. Na czele jednego pochodu paradowa mr. Dean Forsyth, na czele zaś drugiego — doktor Hudelson.

Policjanci, usunąwszy niebezpieczeństwo, przypatrywali się obojętnie ogólnemu podnieceniu. W istocie nie było obawy, ażeby jakiekolwiek starcie zajść mogło, jeden bowiem z pochodów prowadził z triumfem mr. Dean Forsyth'a na dworzec zachodni, będący pierwszym etapem jego podróży do San Francisco i do Japonji, drugi zaś towarzyszył z niemniejszym triumfem doktorowi Hudelson na dworzec wschodni, skąd miał udać się do Nowego-Yorku, aby wyruszyć do Patagonji.

Stopniowo okrzyki malały, wreszcie ucichły w oddaleniu.

Mr. John Proth, który stojąc na progu swego domu, zabawiał się widowiskiem rozszalałego

tlumu, dopiero wtedy przypominał sobie o porze śniadania.

Zawróciwszy, udać się chciał do siebie, gdy w tejże chwili zatrzymał go pewien dżentelmen z towarzyszką, którzy okrążyć musieli plac, aby się dostać do niego.

— Słówek, jeżeli łaska, panie sędzio — odezwał się dżentelmen.

— Do usług mr. i mrs. Stanfort — odpowiedział uprzejmie mr. Proth.

— Panie sędzio — odezwał się znów mr. Stanfort — gdy dwa miesiące temu zjawiliśmy się przed panem, uczyniliśmy to dla zawarcia małżeństwa...

— I zawdzięczam temu — oświadczył mr. Proth — że miałem sposobność poznania państwa.

— Obecnie, panie sędzio — dodał mr. Stanfort — zjawiamy się przed panem, aby cię prosić o rozwód.

Sędzia Proth, jako człowiek doświadczony, zrozumiał, że nie jest to odpowiednia chwila do godzenia.

— Niemniej cieszę się, że przy tej sposobności mogę odnowić znajomość z państwem — rzekł bez wahania.

Kandydaci do rozwodu skłonili się.

— Niech państwo będą łaskawi wejść — uprzejmie rzekł sędzia.

— Czy to jest konieczne? — spytał mr. Seth Stanford jak przed dwoma miesiącami.

I, jak przed dwoma miesiącami, mr. Proth odpowiedział z flegmą:

— Bynajmniej.

Niepodobieństwem było być bardziej powolnym. Zresztą, pomimo że w tym wypadku motywy były niezmiernie blahe, niemniej o rozwód nie trudno w wielkiej republice Stanów Zjednoczonych.

Zdaje się nawet, że niczego tak łatwo osiągnąć nie można, i że rozwiązanie węzła małżeńskiego jest łatwiejsze, niż jego nawiązanie w tym zadziwiającym kraju Ameryki. W niektórych stanach dostatecznie jest przedstawić świadectwo fikcyjnego zamieszkania, a nawet do otrzymania rozwodu osobiste stawienie się nie jest rzeczą niezbędną. Specjalne biura zajmują się temi sprawami i niektóre z nich nawet są słynne z tego.

Państwo Stanford nie potrzebowali uciekać się do ich usług. Załatwili wszystkie formalności w Richmond w stanie Wirginji, w swojej rzeczywistej siedzibie. A jeżeli znaleźli się obecnie w Whastonie, to dla prostej chęci zerwania małżeństwa w miejscowości, w której je zawarli.

— Czy wszystkie formalności są spełnione? — spytał sędzia.

— Oto moje dowody — powiedziała mrs. Stanford.

— A oto moje — rzekł mr. Stanford.

Mr. Proth wziął papiery, rozpatrzył, upewnił się, że są w porządku. Poczem zadowolił się odpowiedzią:

— Oto gotowy akt rozwodu, wystarczy wpisać nazwiska i podpisać. Lecz nie wiem, czy będziemy mogli tutaj...

— Czy mogę ofiarować panu to udoskonalone pióro — przerwał mu mr. Stanford, podając takie mr. Proth'owi.

— I to pudło, które w zupełności zastąpi stół — dodała mrs. Stanford, biorąc z ręki panny służącej duże płaskie pudelko, które podała sędziemu.

— Państwo mają odpowiedź na wszystko — rzekł, biorąc się do wypełnienia aktu.

Gdy skończył, podał pióro mrs. Stanford. Nie zawahawszy się ani na chwilę, mrs. Stanford podpisała: Arkadja Walker.

Z tą samą zimną krwią mr. Stanford podpisał swoje nazwisko.

Poczem każde z nich, jak przed dwoma miesiącami, wręczyło sędziemu banknot pięćset dolarowy:

— Jako honorarjum — powiedział znowu mr. Seth Stanford.

— Dla biednych — powtórzyła mrs. Arkadja Walker.

Nie zwlekając, skłonili się sędziemu, poczem skłoniwszy się sobie, oddalili się, nie odwracając

się nawet, — jedno w stronę przedmieścia Wilcox, drugie w kierunku przeciwnym.

Skoro zniknęli z oczu, mr. Proth wrócił do siebie, gdzie śniadanie czekało na niego oddawna.

— Czy wiesz, Kate, co powinienem wypisać na moim szyldzie? — rzekł do swej służącej, zakładając serwetę pod brodę.

— Nie, panie.

— Powinienem napisać, że: „Tu pobierają się konno, rozwodzą zaś — pieszo”.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY,

w którym zgodnie z przewidywaniem sędziego John Proth'a zjawia się trzeci, a niebawem i czwarty współzawodnik.

Nie będziemy nawet próbowali opisać głębokiej boleści rodziny Hudelson jak również rozpacz Francis Gordon'a. Oczywiście nie zawahałby się on zerwać z wujem, obejść się bez jego pozwolenia, zlekceważyć jego gniew i nieuniknione tegoż następstwa. Ale to co mógł zastosować do mr. Dean Forsyth'a, niepodobieństwem było względem doktora Hudelson'a. Napróżno mrs. Hudelson starała się wymóc zezwolenie męża, a tem samem złamać jego postanowienie; ani błagania, ani wymówki nie przekonały uporu doktora. Loo, nawet mała Loo była niemiłosiernie odepchniętą, pomimo swych prośb, pieszczot i łez obfitych.

Obecnie nie można było nawet powrócić do nowych usiłowań, ponieważ wuj i ojciec, ostatecznie dotknięci obłędem, wyjechali do dalekich krajów.

Wszelako jak niepotrzebnym był ten podwójny wyjazd! Jak niepotrzebnym rozwód, którego decydującą przyczyną dla mr. Stanforta i mrs. Arkadii Walker były dowodzenia obu astronomów! Gdyby te cztery osoby były nakazały sobie dwudziesto-

czterogodzinną zwłokę, postępowanie ich uległoby zasadniczej zmianie.

Nazajutrz rano istotnie dzienniki whastonskie i inne podawały z podpisem I. B. K. Lowenthal'a, dyrektora obserwatorium w Bostonie, odezwę, która zmieniała wielce dotychczasowe położenie. Odezwa ta, którą podajemy poniżej *in extenso*, nie oszczędzała wcale sławy dwu astronomów.

Oto, co głosiła:

„Wiadomość, ogłoszona w ostatnich dniach przez dwóch astronomów-amatorów z Whastonu, podnieciła niezwykle ogół szeroki. Obowiązek nakazuje jej sprostowanie.

„Pozwolę sobie przedewszystkiem wyrazić ubolewanie, że wiadomości tej miary rozgłaszane są lekkomyślnie, bez uprzedniej kontroli prawdziwych uczonych. A tych uczonych nie brak w naszym kraju. Ich nauka, potwierdzona chlubnymi świadectwami, znajduje zastosowanie w wielu obserwatoriach urzędowych.

„Jest to wielki zaszczyt zapewne spostrzec pierwszemu ciało niebieskie, na tyle uprzejme, że przechodzi przez pole widzenia lunety wymierzonej ku niebu. Ale pomyślny ten przypadek nie jest w możności przekształcić odrazu zwyczajnych amatorów w zawodowych matematyków. O ile, pomijając tę prawdę zdrowego rozsądku, ludzie przystępują lekkomyślnie do zagadnień wymagających szczególnej kompetencji, to nara-

zeni są na popełnianie błędów w rodzaju tego, który obowiązkiem naszym jest wyświetlić.

„Prawda, że bieg meteoru, którym zajmuje się ziemia cała, uległ obecnie pewnym zakłóceniom. Pp. Forsyth i Hudelson wcale niesłusznie zadowolili się jedną tylko obserwacją i oparli na niej obliczenia swoje, zresztą fałszywe. Gdyby nawet wziąć pod uwagę tę jedną ich obserwację, dokonaną w nocy z 11 na 12 maja, to doszlibyśmy najoczywściej do wyników zgoła od ich dowodzeń odmiennych. Ale sprawa przedstawia się inaczej. Zmiana w biegu meteoru ani się zaczęła ani skończyła z 11 na 12 maja. Pierwsze zakłócenie nastąpiło 10 maja, a obecnie dają się zauważyć wciąż nowe.

„Na skutek tej zmiany, a raczej kolejnych zmian, meteor po pierwsze zbliża się ku ziemi, a powtórze zmienia kierunek swej drogi. Dnia 17 maja odległość meteoru zmniejszyła się o 78 kilometrów w przybliżeniu, a jego droga została odchylona o łuk 55 minut.

„Ta podwójna zmiana poprzedniego stanu rzeczy nie odbyła się odrazu. Przeciwnie, ona jest sumą zmian bardzo małych, które łączyły się z sobą od 10 bieżącego miesiąca.

„Dotąd nie można było odkryć przyczyny tej zmiany w meteorze. W niebie dostrzec niczego nie można, co dałoby ją usprawiedliwić. Badania trwają ciągle i nie ulega wątpliwości, że wkrótce doprowadzą do pomyślnych rezultatów.

„Bądź co bądź rzeczą jest przedwczesną ogłaszać upadek tego asteroidu, a tem bardziej ustalać miejsce i datę tego upadku. Rozumie się, że jeżeli nieznana przyczyna, oddziaływająca na meteor, w dalszym ciągu będzie miała ten sam wpływ na niego, to upadek jest nieunikniony, ale nie upoważnia nas nic do podobnego twierdzenia. Obecnie jego względna szybkość widocznie zwiększyła się, ponieważ zakreśla mniejszą orbitę. Narazie przeto nie dążyłby do upadku, gdyby siła nań wpływająca przestała działać.

„W przeciwnym razie, ponieważ dostrzegane w meteorze zmiany są dotąd nierówne, a różnice w ich natężeniu nie stosują się, zdaje się, do żadnego prawa, więc, pomimo, że możemy przewidywać jego upadek, nie możemy ustalić ani jego miejsca ani daty.

„Słowem, upadek meteoru wydaje się prawdopodobny; nie jest jednak pewny. W każdym zaś razie nie jest rychły.

„Radzimy przeto spokój wobec możliwości hipotetycznej, której urzeczywistnienie może nie dać żadnego praktycznego wyniku. Zresztą nie omieszkamy na przyszłość podawać publiczności codziennego sprawozdania z przebiegu wypadków.”

Czy mr. Seth Stanfort i mrs. Arkadja Walker dowiedzieli się o wnioskach p. I. B. K. Lowenthal'a, to tajemnica. Mr. Dean Forsyth zaś i doktor Hurdson, jeden w Saint Louis, w stanie Missouri,

drugi w Nowym Yorku, przeczytali obelgę ku nim wymierzoną przez dyrektora obserwatorjum w Bostonie. Zawstydzili się, jakby po otrzymaniu policzka.

Nie pozostawało wszelako nic więcej, jak znieść to upokorzenie. Nie można iść w zawody z uczonym tej miary, co p. I. B. K. Lowenthal. Mr. Forsyth i mr. Hudelson powrócili niepyszni do Whastonu. Mr. Forsyth, rezygnując ze swego biletu do San Francisco, mr. Hudelson, pozostawiając chciwemu towarzystwu żeglugi już uiszczoną zapłatę za kajutę do Buenos Ayres.

Wróciwszy do swych siedzib, udali się pośpiesznie jeden do swej wieży, drugi do wieżycy. Nie potrzebowali długiego czasu, aby się przekonać, że p. I. B. K. Lowenthal miał słuszność, gdyż z wielkim trudem odnaleźli błądzący meteor, który nie znajdował się wcale w miejscu przewidzianem przez ich stanowczo niedokładne obliczenia.

Niebawem mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson odczuli następstwa swego błędu. Gdzież po-działy się triumfalne pochody na ich cześć urządzone? Publiczność widocznie odwróciła się od nich. Jakże boleśnie dotknęła ich ta utrata popularności, którą upajali się tak zawzięcie?

Ale jeszcze poważniejsza troska zajęła ich umysły. Tak jak to był przewidział sędzia John Proth, do walki stanął trzeci współzawodnik. Z początku mówiono o tem głucho, wkrótce jednak po-

głoska stała się faktem urzędowym, rozgłosnym —
urbi et orbi.

Współzawodnik ten uosabiał w swej osobie cały świat cywilizowany, wobec czego walczyć z nim było trudno. Gdyby mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson byli mniej zaślepieni w swym gniewie, byłiby mogli od samego początku przewidzieć jego zjawienie się. Zamiast wytaczać przeciw sobie śmieszłą sprawę sądową, byłiby sobie powiedzieli, że rządy całego świata zajmą się nieodzownie miliardami, które sprowadzić mogły najstraszniejszą rewolucję ekonomiczną. Ale mr. Forsyth'owi i doktorowi Hudelson'owi nie przyszło do głowy to proste i naturalne rozumowanie, to też zapowiedź zwołania w tym celu konferencji międzynarodowej uderzyła w nich jak grom.

Pobiegli sprawdzić wiadomość; była dokładna. Wymieniano nawet członków tej przyszłej konferencji, mającej się zebrać w Waszyngtonie w terminie niestety późniejszym, niż sobie tego życzano, z powodu dalekiej podróży, którą odbyć musieli niektórzy delegaci. Wszakże państwa przynaglone okolicznościami postanowiły, nie czekając na przybycie tych delegatów, urządzić w Waszyngtonie przedwstępne zebranie z udziałem dyplomatów akredytowanych przez rząd amerykański. Delegaci nadzwyczajni mieli nadjechać podczas trwania tych narad przygotowawczych, na których miano przygotować teren tak, ażeby konferencja,

ostatecznie zorganizowana, mogła od pierwszego posiedzenia przystąpić do gotowego programu.

Trudno żądać, abyśmy wyliczali wszystkie państwa, mające brać udział w konferencji. Jak już nadmieniliśmy, wchodził tu w grę cały świat cywilizowany. Ani jedno cesarstwo, ani jedno królestwo, ani jedna republika, ani jedno księstwo nie pozostały obojętne wobec sprawy spornej i każde z nich wysłało delegata, zaczawszy od Rosji i Chin, reprezentowanych przez p. Iwana Saratowa z Rygi i jego ekscelencję Li-Mao-Tchi, od kantonów aż do maleńkich republik San Marino i Andory, których interesów mieli bronić pp. Beveragi i Ramontcho.

Wszelkie ambicje i nadzieje były usprawiedliwione, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie spadnie meteor, przypuściwszy, że spaść musi.

Pierwsze zebranie przygotowawcze odbyło się 25 maja w Waszyngtonie. Zaczęło się od sprawy Forsyth-Hudelson'a, którą w przeciągu pięciu minut załatwiono, orzekając, iż żadnej zmiany nie podlega. Panowie ci, specjalnie przybyli, daremnie jednak starali się być wysłuchani; wyproszono ich jak zwykłych intruzów. Można sobie wyobrazić, w jakim nastroju powrócili do Whastonu! Ale musimy bez ogródki powiedzieć, że ich oskarżenia nie znalazły najmniejszego oddźwięku. Prasa, obsypująca ich tak długo kwiatami, nie upomniała się o nich zgola. Dość już było tych tytułów „szanowany obywatel Whastonu”, „znakomity astronom”, „ma-

tematyk zarówno wybitny jak skromny". Ton prasy zmienił się nie do poznania.

„Poco przybyli do Waszyngtonu ci pyszałkowie?... Dlatego, że pierwsi dali znać o meteorze?... Co zaś potem?... Czy ta przypadkowa okoliczność daje im jakiegokolwiek prawa?... Czy oni przyczynili się w czemkolwiek do jego upadku?... Doprawdy niewarto czasu tracić dla takich śmiesznych uroszczeń!“ Oto, w jaki sposób prasa wyrażała się obecnie. *Sic transit gloria mundi!*

Skoro sprawa ta została załatwiona, pracę rozpoczęto na dobre.

Najpierw poświęcono kilka posiedzeń na ułożenie listy państw suwerennych, którym przyznane zostanie prawo brania udziału w konferencji. Wiele z nich nie miało uprawnionych przedstawicieli w Waszyngtonie. Dla tych miało być pozostawione prawo współpracy dopiero wtedy, gdy konferencja poruszy kwestje zasadnicze. Ułożenie tej listy nie było łatwe, a gwałtowność, z jaką występowano, budziła obawy na przyszłość. Tymczasem 1 czerwca zaszedł niespodziewany wypadek, który wzbudził niepokój ogólny.

Stosownie do swego przyrzeczenia p. I. B. K. Lowenthal codziennie podawał w dziennikach wiadomości o meteorze. Wiadomości te, jak dotychczas, nie przedstawiały nic nadzwyczajnego. Zadawały się stwierdzeniem faktu, że bieg meteoru ulegał nadal niewielkim zmianom, które w rezul-



Ułożenie tej listy nie było łatwe . . . Str. 184.

(W pogoni za meteorem.)

ROTOGRAWURA DRUKARNI I KSIĘGARNI
św. WOJCIECHA W POZNANIU



VI. KOŁA

* T. S. L. *

KRAKOWIE

tacie coraz prawdopodobniejszym czyniły jego upadek. Jednakże nie można go było uważać jeszcze za rzecz pewną.

Ale odezwa z 1 czerwca była zupełnie odmienna od poprzednich. Można było mniemać, że zmiany zaszły w meteorze miały w sobie coś zaraźliwego, sądząc z niepokoju p. I. B. K. Lowenthal'a.

„Nie bez głębokiego wzruszenia — pisał dnia tego — podajemy do wiadomości publicznej, że byliśmy świadkami tak osobliwych zjawisk, stoimy wobec faktów tak niezwykłych, iż mogą podkopać podstawę wiedzy astronomicznej, a nawet wiedzy wogóle, gdyż wszystkie nauki ludzkie tworzą jedną nierozzerwalną całość. Wszakże, pomimo że tych zjawisk wytłumaczyć nie można, jako że są odporne wszelkim tłumaczeniom, przyznać musimy, że przedstawiają niezbitą pewność.

„Nasze poprzednie sprawozdania donosiły o kolejnych a nieprzerwanych zmianach biegu meteoru whastonskiego, których ani przyczyny, ani praw dotąd nie można było określić. Fakt ten był wysoce nienormalny. Astronom, w istocie, czyta w niebie jak w książce, i nie dzieje się zwykle w niem nic, czego nie przewidział lub co najmniej czego skutków przewidzieć nie mógł. Tak więc zaćmienia, przepowiedziane na sto lat przedtem, spełniają się o wskazanej sekundzie, jakby posłuszne były rozkazowi znikomej istoty, której wiedza przyszłości dostrzegła je w mgłach.

jutra i która w chwili gdy jej przepowiednia się urzeczywistnia, od wieków śpi snem wiecznym.

„Jeżeli jednak zaobserwowane zmiany były nienormalne, to nie stały one w sprzeczności z danymi naukami, i jeżeli ich przyczyna była nie-
wiadoma, mogliśmy obwiniać o to niedoskonałość
naszych metod doświadczalnych.

„Dziś rzecz przedstawia się inaczej. Od po-
zawczoraj, czyli od 30 maja bieg meteoru uległ
nowym zmianom bezwzględnie sprzecznym z ogólnymi
naszemi wiadomościami naukowymi. To
znaczy, że straciliśmy wszelką nadzieję możliwości
wytłumaczenia tych zjawisk, ponieważ aksjomaty,
na których opierają się nasze obliczenia, tracą tu
wszelkie zastosowanie.

„Najmniej wprawny z badaczy łatwo mógł
zauważyć, że podczas swego powtórnego przej-
ścia 30 maja, meteor, zamiast nadal zbliżać się do
ziemi, jak to uwidoczniło się bez przerwy od 10
maja, teraz przeciwnie, oddalił się od niej. Z dru-
giej strony jego orbita, nachylona wedle spo-
strzeżeń w ciągu dni dwudziestu w kierunku
północ-wschód południe-zachód, nagle przestała
ujawniać wspomniane nachylenie.

„Niespodziewane to zjawisko miało w sobie
już coś niezrozumiałego, gdy wczoraj 30 maja
przy czwartym przejściu meteoru po wschodzie
słońca stwierdzono, że jego orbita wróciła prawie
dokładnie do swego dawnego północno-południo-

wego kierunku, odległość zaś od ziemi od wczoraj została niezmienna.

„Oto jak stoją rzeczy. Nauka jest bezsilna w wytłumaczeniu faktów, noszących wszelkie cechy braku ciągłości, o ile może być nieciągłość w naturze.

„Dowodziliśmy w pierwszej naszej odezwie, że upadek, jeszcze niepewny, musi być uważany za prawdopodobny. Obecnie nie ośmielilibyśmy się twierdzić tego i wolimy ograniczyć się do skromnego wyznania swojej niewiedomości.”

Gdyby anarchista rzucił był bombę podczas ósmego posiedzenia zebrania przygotowawczego, nie wywołałby był takiego wrażenia, jakiego doznano po przeczytaniu odezwy p. I. B. K. Lowenthal'a. Wrywano sobie dzienniki, podające ją z odpowiedniami komentarzami. Całe popołudnie przeszło na podnieconych rozmowach i wymianach zapatrywań ku wielkiej szkodzie mozolnych prac konferencji.

Następnych dni było jeszcze gorzej. Odezwy p. I. B. K. Lowenthal'a następowały jedne po drugich, coraz bardziej zadziwiające. Wśród gwiazdzistego baletu, tak mistrzowsko wyreżyserowanego, meteor, zdawało się, że tańczy kankana, gardząc wszelkimi prawidłami i miarą. Jego orbita to skłaniała się na trzy stopnie na wschód, to znów zwracała się na cztery stopnie na zachód. Jeżeli w jednym przejściu trochę się zbliżał do ziemi, to

w drugim oddalał się od niej na kilka kilometrów. Doprawdy można było oszaleć!

Obłęd ten stopniowo ogarniał konferencję międzynarodową. Dyplomaci, niepewni użyteczności swych dyskusyj, pracowali niedbale i bez wyraźnie wytkniętego celu.

A jednak czas upływał. Ze wszystkich stron świata dążyli całą siłą pary delegowani przeróżnych państw do Ameryki i do Waszyngtonu. Wielu z nich było już na miejscu, a niebawem ich liczba tak się zwiększyła, że śmiało mogli otworzyć konferencję, nie czekając na przyjazd kolegów. Czyż mieli znaleźć się przed zagadnieniem, którego nawet pierwszy punkt nie był wyjaśniony?

Członkowie zebrania przygotowawczego wzięli sprawę do serca i dzięki usilnej pracy zdołali po ośmiu dodatkowych posiedzeniach ułożyć listę państw, których delegowani mieli być dopuszczeni do posiedzeń. Ustalono ich liczbę na pięćdziesiąt dwa, czyli dwadzieścia pięć dla Europy, sześć dla Azji, cztery dla Afryki i siedmnaście dla Ameryki. W tem było dwanaście cesarstw, dwanaście dziedzicznych królestw, dwadzieścia dwie republiki i sześć księstw. Te zatem pięćdziesiąt dwa cesarstwa, monarchje, republiki i księstwa czy to same przez się, czy przez swoich wasali i swoje kolonje, uznano za jedynych właścicieli kuli ziemskiej.

Był wielki czas, aby zebrania przygotowawcze doszły do tego wniosku. Delegowani pięćdziesię-

ciu dwu państw, dopuszczonych do obrad, stawili się prawie wszyscy, a reszta przybywała codziennie.

Konferencja międzynarodowa zebrała się po raz pierwszy 10 czerwca o drugiej godzinie po południu, pod przewodnictwem najstarszego wiekiem p. Solies, profesora oceanografii i delegata księstwa Monaco. Załatwiono natychmiast sprawę utworzenia stałego zarządu.

Po pierwszym głosowaniu wybrano na przewodniczącego, ze względów uprzejmości dla kraju, w którym przyjmowani byli członkowie konferencji, p. Harvey, wybitnego prawnika, przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Trudniej poszło z wice-przewodniczącym. Wreszcie kompromisowo obrano p. Saratowa, delegata Rosji.

Delegaci francuscy, angielscy i japońscy mianowani byli sekretarzami.

Skoro załatwiono formalności, przewodniczący wystąpił z krótką przemową bardzo wytworną i bardzo oklaskiwaną, poczem oznajmił, że wybrać należy trzy podkomisje, których zadaniem będzie ułożenie najlepszej metody pracy z potrójnego punktu widzenia: narodowościowego, ekonomicznego i prawnego.

Głosowanie się rozpoczęło, wtem woźny zbliżył się do fotelu przewodniczącego, oddając mu telegram.

P. Harvey zaczął czytać, ale w miarę czytania na twarzy jego malowało się coraz większe zdziwienie. Po chwili namysłu wzruszył ramionami pogardliwie, co jednak nie przeszkodziło mu znów po powtórnym namyśle zadzwonić dla zwrócenia uwagi kolegów.

Skoro cisza nastąpiła:

— Panowie, — rzekł p. Harvey — uważam za swój obowiązek oznajmić panom, że otrzymałem telegram. Nie wątpię ani na chwilę, że jest to złośliwy żart lub też dzieło warjata. W każdym razie zakomunikować go muszę: Oto treść niepodpisanego zresztą telegramu:

„Panie Prezydencie,

„Mam zaszczyt powiadomić konferencję międzynarodową, że meteor, który ma być przedmiotem jej obrad, nie jest bynajmniej *res nullius*, zważywszy, że jest moją osobistą własnością.

„Konferencja międzynarodowa nie ma zatem racji bytu, a jeżeli nadal będzie obradowała, to praca jej zgóry skazaną jest na bezskuteczność.

„Za moją to wolą meteor zbliża się do ziemi, spadnie na moim gruncie, tem samem do mnie należy”.

— Telegram ten nie jest podpisany? — spytał delegat angielski.

— Nie jest podpisany.

— W takim razie należy przejść nad nim do porządku dziennego — oświadczył delegat Niemiec.

— Jest to również moje zdanie — potwierdził przewodniczący — i zdaje mi się, że pójde za jednogłośnem życzeniem kolegów, odsyłając ten telegram wprost do archiwum konferencji... Czy zgadzacie się na to, panowie?... Nikt się temu nie sprzeciwia?... Panowie, posiedzenie trwa nadal.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY,

w którym wdowa Thibaut swem nierozważnem zetknięciem się z najdonioślejszemi zagadnieniami mechaniki niebieskiej, nabawia poważnego kłopotu bankierowi Robertowi Lecoœur.

Zacni ludzie twierdzą, że ewolucja obyczajowa stopniowo usunie synekury. Chcemy temu wierzyć na słowo. W każdym razie synekura ta istniała, bodaj jedyna, w epoce osobliwych wydarzeń, o których mowa.

Synekura ta była własnością pani Thibaut wdowy, byłej rzeźniczki, obecnie zaś służącej p. Zefiryna Xirdal'a.

Służba wdowy Thibaut polegała jedynie na sprzątanii pokoju tego niezrównoważonego uczonego. Ponieważ umeblowanie tego pokoju przedstawiało się więcej niż skromnie, utrzymanie go w porządku nie mogło być porównane do trzynastej pracy Herkulesa. Przytem reszta mieszkania nie należała prawie wcale do jej kompetencji. Szczególnie w drugim pokoju nie wolno jej było bezwzględnie, pod żadnym pozorem dotknąć stosu papierów leżących dookoła, i czynności swej szczotki, stosownie do wyraźnej umowy, ograniczyć musiała do sprzątnania małej kwadratowej części podłogi na środku pokoju.

Wdowa Thibaut, obdarzona wrodzoną skłonnością do porządku i czystości, cierpiała, patrząc na chaos panujący dookoła tego kwadratu, rysującego się jak wysepka na morzu, i pochłonięta była ciąglem pragnieniem dokonania ogólnego porządku. Kiedy została sama w mieszkaniu, odważyła się na to przedsięwzięcie. Ale Zefiryn Xirdal powróciwszy znienacka, wpadł w taki gniew, jego oblicze zwykle dobrodusze wyrażało taką zaciekłość, że wdowa Thibaut dostała wstrząśnienia nerwowego, którego pozbyć się nie mogła przez cały tydzień. Odtąd nie zapuszczała się nigdy na wzbronione terytorjum.

Z powodu tych licznych przeszkód, ujemnie wpływających na rozwijanie się jej zalet zawodowych, wdowa Thibaut nie miała prawie nic do roboty. Zresztą nie przeszkadzało jej to przebywać codziennie dwie godziny u swego „pana”, — tak bowiem nazywała Zefiryne Xirdal’a, i sądziła, że czas ten jest z jej strony dowodem wyrafinowanej grzeczności; siedm kwadransów zwykle przepędzała na rozmowie, a dokładniej, na monologowaniu w dobrym guście.

Wśród licznych zalet wdowa Thibaut posiadała niesłychaną łatwość wymowy. Niektórzy utrzymywali, że jej gadatliwość przechodzi wszelkie granice. Ale to była czysta złośliwość. Lubiła mówić, i nic więcej.

Wszelako nie wysilała zbyt swego wyobraźni. Zaczynała zawsze od wspominania swej godnej rodziny, której była członkiem, następnie przecho-

dziła do swych nieszczęść, tłumacząc, jaką smutną koleją losu z rzeźniczki przemieniła się na służącą. Nie obchodziło jej wcale, czy kto już znał jej wzruszające dzieje. Wdowa Thibaut z równem upodobaniem zawsze o nich wspominała. Po wyczerpaniu tego przedmiotu opowiadała o różnych osobach, którym usługiwała, lub którym dawniej służyła. Do poglądów, zwyczajów, sposobu życia tych osób przyrównywała postępowanie Zefiryna Xirdal'a, udzielając z równą bezstronnością pochwały i nagany.

Jej pan, nie odpowiadając jej nigdy, dawał dowód niewyczerpanej cierpliwości. Co prawdą, zatopiony w swoich marzeniach, nie słyszał wcale tej gadaniny, a to, zważyć trzeba, znacznie zmniejszało zasługę cierpliwości. Tak czy inaczej, przez długie lata rzeczy układały się bardzo dobrze, jedno bowiem ustawicznie mówiło, drugie nie odpowiadało nigdy, — oboje nader zadowoleni z siebie.

30 maja wdowa Thibaut, jak to miała w zwyczaju, weszła o dziewiątej rano do Zefiryna Xirdal'a. Uczony ten młodzian wyjechał był właśnie w przeddzień ze swym przyjacielem Marcelem Leroux, mieszkanie więc było puste.

Wdowa Thibaut nie zdziwiła się tem zbytnio. Przyzwyczajona do nagłych zniknięć swego pana, jego nieobecność uważała za rzecz zwykłą. Żałowała tylko, sprzątajac, że nie ma do kogo przemawiać. Skończywszy jeden pokój, weszła do drugiego, który nazywała pompatycznie gabinetem. Ale tu spotkała ją niespodzianka.

Niezwykły przedmiot, coś w rodzaju czarniawej skrzynki, stał pośrodku wolnego kwadratu posadzki, przeznaczonego do sprzątanía. Co to miało znaczyć? Oburzona na takie wchodzenie w jej prawa, wdowa Thibaut odsunęła ruchem stanowczym skrzynkę, poczem zabrała się najspokojniej do swej zwykłej pracy.

Mając słuch nieco przytępiony, nie słyszała brzęczenia wydobywającego się ze skrzyni, jak równieź zajęta nie dostrzegła błękitnawego światelka reflektora. W pewnej jednak chwili osobliwe zjawisko zwróciło jej uwagę, mianowicie, przechodząc przed reflektorem, pchnięta gwałtownie, upadła na podłogę. Wieczorem, przy rozbieraniu, stwierdziła, że na jej ciało wystąpił ogromny czarny siniec na prawem biodrze, pomimo że upadła na lewą stronę. Przypadek zrządził, że nie znalazła się już więcej w obrębie działania reflektora, przeto zjawisko nie powtórzyło się, jej zaś do głowy nie przyszło, że jest ono w związku z poruszoną skrzynką. Przypuszczała poprostu, że się pośliznęła.

Wdowa Thibaut, przejęta poczuciem swych obowiązków, nie omieszkała po skończonem sprzątaníu postawić skrzynki na miejsce, a nawet, trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, starała się jej nadać to samo położenie. Jeżeli nie wywiązała się ze swojego zadania zupełnie dokładnie, należy jej to wybaczyć, gdyż zupełnie nieświadomie zwróciła mały walec wirujących pyłków w stronę nieco odmienną, niż był poprzednio.

Dni następnych powtarzała tę samą czynność, dlaczegoż bowiem zmieniać miała swe przyzwyczajenia pełne zalet i godne pochwały?

Przyznać jednak należy, że w miarę powtarzania się tych czynności, traciły one znaczenie, tak że ostatecznie niewiele dbała, czy skrzynka znajduje się dokładnie na swoim miejscu, czy też nie. Co prawda nie omieszkła postawić zawsze skrzyni przed oknem, ponieważ ją tak umieścił p. Xirdal, ale otwór reflektora przybierał najrozmaitsze kierunki, promieniując to nieco na prawo, to na lewo. Wdowa Thibaut czyniła to bez żadnej złośliwości i nie podejrzывała nawet, że jej samorządna współpraca nabawi tyle kłopotu p. I. B. K. Lowenthal'a. Pewnego razu przez nieuwagę obróciła reflektor na przegubie, nie troszcząc się wcale, że był skierowany wprost na sufit.

W takim to położeniu znalazł Zefiryn Xirdal swoją maszynę, powróciwszy 10 czerwca po południu ze swej wycieczki.

Pobyt na wybrzeżu morskiem przeszedł mu najprzyjemniej i może byłby go przedłużył, gdyby dwanaście dni po przybyciu, nie przyszła mu była do głowy osobliwa zachcianka zmiany bielizny. Zmusiło go to do otworzenia swego pakunku, w którym, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, znalazł dwadzieścia siedm słoików o szerokich szybkach. Zefiryn Xirdal osłupiał. Co znaczą te słoiki? Powoli jednak, nawiązawszy nić wypadków, przypomniał sobie o swym projekcie ogniwa elektrycznego,

do którego w swym czasie tak się był zapalił, a o którym tak całkowicie zapomniał.

Za karę wymierzył sobie kilka silnych uderzeń pięścią i szybko zawinawszy paczkę, opuścił Marcela Leroux, udając się wprost do Paryża.

Zefiryn Xirdal mógł być zapomnieć po drodze o przyczynie swego gwałtownego powrotu, ale wypadek, który się zdarzył na stacji Saint-Lazare, opamiętał go niebawem.

Paczkę swoją z cenną zawartością dwudziestu siedmiu słoików związał z tak wyszukaną starannością, że rozleciała się z niezmiernym hałasem na asfalt stacji. Hałas ów przeraził dwieście osób, które sądziły, że to zamach jakiego anarchisty. Ujrzały jednak tylko Zefiryna Xirdal'a, przypatrującego się z miną wystraszoną resztkom swego pakunku.

Kłęska ta miała przynajmniej tę dobrą stronę, że przypomniła mu, w jakim celu znajduje się obecnie w Paryżu. Natychmiast udał się do kupca, znowu kupił dwadzieścia siedm słoików i zabrał od stolarza zamówioną ramę, gotową od dziesięciu dni.

Zaopatrzony w te sprawunki i spragniony rozpoczęcia doświadczeń, otworzył z pośpiechem drzwi mieszkania. Ale na progu stanął jak wryty na widok maszyny, której reflektor obrócony był w stronę zenitu.

Zefiryn Xirdal zastanowił się tak głęboko, niepokój jego był tak wielki, iż wypuścił z rąk pakunki, które, podlegając zwykłym prawom ciężenia, skie-

rowały się w prostej linii ku ośrodkowi ziemi i bez wątpienia byłyby się tam znalazły, gdyby nie znajdu-
jąca się na ich drodze posadzka, o którą rozbiły
się w kawałki szklane słoiki, złamała zaś na dwoje
drewniana podstawa. To znaczy, że w przeciągu
godziny pięćdziesiąt cztery słoiki uległy zniszczeniu.
W tym stosunku idąc, Zefiryn Xirdal zlikwidowałby
prędko swój rachunek w banku, dosięgający po-
każnej sumy.

Ten niezwykle rozbijacz szkielec nie spostrzegł
nawet swego czynu. Nieruchomy na progu drzwi,
wpatrywał się zadumany w swą maszynę.

— Jest w tem ręka wdowy Thibaut — rzekł
wreszcie wchodząc, co świadczyło o jego trafnym
instynkcie.

Podniósłszy oczy, zauważył na suficie i nad
sufitem, w dachu otworek, znajdujący się w prze-
dłużeniu osi metalowego reflektora, w którego
ognisku umieszczona rurka wciąż wirowała zapa-
miętale. Otwór ten, wielkości ołówka, był tak
równy, jak gdyby go wykrojono narzędziem.

Uśmiech rozjaśnił szeroką twarz Zefiryna Xir-
dal'a, którego już zaczynało to bawić.

— Dobrze!... dobrze! — szeptał.

Wszelako należało koniec położyć temu wido-
wisku. Xirdal, schyliwszy się nad maszyną, prze-
rwał jej działanie. Brzęczenie ustało, niebieskawe
światelko zgasło, rurka przestała wirować.

— Dobrze!... dobrze!... ładne rzeczy muszą
się dziać!...

Niecierpliwą ręką odpieczętował dzienniki, nagromadzone na stole, i czytał z kolei wszystkie odezwy p. I. B. K. Lowenthal'a o kapryśnych wystąpieniach meteoru whastofskiego. Zefiryn pokładał się od śmiechu.

Przeciwnie treść innych artykułów wywołała mars na jego czole. Do czego zmierzała ta międzynarodowa konferencja, której pierwsze posiedzenie po licznych zebraniach przygotowawczych właśnie miało odbyć się dzisiaj? Co zmuszało ją do określenia przynależności meteoru? Czy nie należał z prawa do tego, kto przyciągał go do ziemi i dzięki komu nie będzie wiekuiście szybował w przestrzeni?

Ale myśl, że nikt nie wie o tem pośrednictwie, zniewoliła Zefiryna Xirdal'a do wyjścia z ukrycia, ażeby konferencja międzynarodowa nie traciła czasu na próżno dla prac skazanych zgóry na jałowość.

Odrąciwszy nogą szczątki dwudziestu siedmiu stoików, pobiegł do najbliższej poczty dla wysłania depeszy, którą p. Harvey miał przeczytać z wyżyn swego prezydjalnego fotelu. Nie można winić nikogo, że przez roztargnienie tak wielce zadziwiające w człowieku tak mało roztargnionym, zapomniał podpisać się na niej.

Poczem Zefiryn Xirdal, wróciwszy do siebie, przeczytał najpierw w przeglądzie naukowym sprawozdanie o biegu meteoru, następnie, odgrzebując po raz wtóry swoją lunetę, oddał się ścisłym badaniom nieba, potrzebnym do jego nowych obliczeń.

O północy, po osiągnięciu żadanego wyniku, puścił w ruch maszynę, wyładowując w przestrzeń energję promieniującą o napięciu dostatecznem i w należyтым kierunku, następnie po upływie półgodziny zatrzymał maszynę i położył się najspokojniej, zasypiając snem sprawiedliwego.

Od dwóch dni Zefiryn Xirdal poświęcał swój czas doświadczeniom. Gdy po raz trzeci tego popołudnia zatrzymał ruch maszyny, ktoś zastukał do drzwi. W progu ukazał się bankier Robert Lecoeur.

— Nareszcie, zjawiłeś się! — zawołał.

— Jak widzisz — rzekł Zefiryn Xirdal.

— To nieźle! — odparł p. Lecoeur. — Już nie wiem po raz który wdrapuję się na to twoje szóste piętro. Gdzież u diabła byłeś?...

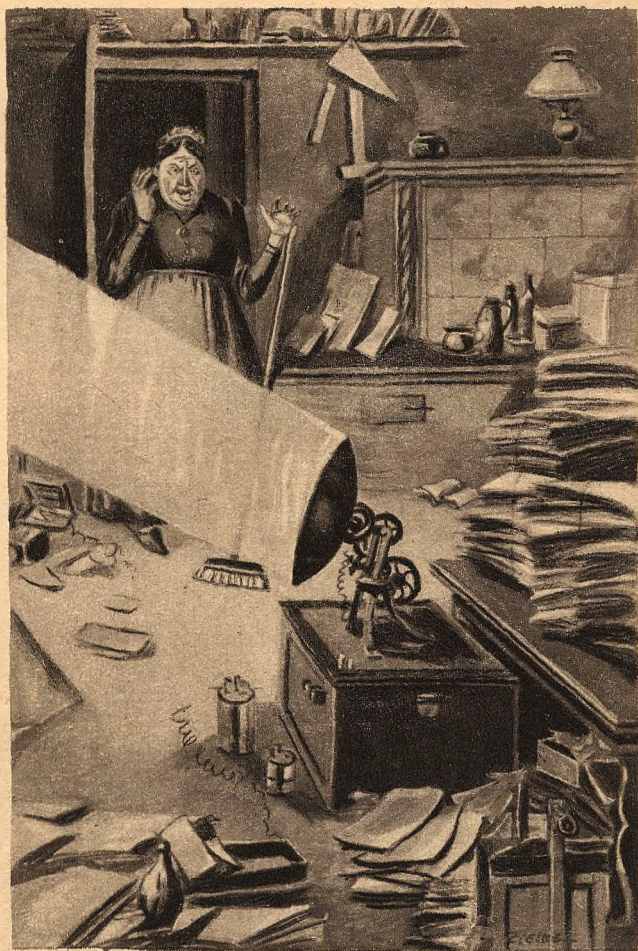
— Wyjechałem — odpowiedział Xirdal, rumieniąc się pomimowoli.

— Wyjechał! — odezwał się p. Lecoeur głosem oburzonym. — Wyjechał!... Ależ to okropne!.. Nie powinno się wprawiać ludzi w taki niepokój.

Zefiryn Xirdal spojrzał na swego ojca chrzestnego ze zdumieniem. Zapewne, nie wątpił o jego przywiązaniu. Ale do tego stopnia!

— Ależ, mój wuju, co ci to może szkodzić? — spytał.

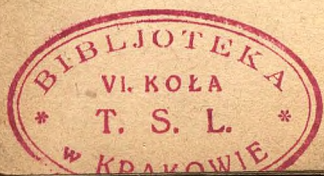
— Co mnie to może szkodzić? — powtórzył bankier. — Zapominasz, nieszczęsny, że cały mój majątek jest na twojej głowie.



Ale tu spotkała ją niespodzianka. Str. 194.

(W pogoni za meteorem)

FOTOGRAWURA DRAKARNI I KSIĘGARNI
ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU



— Nie rozumiem — rzekł Zefiryn Xirdal, siadając na stole i podsuwając jedyne swe krzesło gościowi.

— Gdy wtajemniczyłeś mnie w swe fantastyczne zamiary — zaczął p. Lecoeur — wyznaję, że przekonałeś mnie.

— Nic dziwnego — odparł Xirdal.

— I dlatego bez wahania zaryzykowałem twoje szczęście i zacząłem grać na giełdzie na zniżkę,

— Na zniżkę?

— Tak, zacząłem sprzedawać akcje.

— Sprzedawać akcje, jakie?...

— Kopalni złotych. Rozumiesz, że jeżeli meteor spadnie, to akcje kopalni spadną i że...

— Spadną? Coraz mniej rozumiem — przerwał Zefiryn Xirdal. — Nie mogę pojąć, jakim sposobem moja maszyna wpłynąć może na poziom kopalni?

— Kopalni, zapewne — odpowiedział p. Lecoeur — ale na jej akcje, to różnica.

— Dobrze — zgodził się Xirdal bez nalegania. — Sprzedałeś akcje kopalni złota, nic w tem ważnego. Jest to dowód, że je posiadasz.

— Przeciwnie, nie posiadam ani jednej.

— Ach!... — westchnął oszołomiony Xirdal. — Sprzedać to, czego się nie ma, jest bardzo sprytne, jabym tego nie dokazał.

— To jest właśnie to, co nazywa się spekulacją obliczoną na czas, mój kochany Zefirynie. Skoro trzeba będzie doręczyć akcje, kupię je wtedy.

— A zatem co za korzyść?... Sprzedawać, ażeby kupować, nie wydaje mi się to przedsięwzięciem bardzo udatnem na pierwszy rzut oka.

— Mylisz się, ponieważ w danej chwili akcje będą tańsze.

— A dlaczego miałyby być tańsze?

— Ponieważ meteor dostarczy więcej złota, niż jest na ziemi. Wartość złota zatem zmniejszy się o połowę, a tem samem akcje kopalni złota spadną nieledwie do zera. Zrozumiałeś teraz?

— Zapewne — rzekł Xirdal bez przekonania.

— Najpierw byłem wdzięczny sobie, że ci zaufałem. Zmiany zaszły w biegu meteoru, jego prawdopodobny upadek, wpłynęły na akcje kopalni, które spadły o 25 %. Będąc zupełnie przekonany, że spadną jeszcze bardziej, sprzedałem znaczniejszą ich ilość.

— Nie mając ich?

— Naturalnie... Możesz więc wyobrazić sobie mój niepokój wobec tego, co się działo: ty zniknąłeś, meteor zaś zatrzymał się w swym upadku, zjawiając się we wszystkich czterech stronach nieba. Skutkiem tego akcje znów poszły w górę, a ja mogłem stracić olbrzymie sumy... Co mam sądzić o tem wszystkim?

Zefiryn Xirdal patrzył na chrzestnego ojca z ciekawością. Nie widział nigdy tego człowieka zrównoważonego pod wpływem tak gwałtownego wzruszenia.

— Niebardzo zrozumiałem te kombinacje — odezwał się wreszcie. — To za mądre dla mnie. Zdaje mi się jednak, o ile zrozumiałem, że byłoby ci przyjemnie, gdyby meteor upadł. A więc! bądź spokojny, spadnie.

— Ręczysz?

— Ręczę.

— Najformalniej?

— Najformalniej... Ale czy kupiłeś żądany kawałek ziemi?

— Zapewne — odpowiedział p. Lecoeur. — Mam w kieszeni akt własności.

— A zatem wszystko idzie pomyślnie — rzekł Zefiryn Xirdal. — Mogę nawet ci oświadczyć, — że doświadczenie moje dobiegnie kresu 5 lipca bieżącego roku. Tego dnia opuszczę Paryż i wyjadę na spotkanie meteoru.

— Który spadnie?

— Który spadnie.

— Pojadę z tobą! — zawołał p. Lecoeur z zapalem.

— Jeżeli ci to dogadza! — odpowiedział Zefiryn Xirdal.

Czy to na skutek odpowiedzialności, jaką zaciągnął względem p. Roberta Lecoeur, czy też interes nauki pochłonął go całkowicie, dość, że jakiś dobroczynny wpływ nie pozwolił mu na nowe wybryki. Doświadczenia swe odbywał z całą sumiennością, a tajemnicza maszyna brzęczała do 5 lipca przeszło czternaście razy na dobę.

Od czasu do czasu Zefiryn Xirdal badał meteor przez lunetę, przekonując się, że wszystko idzie według jego przewidyń.

5 lipca rano, po raz ostatni skierował lunetę w stronę nieba.

— Wszystko w porządku — rzekł, odchodząc od przyrządu. — Mogę zająć się czem innym.

I zajął się swemi pakunkami.

Najpierw swą lunetą i maszyną z kilku zapasowemi rurkami. Zapakował je z wielką zręcznością i włożył w mocne futerały, zabezpieczające je od niespodziewanych przypadków podróży. Następnie przyszła kolej na jego osobiste pakunki.

Poważna przeszkoda o mało nie zatrzymała go na samym początku. W co umieścić rzeczy, które należało z sobą zabrać? Kufer? Zefiryn nie miał go nigdy. A zatem waliza?...

Po długich rozmyślaniach przypomniał sobie, że musi posiadać walizę. A jako dowód, że ją posiadał rzeczywiście, może służyć fakt, że po zmudnych poszukiwaniach znalazł ją w głębi ciemnego pokoju, gdzie wyrzucał niepotrzebne rzeczy, nagromadzone w takiej ilości, iż najuczciwszy antykwariusz nie doszedłby z niemi do ładu.

Walizka ta, którą Zefiryn Xirdal wysunął na światło dzienne, ongi była pokryta płótnem. Można było się tego domyślić po kawałkach materjału, trzymających się jeszcze jej kartonowego pudła. Paski zaś też istnieć musiały, ale wszelki ich ślad

zaginął. Zefiryn Xirdal otworzył ją na środku pokoju, ale długo się namyślał, czym ją ma wypełnić.

— Tylko to, co jest niezbędne — upewniał samego siebie. — Należy wziąć się do tego metodycznie i zastosować metodę racjonalnego wyboru.

Trzymając się tej zasady, włożył do walizki trzy różne trzewiki. W przyszłości ubolewał bardzo, że nieszczęśliwym przypadkiem jeden z nich był zapinany na guziki, drugi sznurowany, trzeci zaś był zwykłym pantoflem. Narazie jednak wszystko było w porządku, gdyż część walizy była wypełnioną. A to już coś znaczyło!

Upakowawszy obuwie, Zefiryn Xirdal bardzo strudzony otarł pot z czoła, poczem znów zaczął się namyślać.

Wynikiem tego namysłu było, że zaczął sobie niejako zdawać sprawę z nieudolności w sztuce pakowania. To też zwątpiwszy o wszelkiej metodzie, poddał się natchnieniu.

Czerpał ze szuflad i ze stosu ubrań, tworzących jego garderobę, co tylko wpadło mu w ręce. W przeciągu kilku chwil najprzeróżniejsze przedmioty wypełniły po brzegi walizę. Być może, że drugi przedział był próżny, ale Zefiryn Xirdal nic o tem nie wiedział. To też zmuszony był pomagać sobie nogą i pięścią, ażeby wreszcie zamknąć nieszczęsną walizę.

Następnie owiązał ją mocnym sznurem, związanym szeregiem węzłów tak zawikłanych, że o rozwiązaniu ich mowy być nie mogło. Wreszcie przy-

stanął, przypatrując się swemu dziełu z niejaką lubością.

Należało teraz udać się na dworzec. Ale pomimo swej wprawy w chodzeniu, Zefiryn Xirdal nie mógł nawet myśleć o zanieśieniu tam maszyny, lunety i walizy. Masz tobie, nowy kłopot!

Można przypuszczać, że wkońcu przyszedłby do wniosku, iż istnieją w Paryżu dorożki. Ale umysłowego tego wysiłku zaoszczędził mu p. Robert Lecoeur, zjawiając się na progu.

— Czy jesteś gotów, Zefirynie?

— Czekalem na ciebie, jak widzisz — odpowiedział w prostocie ducha Xirdal, który zapomniał był, że jego chrzestny ojciec jechać miał wraz z nim.

— A zatem w drogę — rzekł p. Lecoeur. — Ile masz pakunków?

— Trzy: maszynę, lunetę i walizkę.

— Daj mi jeden z nich, weź zaś resztę. Powóz mój czeka.

— Co za dobry pomysł! — dziwił się Zefiryn Xirdal, zamykając drzwi za sobą.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY,

w którym I. B. K. Lowenthal wskazuje na wygrywającego wielki los.

Od chwili popełnienia pomyłki tak dosadnie ujawnionej przez p. I. B. K. Lowenthal'a, pierwszego niepowodzenia, które pociągnęło za sobą drugie z konferencją międzynarodową, życie straciło urok dla mr. Dean Forsyth'a i doktora Hudelson'a. Zapomnieni, zrównani z pierwszymi lepszymi obywatelami, nie mogli strawić obojętności ogółu, zaznawszy upojenia sławy.

W swych rozmowach z garstką przyjaciół, która pozostała im wierna, dawali folę swemu gniewowi, skarżąc się na zaślepienia tłumu i broniąc swej sprawy zajadle. Jeżeli nawet popełnili pomyłkę, czy słusznem było obwiniać ich w ten sposób? Czy uczony I. B. K. Lowenthal, surowy ich oskarżyciel, nie omylił się również i czy nie musiał w rezultacie przyznać się do swej bezsilności? Czyż nie należało stąd wnioskować, że ich meteor jest wyjątkowy, anormalny? Czy w podobnych okolicznościach wszelka pomyłka nie jest rzeczą naturalną i do wytłumaczenia?

— Zaiste! — przytakiwała garstka przyjaciół.

A konferencja międzynarodowa? Czy można wyobrazić sobie bardziej niecznie odmówienie sprawiedliwości? Nic dziwnego, że przedsięwzięta potrzebne środki ostrożności dla utrzymania spokoju ekonomicznego. Ale jak śmiała zaprzeczyć prawom odkrywcy meteoru? Czyliż wiedzianoby o istnieniu meteoru, a w razie jego upadku na ziemię, czy byłby on przewidziany, gdyby nie odkrywca, który zwrócił na niego uwagę?

— A tym odkrywcą ja jestem! — dowodził energicznie mr. Dean Forsyth.

— A tym odkrywcą to ja! — mówił doktor Sydney Hudelson z niemniejszym przeświadczeniem.

— Zaiste! — potakiwała znowu garstka przyjaciół.

Pomimo że to potwierdzenie nie małą było pociechą dla obu astronomów, nie mogło im ono zastąpić dawnych entuzjastycznych okrzyków tłumu. Wszelako ponieważ materjalnem niepodobieństwem było przekonywanie każdego przechodnia pokolei, więc zmuszeni byli, siłą rzeczy, zadowolić się skromną chwałą bardzo przerzedzonego szeregu wielbicieli.

Doznawane przykrości nietylko że nie ostudzały ich zapału, lecz przeciwnie. Im bardziej zaprzeczano im prawa do meteoru, z tem większą zaciekłością upominali się o nie; im mniej zwracano uwagi na ich roszczenia, tem usilniej dowodził każdy z nich, że jest jego jedynym i wyłącznym właścicielem.

Przy takim stanie umysłów wszelkie pogodzenie było nie do ziszczenia. To też nie myślano o niem. Co więcej, zdawało się, że każdy dzień głębiej żłobił rozłękę dwojga nieszczęśliwych narzeczonych.

Pp. Forsyth i Hudelson zapowiadali głośno, że walczyć będą do ostatniego tchu przeciw gwałtowi, którego padli ofiarą, i że wyczerpią wszelkie środki sądowe. Widowisko byłoby zachwycające! Z jednej strony mr. Forsyth, z drugiej doktor Hudelson, a przeciwko nim reszta świata. Co za wspaniały proces... o ile tylko znaleźć będzie można sąd dość kompetentny!

Tymczasem dwaj dawni przyjaciele, przekształceni w nienawistnych wrogów, nie opuszczali już wcale swych siedzib. Ponurzy i samotni, ze swych wież nie schodzili prawie. Tam mogli przyglądać się meteorowi, który zabrał im zdrowy rozsądek, i upewniać się kilka razy na dzień, że zakreśla wciąż swą drogę świetlną w głębinach przestworza. Nie opuszczali już prawie tych wyżyn, na których zabezpieczeni byli przynajmniej od swego najbliższego otoczenia, wrogo dla nich usposobionego i dorzucającego jedną gorycz więcej do goryczy, które — jak sądzili — były ich udziałem.

Francis Gordon, związany z domem przy Elisabeth street wspomnieniami dziecińczych lat, nie opuścił go, ale nie odzywał się wcale do wuja. Przy śniadaniu, przy obiedzie nie mówiono do sie-

bie. Nawet Mitz nie otwierała ust, a bez jej kwiecistej wymowy dom stał się milczący i smutny jak klasztor.

U doktora Hudelson'a stosunki rodzinne nie były wcale przyjemniejsze. Loo dąsała się nielitościwie pomimo błagalnych spojrzeń ojca; Jenny zalewała się łzami pomimo prośb matki. Mrs. Hudelson zaś wzdychała tylko, pokładając całą nadzieję w czasie, który jeden mógł zmienić położenie o tyle śmieszne o ile tragiczne.

Mrs. Hudelson miała słuszość, ponieważ, jak mówią, czas łagodzi wszystko. Przyznać jednak należy, że tym razem nie było mu śpieszno podążyć z pomocą obu nieszczęśliwym rodzinom. Mimo że mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nie byli nieczuli na niechęć swego otoczenia, nie odczuwali jej tak bardzo jak w innych okolicznościach. Ach! ten meteor!... Jemu złożyli w ofierze całą swą miłość, wszystkie swe myśli i pragnienia!

Z jaką gorączką czytali codziennie odezwy p. I. B. K. Lowenthal'a i sprawozdania z konferencji międzynarodowej! Tam byli ich wspólni wrogowie, przeciwko którym jednocyli się wreszcie we wspólnej jednakowej nienawiści.

To też z żywym zadowoleniem dowiedzieli się o trudnościach, które napotykały zebrania przygotowawcze, a jeszcze z żywszem — o wolnem tempie, o krętych drogach, po których dążyła konferencja międzynarodowa do porozumienia zawsze jeszcze problematycznego i niepewnego.

Używając mowy potocznej, można powiedzieć, że w Waszyngtonie paliło się.

Na drugim posiedzeniu widać już było, że konferencja międzynarodowa nie bez trudu załatwi swe sprawy. Pomimo usilnej pracy podkomisji, porozumienie od początku wydało się trudne do osiągnięcia.

Naprzód przedstawiono wniosek o przyznanie własności meteoru krajowi, w którym spadnie. Było to sprowadzenie sprawy na drogę loterii, w której wygrywałby tylko jeden los i to jaki los!

Wniosek ten, przedstawiony przez Rosję a poparty przez Anglię i Chiny, państwa o wielkich obszarach, wywołał to, co w stylu parlamentarnym nazywa się „fermentacjami politycznymi”. Inne państwa nie orzekły nic stanowczego. Należało zawiesić posiedzenie. Odbywały się narady, intrygi kuluarowe... Ostatecznie, ażeby odłożyć przynajmniej to kłopotliwe głosowanie, Szwajcaria złożyła wniosek o odroczenie tej propozycji, i ten uzyskał większość.

Rozwiązanie to zatem miało być wzięte pod uwagę dopiero wtedy, gdyby nie doszło do porozumienia w sprawie sprawiedliwego podziału.

Ale jaką drogą osiągnąć sprawiedliwość? Zagadnienie niezmiernie delikatne, którego konferencja międzynarodowa nie rozstrzygnęła, pomimo że posiedzenia odbywały się jedno po drugim, niektóre zaś z nich były tak burzliwe, iż p. Harvey zmuszony był je zawieszać.

Jeżeli to wystarczało dotychczas do uspokojenia burzliwego zgromadzenia, to trudno było orzec, czy przyszłość nie zgotuje jakiej niespodzianki. Sądząc po podnieceniu ogólnem, można było się tego spodziewać. W istocie podniecenie stawało się coraz gwałtowniejsze, coraz mniej liczono się ze słowami, tak że można było przewidywać interwencję siły zbrojnej, co ubliżyłoby wielce powadze państw suwerennych, mających swych przedstawicieli na konferencji.

Wszelako podobna ewentualność była w porządku rzeczy, gdyż nadchodzące wiadomości nie przyczyniały się bynajmniej do uspokojenia wzburzonych umysłów. Przeciwnie, wszystko szło ku gorszemu, gdyż według codziennych odezw p. I. B. K. Lowenthal'a upadek meteoru z dnia na dzień stawał się prawdopodobniejszym.

Po kilkunastu takich komunikatach, donoszących o odurzającej sarabandzie meteoru i rozpaczyc jego badacza, zdawało się, że nastąpił zwrot pomyslniejszy. Nagle bowiem, z 11 na 12 czerwca, astronom odzyskał spokój ducha stwierdzając, iż meteor, zaprzestawszy swych fantastycznych ruchów, znów podległ wpływom siły prawidłowej i stałej, która, pomimo że jest nieznaną, nie stała w sprzeczności z danymi rozumu. Od tej chwili p. I. B. K. Lowenthal, odkładając na przyszłość badanie przyczyn, dla których meteor przez dziesięć dni dotknięty był jakby obłędem, powrócił do dawnej pogody, która jest naturalnym udziałem matematyka.

Zawiadomił najpierw świat o powrocie meteoru do normalnego stanu zjawisk, i odtąd dzienniki donosiły codziennie o powolnej zmianie ciała niebieskiego, którego orbita znów skłaniać się zaczęła ku północno-wschodowi i południo-zachodowi i którego odległość od ziemi zmniejszała się w stosunku postępowym, chociaż prawa tego stosunku pozostały tajemnicą dla p. I. B. K. Lowenthal'a. Prawdopodobieństwo przeto upadku było coraz oczywistsze. Jeżeli nie było jeszcze pewności, w każdym razie była ona już bliska.

Jakże potężny był to bodziec dla jak najrychlejszego zakończenia prac konferencji!

Uczony dyrektor obserwatorium w Bostonie w swoich odezwach od 5 do 14 lipca jeszcze śmielszy był w przewidywaniach. Codziennie zaznaczał, i to w słowach coraz przejrzystszych, że bardzo ważna zmiana, zupełnie nowego rodzaju, zaszła w biegu meteoru, i że według wszelkiego prawdopodobieństwa publiczność powiadomiona będzie niebawem o następstwach, które z tego wynikną.

Właśnie 14 lipca konferencja międzynarodowa znalazła się w położeniu bez wyjścia. Wszelkie kombinacje zawiodły, zabrakło przeto przedmiotu do sporu. Delegaci byli w kłopotcie. Z jakiego stanowiska rozpatrywać sprawę, omawianą wszechstronnie bez rezultatu?

Na pierwszych posiedzeniach zaraz upadł wniosek o podziale miliardów pomiędzy państwa

w stosunku do ich obszaru. A jednakże ten projekt liczył się z zasadą sprawiedliwości, tak poszukiwaną, gdyż państwa o rozleglejszym obszarze miały większe potrzeby, a z drugiej strony, godząc się na podział, rezygnowały ze swych szans, przemawiających za niemi, co też było uwzględnienia. Nie przeszkodziło to wszakże ostatecznemu odrzuceniu wniosku przez państwa o gęstem zaludnieniu.

Te zażądały, żeby podział dokonany był nie w stosunku do ilości kilometrów kwadratowych, lecz w stosunku do ilości mieszkańców. Projekt ten, poniekąd również sprawiedliwy, ponieważ był zgodny z wielką zasadą równości praw wszystkich ludzi, znalazł przeciwników w Rosji, Brazylii, Argentynie i innych krajach o małej gęstości zaludnienia. Przewodniczący p. Harvey, gorący zwolennik doktryny Monroe'go, trzymać musiał stronę dwu republik amerykańskich i jego głos zaważył przy głosowaniu. Wniosek odrzucono dziewiętnastoma głosami przeciw, przy dwudziestu wstrzymujących się od głosowania.

Wtedy to państwa, znajdujące się w kłopotach finansowych, a których lepiej nie wymieniać, poddały myśl, że najodpowiedniej będzie rozdzielić złoto, zesłane z niebios, w ten sposób, aby los wszystkich mieszkańców ziemi był mniej więcej zabezpieczony. Zarzucono jednak natychmiast temu wnioskowi o zabarwieniu socjalistycznym, że podawał rękę próżniactwu i wytworzyłby takie zawikła-

nia w podziale, iż jego wykonanie byłoby niemożliwe. Nie przeszkodziło to wcale innym mówcom do podania wniosku w następstwach jeszcze zawilszego, wniosku, który głosił, że w drodze kompromisu należało wziąć pod uwagę trzy czynniki: powierzchnię, ludność i stan bogactwa, zapewniając każdemu z nich mnożnik zgodny z zasadą sprawiedliwości.

Sprawiedliwość! słowo to nie schodziło z ust. Wątpić jednak należało, czy tkwiło w sercach, gdyż wszyscy, chcąc zyskać na czasie, odrzucali wnioski jedne po drugich.

Ostatnie głosowanie odbyło się 14 lipca, i wtedy delegaci spojrzeli na siebie z zakłopotaniem, czując, że stoją nad przepaścią.

Rosja i Chiny skorzystały z tego ogólnego wyczerpania, ażeby odgrzebać wniosek odroczony na wstępie, przedstawiając go w formie złagodzonej. Dwa te państwa zaproponowały, ażeby miljardy niebieskie były przydzielone temu z państw, na którego terytorjum spadną, pod warunkiem, że będą obowiązane wypłacić innym krajom wynagrodzenie w stosunku do tysiąca franków na obywatela.

Może być, że biorąc pod uwagę ogólne zmęczenie, kompromisowe to rozwiązanie byłoby uchwalone tego samego wieczora, gdyby znów nie protest republiki Andory. Jej przedstawiciel, p. Ramontcho, wystąpił z mową, któraby trwała nieskończenie, gdyby przewodniczący, stwierdziwszy bezwzględną pustkę dokoła stołu, nie był przerwał posiedze-

nia, odkładając na dzień następny dalszy ciąg dyskusji.

Jeżeli republice Andory, która głosowała za podziałem opartym jedynie na liczbie ludności, zdawało się, że trzyma się dobrej polityki, odraczając wniosek Rosji, to się grubo pomyliła. O ile na mocy tego wniosku mogła była liczyć na pewne dla siebie korzyści, o tyle obecnie narażona była na możliwość nie otrzymania ani centyma, następstwa, którego nie przewidział p. Ramontcho, straciwszy piękną sposobność do zachowania milczenia.

W istocie, 15 lipca zrana zdarzył się wypadek, mogący wniwecz obrócić prace konferencji międzynarodowej i zdyskredytować ją w oczach całego świata. Jeżeli bowiem wszelkie zastanawianie się nad rodzajem podziału było usprawiedliwione nieznajomością miejsca upadku meteoru, to z chwilą, gdy stało się ono wiadomem, wszelka dyskusja była jałowa. Czyż możliwe było po wylosowaniu wielkiego losu, od wygrywającego żądać podziału?

A w każdym razie było rzeczą pewną, że ten podział nie poszedłby łatwo. Kraj uprzywilejowany losem nie zgodziłby się nań dobrowolnie. Nigdy p. de Schnack, delegat Grenlandji, a szczęśliwy właściciel losu, nie byłby się zgodził na dalsze przedłużenie posiedzeń, a tem bardziej na branie udziału w dalszych pracach konferencji międzynarodowej. Jego to bowiem p. I. B. K. Lowenthal w swej codziennej



... p. Ramontcho wystąpił z mową, któraby trwała nie-
skończenie ... Str. 215.

(W pogoni za meteorem.)

Na bezrobocie 5 gr.
FOTOGRAWURA DRAKARNI I KSIĘGARNI
św. JÓZEFIECHA W POZNANIU
Zł. 0 gr.



odezwie czynił tego rana właścicielem błędzących miliardów.

„Od kilkunastu dni, pisał uczony dyrektor obserwatorium bostońskiego, mówiliśmy kilkakrotnie o ważnej zmianie, zaszłej w biegu meteoru. Dziś zajmiemy się nieco obszerniej tym przedmiotem, gdyż badania nasze doprowadziły nas do ustalenia cech tych zmian, obliczenia zaś wskazały ich następstwa.

„Zmiana polega jedynie na tem, że od 5 lipca wpływy uboczne przestały oddziaływać na ruchy meteoru. Od tego dnia nie zauważono najmniejszego odchylenia orbity, a meteor zbliża się ku ziemi o tyle, o ile pozwalają mu warunki jego ruchu. Dziś znajduje się w odległości od ziemi pięćdziesięciu kilometrów w przybliżeniu.

„Gdyby wpływy, działające na meteor, przestały były działać o kilka dni wcześniej, ciało to mogłoby na skutek siły odśrodkowej oddalić się od naszej planety na odległość zbliżoną do poprzedniej. Obecnie jest to niepodobieństwem. Szybkość meteoru, zmniejszona przez tarcie o warstwy gęstsze atmosfery, zdolna jest utrzymać go tylko na obecnej drodze. W tem położeniu utrzymałby się wieczyście, gdyby przyczyna, powodująca to zmniejszenie, to jest opór powietrza, była usunięta. Ale przyczyna ta jest stałą, zatem można twierdzić z całą pewnością, że meteor spadnie.

„Co więcej, ponieważ opór powietrza jest zjawiskiem doskonale zbadanem i znanem, od dzisiaj można zakreślić linię upadku meteoru. O ile tylko nie zajdą nieprzewidziane komplikacje, a wobec faktów poprzednich musimy się z nimi liczyć, podać możemy następujące wnioski:

„1^o Meteor spadnie.

„2^o Upadek nastąpi 19 sierpnia między godziną drugą a jedenastą przed południem.

„3^o Meteor spadnie w promieniu dziesięciu kilometrów miasta Upernivik w Grenlandji”.

Gdyby bankier Robert Lecoœur mógł był wiedzieć o tej odezwie p. I. B. K. Lowenthal'a, byłby niemało zadowolony. Istotnie wślad za tą odezwą nastąpiła katastrofa na wszystkich rynkach, a akcje kopalni złota starego i nowego lądu spadły o cztery piątych swej własności.

ROZDZIAŁ SZESNASTY,

w którym widzimy, jak liczne rzesze ciekawych korzystają ze sposobności, ażeby podążyć do Grenlandji dla podziwiania upadku niezwykłego meteoru.

27 lipca, zrana wielki tłum zebrał się w Charleston, porcie Południowej Karoliny, ażeby pożegnać odjeżdżający parowiec *Mozik*. Napływ ciekawych, żądnych udania się do Grenlandji, był tak wielki, że od kilku dni nie było już ani jednej wolnej kajuty na tym parowcu pojemności tysiąca pięciuset tonn, pomimo że nie on jeden był wynajęty w tym celu. Mnóstwo innych statków różnej narodowości szło przez Atlantyk do cieśniny Davis i aż do morza Bafińskiego poza północne koło biegunowe.

Napływowi temu dziwić się nie można wobec podniecenia umysłów, wywołanego ostatnią rozgłosną odezwą p. I. B. K. Lowenthal'a.

Uczony ten astronom nie mógł się mylić. Po tak ostrem obejściu się z pp. Forsyth'em i Hudelson'em, nie byłby się narażał na podobne wymówki. W okolicznościach tak wyjątkowych postąpić lekkomyślnie byłoby rzeczą nie do darowania, wiedział o tem dobrze, jak również o tem, że ściągnąłby na siebie oburzenie świata całego.

Były przeto wszelkie dane, ażeby uważać jego wnioski za pewne. Wszak meteor miał spaść nie w żadnej niedostępnej krainie polarnej, ani w głębiny oceanu, gdzieby go żaden wysiłek ludzki nie dosięgnął, lecz na dostępnym lądzie Grenlandji.

Tę rozległą krainę, dawniej w posiadaniu Danji, uniezależnioną łaskawie przez to państwo na kilka lat przed zjawieniem się meteoru, miał los uprzywilejować, wybierając ją z pośród wszystkich państw całego świata.

Co prawda, kraina ta przedstawiała tak wielki obszar, że nie można orzec, czy to jest ląd stały, czy wyspa. Kula złota mogła była spaść w miejscu bardzo oddalonym od wybrzeża, o jakie setki mil od morza, tak że byłoby trudno ją dosięgnąć. Nie ulega wątpliwości, że przewyciężonoby wszelkie trudności, chłody polarne i zawieje śnieżne, a w razie potrzeby podążonoby do samego bieguna w pogoni za tysiącami miliardów.

Ale na szczęście wszystkie te zabiegi były zbyteczne, gdyż miejsce upadku było ściśle wyznaczone. Grenlandja zadowalała wszystkich i nikt nie był żadny nieco za mroźnej sławy Parry'ego, Nansen'a lub innych żeglarzy okolic podbiegunowych.

Gdyby czytelnik mógł być znajdować się na parowcu *Mozika* wśród setek innych pasażerów, pomiędzy którymi było kilka kobiet, zauważyłby przedewszystkiem pięciu podróżnych niezupełnie dla

niego obcych. Ich obecność, a co najmniej czworga z nich, nie byłaby go wcale zadziwiła.

Jednym z nich był mr. Dean Forsyth w towarzystwie Omikron'a, który opuścił wieżę z Elisabeth street; drugim był mr. Sydney Hudelson, który się rozstał z wieżycą z Moriss street.

Jak tylko roztropne towarzystwa żeglugi zorganizowały wycieczkę do Grenlandji, obaj współzawodnicy nie zawahali się kupić biletu tam i zpowrotem. Ręczymy, że w razie potrzeby wynajęliby każdy dla siebie statek, mogący im ułatwić dostęp do Uperniviku. Zapewne nie mieli oni wcale zamiaru zawładnąć kulą złotą, przywłaszczyć ją sobie i przywieźć do Whastonu. Ale uważali za potrzebne być świadkami upadku meteoru.

Kto wie zresztą, czy rząd grenlandzki, prawowity posiadacz meteoru, nie zechce udzielić im części tych niebieskich miliardów.

Domyślić się łatwo, że mr. Forsyth i doktor Hudelson nie starali się o bliskie sąsiedztwo swych kajut. Podczas tej podróży tak jak w Whastonie nie podtrzymywali między sobą żadnych stosunków.

Mrs. Hudelson nie przeciwstawiała się wcale wyjazdowi męża, jak również stara Mitz nie odradzała swemu panu przedsięwzięcia tej podróży. Wszelako doktor, nie mogąc oprzeć się gorącym prośbom starszej córki, tem bardziej, że czuł się winnym wobec niej za swój upór, zabrał ją z sobą, Jenny zatem towarzyszyła ojcu.

Bodźcem do tej podróży była myśl, że może Francis Gordon towarzyszyć będzie wujowi. Młodzi ludzie od czasu zajść gwałtownych, które poróżniły ostatecznie obydwie rodziny, nie widywali się wcale. Wspólny pobyt na statku zbliżyłby ich samą siłą rzeczy, nie mówiąc już o niejednej sposobności, która pozwoliłaby im na wymianę myśli i uczuć.

Przyszłość pokazała, że Jenny miała słuszość. Francis Gordon istotnie postanowił towarzyszyć wujowi, ponieważ nie chciał w czasie nieobecności doktora sprzeciwiać się jego woli, udając się do domu na Moriss street. Przytem mógł się przydać na coś w razie nowego starcia przeciwników, a również nie chciał zaniechać sposobności, która mogłaby wpłynąć na zmianę tego opłakanego położenia. Liczył bowiem na jakiś szczęśliwy wypadek, mogący sam przez się rozwiązać węzeł gordyjski. Wszak meteor spadły na ziemię mógł stać się własnością narodu grenlandzkiego, albo też zniknąć w otchłaniach oceanu. P. I. B. K. Loewenthal był pomimo wszystko tylko człowiekiem, a więc mógł się mylić! Czyż Grenlandja nie jest otoczona dwoma morzami? Pierwsza lepsza zmiana atmosferyczna mogła wpłynąć na zmianę kierunku meteoru, a tem samem nie ziścić oczekiwanych rezultatów.

Na statku wszakże była osoba, którą to rozwiązanie nie zadowoliłoby zgoła. Tą osobą był p. Ewald de Schnack, delegat Grenlandji przy komisji międzynarodowej, znajdujący się również

na parowcu Mzik. Jego kraj stać się miał najbogatszym państwem na świecie. Ażeby schować tyle tryljonów, nie wystarczyłyby największe i najliczniejsze kasy rządowe. Szczęśliwy naród, w którym nie byłoby podatków i ubóstwa! Biorąc pod uwagę roztropność rasy skandynawskiej wątpić nie można, że ta ogromna masa złota będzie użyta z wielką przezornością. Należało zatem mieć nadzieję, że rynek pieniężny nie dozna zbyt wielkiego wstrząśnienia na skutek tego deszczu, który Jupiter zesłał na piękną Danae, o ile można wierzyć mitologicznym opowiadaniom.

P. de Schnack stał się główną osobą statku. Postacie mr. Forsyth'a i doktora Hudelson'a bladły wobec przedstawiciela Grenlandji, a zarazem łączyły się we wspólnem uczuciu nienawiści dla tego przedstawiciela państwa, które nie uznawało wcale ich udziału bodaj tylko honorowego w ich nieśmiertelnem odkryciu.

Droga z Charlestonu do stolicy Grenlandji wynosi w przybliżeniu trzy tysiące trzysta mil, to jest przeszło sześć tysięcy kilometrów. Miała ona trwać około dwu tygodni, włączywszy w to postój w Bostonie, gdzie Mzik miał się zaopatrzyć w węgiel. Co zaś do żywności, to Mzik jak i inne parowce dążące do tego samego celu, zaopatrzył się w nią na kilka miesięcy, gdyż napływ podróżników nie pozwoliłby na dostarczenie im żywności na miejscu.

Statek skierował się najpierw ku północy, w stronę wschodnią Stanów Zjednoczonych. Ale nazajutrz, ominąwszy przylądek Hateras, najbardziej wysunięty punkt północnej Karoliny, wypłynął na szerokie morze.

W tych częściach oceanu Atlantyckiego, w lipcu pogoda zwykle sprzyja, parowiec więc pod osłoną bliskich brzegów i przy powiewie zachodniego wiatru płynął po spokojnem morzu. Czasem tylko, gdy wiatr zmienił kierunek, silne kołysanie sprowadzało dobrze znane wypadki.

Jeżeli p. de Schnack miał odporność trzykrotnego trylionera, nie można było powiedzieć tego o mr. Dean Forsyth'cie i doktorze Hudelson'ie.

Był to ich pierwszy występ morski, nie więc dziwnego, że musieli go sowiec opłacić Neptunowi. Ale pomimo to nie żalowali wcale swego przedsięwzięcia.

Nie potrzebujemy dodawać, że ich choroba była bardzo na rękę dwojgu narzeczonym. Choroba morska ominęła ich szczęśliwie. To też nie tracili czasu, podczas gdy ich ojciec i wuj poddawali się z jękiem wstrętnym razem zdradliwej Amfitryty. Rozłączali się tylko dla niesienia pomocy chorym. Wszakże czynili to według zgóry ułożonego planu, podzieliwszy obowiązki w ten sposób, że Jenny pocieszała mr. Dean Forsyth'a, gdy Francis Gordon dodawał odwagi ślaniającemu się doktorowi.

Kiedy kołysanie było mniejsze, młodzi ludzie wyprowadzali obu astronomów na świeże powietrze

pokładu, sadzali ich na trzciniowych fotelach, niebardzo oddalonych od siebie, zmniejszając za każdym razem tę odległość.

— Jak się pan czuje? — pytała Jenny, okrywając nogi mr. Forsyth'a.

— Cierpię bardzo! — wzdychał chory, nie zwracając uwagi, kto do niego mówi.

A ze swej strony Francis Gordon, poprawiając poduszki doktora Hudelson'a, pytał go głosem uprzejmym i jak gdyby nie był nigdy wyproszony z domu przy Moriss street:

— Jak się pan czuje, doktorze?

Dwaj współzawodnicy siedzieli w ten sposób kilka godzin, nie zdając sobie prawie wcale sprawy ze swego bliskiego sąsiedztwa. Ażeby ich pobudzić nieco do życia, potrzeba było obecności p. de Schnack'a, który przechodził mimo nich krokiem pewnym jak marynarz, drwiący sobie z kołysania statku, z głową podniesioną jak człowiek, którego marzenia zamieniły się w złoto. Słaby błysk zjawiał się wtedy w oczach mr. Forsyth'a i mr. Hudelson'a, którzy znajdowali dość siły, aby wykrztusić tchnące nienawiścią obelgi.

— Ten rabuś meteorów! — mruczał mr. Forsyth.

— Ten złodziej meteorów! — mruczał mr. Hudelson.

P. de Schnack nie zwracał na to uwagi; nie chciał nawet wiedzieć o ich obecności na statku. Chodził po nim z miną człowieka, który znajdzie w swym kraju więcej pieniędzy, niż było ich po-

trzeba dla stokrotnego pokrycia wszystkich długów państwowych całego świata.

Ale naogół podróż była pomyślna. Należało przypuszczać, że i inne statki, dążące do cieśniny Davis, odbywają w ten sam sposób i w tym samym czasie drogę na Atlantyku.

Mozik przepłynął przed Nowym Yorkiem, nie zatrzymując się, a skierowawszy się na północ-wschód, dążył ku Bostonowi. 30 lipca zrana zatrzymał się przed stolicą stanu Massachusetts. Dzień cały poświęcić musiał dla zaopatrzenia się w węgiel, bo w Grenlandji napróżnoby szukał tego paliwa.

Pomimo że droga była pomyślna, większa część pasażerów nie uniknęła choroby morskiej. Pięciu czy sześciu z nich byli nią tak zmęczeni, że wylądowali w Bostonie. Oczywiście nie byli to ani mr. Forsyth ani mr. Hudelson. Gdyby mieli nawet wydać ostatnie tchnienie pod wpływem tego kołysania, byłiby szczęśliwi, że to się stało wobec meteoru, przedmiotu ich namiętnych pragnień.

Wylądowanie kilku pasażerów opróżniło kilka kajuł parowca. Niedługo czekały na amatorów.

Pomiędzy nimi wyróżniał się dżentelmen pięknej postawy, który przybył jeden z pierwszych, ażeby zakupić miejsce na statku. Dżentelmenem tym był nie kto inny, jeno mr. Seth Stanford, mąż żonek mrs. Arkadji Walker.

Po otrzymanym rozwodzie mr. Seth Stanford wrócił do Bostonu. Zapamiętały turysta, widząc się zmuszonym po odezwie p. I. B. K. Lowenthal'a

do wyrzeczenia się podróży do Japonji, podążył do Kanady w celu zwiedzenia jej głównych miast Quebec'u, Torontu, Montrealu, Ottawy. Czy chciał w ten sposób zapomnieć o swej dawnej żonie? Wydawało się to rzeczą mało prawdopodobną. Dwaj małżonkowie podobali się sobie z początku, poczem przestali się sobie podobać. Rozwód, równie niezwykły jak ślub, rozłączył ich wzajemnie. Rozeszli się i nic więcej. Nie zobaczą się może nigdy, jeżeli zaś spotkają, to być może, że nie poznają się wcale.

W Toronto, obecnej stolicy Kanady, dowiedział się o sensacyjnej odezwie p. I. B. K. Lowenthal'a. Gdyby upadek nastąpić miał kilka tysięcy mil, w krajach najbardziej oddalonych Azji czy Afryki, nie omieszkałby przezwyciężyć wszystkich trudności, aby tam podążyć. A to nie dlatego, żeby go miało zbyttno zajmować to zjawisko niebieskie, ale patrząc na widowisko, rozgrywające się przed niewielką stosunkowo liczbą widzów, zobaczyć to, czego miliony ludzi zobaczyć nie mogą, była to za silna pokusa, aby jej nie uległ awanturniczy džentelmen, amator wszelkich wycieczek, a którego majątek pozwalał na podobne zachcianki.

Tymczasem nie o antypody chodziło. Scena, gdzie rozegrać się miało to czarodziejskie widowisko, mieściła się u wejścia Kanady.

Mr. Seth Stanfort wyruszył zatem pierwszym pociągiem do Quebec'u, stąd zaś podążył do Bostonu przez równiny Kanady i Nowej Anglii.

W dwie doby po wstąpieniu na pokład tego dżentelmena M o z i k, nie oddalając się bardzo od brzegów ziemi, ruszył do Portsmouthu, następnie do Portlandu, zawsze jednak trzymając się w bliskości semaforów¹⁾ w nadziei, że będą mogli przesłać jakie wiadomości o meteorze, który można było teraz widzieć gołym okiem, o ile pogoda sprzyjała.

Ale semafony milczały, a nawet semafor Halifaxu nie odezwał się wcale, gdy mijano ten duży port Nowej Szkocji.

Iluz to podróżników żałowało, że zatoka Fundy, między Nową Szkocją a Nowym Brunswikiem nie ma wyjścia na wschód ani na północ! Nie potrzebowaliby znosić tego nieznośnego kołysania, które ich trapiło aż do przylądka Breton. Liczba chorych była znaczna, a wśród nich pierwszeństwo trzymali mr. Forsyth i mr. Hudelson, pomimo starń Jenny i Francis Gordon'a.

Kapitan parowca zlitował się nad tą rzeszą cierpiącą. Skierował statek do zatoki Św. Wawrzyńca, ażeby stąd wypłynąć na szerokie morze przez cieśninę Belle-Ile pod osłoną wybrzeża Newfoundlandu. Następnie zawrócił ku wybrzeżu Grenlandji, przepłynąwszy całą szerokość cieśniny Davis. Odtąd podróż odbyła się spokojnie.

7 sierpnia ukazał się przylądek Confort. Łąd Grenlandji kończy się na wschodzie przylądkiem

¹⁾ semafony »przesyłacze znaków« rodzaj telegrafów, służących do porozumiewania się okrętów między sobą oraz z lądem.

Farewell, o który rozbijają się fale północne oceanu Atlantyckiego, a z jakim to czynią zapamiętaniem, o tem powiedzieć mogą rybacy z Newfoundlandu i Islandji!

Na szczęście nie trzeba było płynąć wzdłuż wschodniego wybrzeża Grenlandji. Wybrzeże to jest niedostępne. Niema na niem żadnego portu dla okrętów, a bałwany morskie nie szczędzą go wcale. Przeciwnie, w cieśninie Davis portów nie brak. Czy to w głębi fiordów, czy za wyspami znaleźć można bezpiecznie schronienie, i o ile prąd wiatru południowego nie jest bezpośredni, podróż odbywa się w warunkach pomyślnych; tak właśnie było tym razem.

Część wybrzeża Grenlandji od przylądka Farewell do wyspy Disko składa się ze skał urwistych olbrzymiej wysokości, które wstrzymują pęd wiatru. Nawet w porze zimowej wybrzeże to jest mniej zavalone lodem, który tu sprowadzają prądy z oceanu Podbiegunowego.

W tych to warunkach M o z i k przepłynął zatokę Gilbert. Zatrzymał się kilka godzin w Godthaab, gdzie kucharz parowca zaopatrzył się w większą ilość ryb, stanowiących główne pożywienie ludności Grenlandji. Następnie przepłynął mimo portów Holsteinborg i Christianshaab. Miasteczka te, z których drugie znajduje się w głębi zatoki Disko, są tak otoczone ścianami skalistemi, że nie można się nawet domyślić ich istnienia. Stanowią one bezpieczne schronisko dla rybaków, którzy

krążąc po cieśninie Davis i polując na wieloryby, narwale, morsy i foki, dochodzą niekiedy do ostatnich krańców morza Bafińskiego.

Wyspa Disko, do której dopłynął parowiec 9 sierpnia wczesnego rana, jest najważniejszą z szeregu, okalającego wybrzeże Grenlandji. Stolicą tej wyspy o skałach bazaltowych jest Godhavn, położone na wybrzeżu południowem. Miasto to posiada zamiast kamiennych, drewniane domy, zbudowane z belek zaledwie ociosanych, pokrytych grubą warstwą dziegciu, chroniącego od działania powietrza. Francis Gordon i Seth Stanfort, należący do rzędu pasażerów, nie będących pod wpływem meteoru, zajęli się żywo tą miejsciną czarniawą, ożywioną gdzie niegdzie barwą czerwoną dachów i okien. Mimowoli zadawali sobie pytanie, jakim mogło być w niem życie podczas przeciągłych zim tego klimatu? Byliby niezmiernie zdziwieni, gdyby ich był kto upewnił, że nie różni się od życia rodzinnego Sztokholmu lub Kopenhagi. Niektóre domy, pomimo szczupłego umeblowania, nie są pozbawione wygody. Posiadają salon, pokój jadalny, a nawet bibliotekę, gdyż „wyższe towarzystwo”, jeżeli się tak wolno wyrazić, pochodzenia duńskiego, zajmuje się literaturą. Przedstawicielem władzy jest delegat rządu, którego siedzibą jest Upernivik.

W porcie tego miasta zatrzymał się Mozik 10 sierpnia około szóstej wieczorem, minąwszy wyspę Disko.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY,

w którym cudowny meteor i pasażer „Mozika” spotykają się, ten z pasażerem „Oregonu”, pierwszy zaś — z kulą ziemską.

Grenlandja znaczy „Ziemia zielona”; udatniejszą byłaby nazwa „Ziemi białej”, kraj ten bowiem stale pokryty jest śniegiem. Nazwę zaś swoją zawdzięcza wdzięcznej ironji swego ojca chrzestnego, niejakiego Eryka czerwonego, marynarza z X wieku, który zapewne o tyle był czerwonym, o ile Grenlandja jest zielona. Zresztą może być, że ten Skandynawczyk chciał tym sposobem zachęcić swych ziomków do zaludnienia tej zielonej krainy podbiegunowej. Nie udało mu się to wcale. Koloniści nie dali się skusić tej zachęcającej nazwie, i obecnie, włączając w to tubylców, liczba ludności Grenlandji nie przewyższa dziesięciu tysięcy osób.

Jeżeli kiedykolwiek istniał kraj mniej odpowiedni do przyjęcia meteoru wartego pięć tysięcy siedmset osmdziesiąt ośm miliardów, to niezawodnie była nim Grenlandja. Zapewne niejednemu z pasażerów, których ciekawość sprowadziła do Uperniviku, nasunęła się ta uwaga. Czy nie byłoby równie łatwem dla tego meteoru spaść o kilka setek mil dalej na południe, na rozległe równiny Kanady,

albo Stanów Zjednoczonych, gdzie można go było daleko wygodniej odnaleźć? Trzebaż było, żeby jedna z najmniej uczęszczanych i najmniej gościnnych krain stała się widownią tego pamiętnego zdarzenia?

Co prawda stało się to nie po raz pierwszy. Grenlandja widziała już spadające meteory. Czyż Nordenskiöld nie znalazł na wyspie Disko trzech bloków żelaza, ważących po dwadzieścia cztery tonny? Były to prawdopodobnie meteoryty, znajdujące się obecnie w muzeum sztokholmskim.

O ile się p. I. B. K. Lowenthal nie omylił, to meteor bardzo szczęśliwie miał spaść w okolicy dość przystępnej, w której temperatura w miesiącu sierpniu wznosi się ponad zero. W tej porze roku ziemia owa może miejscami usprawiedliwić ironiczną nazwę jej nadaną. W ogrodach widać trochę jarzyn i traw, a bardziej na północy mchy i paprocie. Na wybrzeżu, po zniknięciu lodu, ukazują się pastwiska, ułatwiające hodowlę bydła. Zapewne nie naliczonoby setek wołów i krów, ale zato są kozy i kury dziwnie wytrzymałe, nie mówiąc już o reniferach i niezliczonej ilości psów.

Po dwóch czy trzech miesiącach lata, zima powraca ze swemi nieskończonemi nocami, ostrzemi prądami atmosferycznymi, pochodzącemi ze stref biegunowych i swemi huraganami. Nad skorupą pokrywającą ziemię unosi się coś w rodzaju szarego pyłu, nazwanego koryokonitem, pyłem meteorowym, pełnym mikroskopijnych roślin, zauważonych po raz pierwszy przez Nordenskiölda.

Lecz stąd, że meteor miał spaść w obrębie Grenlandji, nie wynika jeszcze, że Grenlandja miała wejść w jego posiadanie.

Upernivik nietylko znajduje się na brzegu morza, lecz morze otacza go ze wszystkich stron. Jest to wyspa należąca do archipelagu wysepek rozrzuconych wzdłuż wybrzeża, i przyznać trzeba, że wyspa obwodu dziesięciu mil przedstawiała cel bardzo ograniczony dla punktu nadpowietrznego. O ile nie zdoła trafić weń z dokładnością matematyczną, usunie się w głąb morza Bafińskiego. Otóż głębokość morza w tych okolicach podbiegunowych dosięga niekiedy dwu tysięcy metrów. Jakże tu wydostać z takiej otchłani masę, ważącą około dziewięćuset tysięcy tonn?

Podobna możliwość nie przestawała trapić pana de Schnack'a, który nieraz zwierzał się z swej troski Seth Stranfort'owi, nowemu znajomemu z podróży. Ale na to nie można było nic poradzić, musiał przeto poprzestać na obliczeniach uczonego p. I. B. K. Lowenthal'a.

Nieszczęście, którego obawiał się p. de Schnack, uważane było przez Francis Gordon'a i Jenny Hurdson przeciwnie za najszcześniejsze z rozwiązań ich obecnego położenia. Gdyby meteor zginął, ci, od których zależało ich szczęście, przestaliby rościć do niego prawo, nawet prawo do nazwiska. Byłby to duży krok naprzód na drodze tego pożądanego pojednania.

Przypuszczamy, że większość pasażerów *Mozika* i innych okrętów, stojących obecnie w porcie *Uperviku*, nie podzielała zdania młodej pary. Wszak przybyli tu wyłącznie dla zobaczenia niezwykłego zjawiska.

Tak czy inaczej, nie noc stanęłaby na przeszkodzie ich gorącym pragnieniom, ponieważ w przeciągu ośmdziesięciu dni, z których jedna połowa przed a druga po letniem porównaniu dnia z nocą, słońce nie wschodzi ani zachodzi na tej szerokości geograficznej. Są więc wszystkie dane po temu, aby można było dobrze przyjrzeć się meteorowi, jeżeli stosownie do twierdzenia p. I. B. K. Lowenthal'a los sprowadzi go w okolice miasteczka.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe tłum złożony z najróżnorodniejszych elementów rozproszył się dookoła kilku drewnianych domków *Uperviku*, z których główny ozdobiony był flagą białą z krzyżem czerwonym Grenlandji. Nigdy Grenlandki i Grenlandczycy nie widzieli takiego napływu gości na wybrzeżach tej wyspy.

A Grenlandczycy to typy ciekawe, szczególnie na zachodnim wybrzeżu. Niscy lub średniego wzrostu, krępi, silni, o krótkich nogach, rękach i wiązaniach zgrabnych, cery białej, o twarzy szerokiej i spłaszczonej, prawie bez nosa, o oczach brunatnych i lekko skośnych, o włosach czarnych i twardych, spadających im na czoło, podobni są nieco do fok, które przypominają łagodnym wyra-

zem twarzy, jak również grubą warstwą tłuszczu zabezpieczającego ich od zimna. Kobiety i mężczyźni ubierają się jednakowo: buty, spodnie „a maout” albo kaptur; wszelako kobiety, wdzięczne i wesołe w młodości, upinają swe włosy wysoko, stroją się w modne materje i wstążki różnokolorowe. Tatuowanie, dawniej bardzo w użyciu, pod wpływem misjonarzy zaniechane zostało zupełnie, ale zato plemiona te zachowały namiętne upodobanie do śpiewu i tańca, które są ich jedyną rozrywką. Za napój służy im woda, żywią się zaś mięsem fok i psów jadalnych, rybą i jagodami wodnych porostów. Słowem, smutnem jest życie Grenlandczyków.

Przybycie tak wielkiej liczby cudzoziemców do Uperniviku było wielką niespodzianką dla mieszkańców tej wyspy, tem wszelako większą, gdy się dowiedzieli o przyczynie tego napływu. Biedni ci ludzie bowiem znali już niestety wartość złota, jak również i to, że miljardy, które spadną na ziemię, nie pójdą do ich kieszeni, pomimo że w swej odzieży, w przeciwieństwie do Polinezyjczyków, mają ich niezliczoną ilość; wiedzieli oni dobrze, że miljardy te zapełnią kasy rządowe, z których jak zwykle, nie wyjdą nigdy. Nie przeszkadzało to im jednak zająć się tą „sprawą”. Kto wie nawet, czy przez to nie zwiększy się dobrobyt obywateli Grenlandji?

Bądź co bądź wielki już czas, ażeby wogóle nastąpiło jej rozwiązanie.

Gdyby więcej parowców zechciało zawitać do portu w Upernivik, to nie miałyby gdzie się pomieścić. A była to połowa sierpnia, więc okręty nie mogły czekać zbyt długo pod tak wysoką szerokością, zważywszy że we wrześniu zaczynała się zima. Z przyływem lodów północy morze Bafińskie przestaje być dostępne dla żeglugi. Należałoby więc opuścić te okolice i przylądek Farrewu, w przeciwnym bowiem razie możnaby się było narazić na uwięzienie w lodach przez siedm lub ośm miesięcy ostrej zimy na oceanie Lodowatym.

Podczas długich godzin oczekiwania turyści odbywali przechadzki w głąb wyspy. Jej ziemia skalista, prawie płaska, z lekkimi wzniesieniami w środkowej części, nadaje się bardzo do chodzenia. Gdzie niegdzie widnieją równiny, pokryte mchem i trawą bardziej żółtą niż zieloną, na których rosną krzaki rodzaj brzoź karłowatych, ukazujących się jeszcze ponad siedmdziesiątym drugim równoleżnikiem.

Niebo po większej części było mgliste, a nieraz pokrywało się miękkimi chmurami, spędzonymi wschodnim wiatrem. Temperatura nie przewyższała dziesięciu stopni ponad zerem. To też pasażerowie byli bardzo zadowoleni z wygód, które mieli na statku, a których dostarczyćby im nie mogło miasteczko, i z pożywienia, którego nie znaleźliby ani w Godhavn, ani w żadnej innej miejscowości wybrzeża.

Pięć dni już upłynęło od przybycia *Mozika*, kiedy 16 sierpnia zrana przybił do lądu ostatni okręt. Był to parowiec, na którym powiewała flaga o pięćdziesięciu dwu gwiazdach Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Nie ulegało wątpliwości, że parowiec ten wiozł spóźnioną rzeszę żądną oglądania wielkiego zjawiska meteorologicznego, która zresztą wcale się nie spóźniła, skoro złota kula znajdowała się jeszcze w przestworzu.

Okolo godziny jedenastej parowiec *Oregon* zarzucił kotwicę pomiędzy statkami. Niebawem odpłynęła od niego łódź, wioząc z sobą jednego z podróżnych, któremu śpieszniej widać było dostać się na ląd, niż innym.

Włot rozeszła się wieść, że podróżnym był jeden z astronomów obserwatorium w Bostonie, niejaki p. Wharf, który udał się do naczelnika rządu. Urzędnik dał znać o jego przybyciu p. de Schnack, a ten pośpieszył zaraz do domku, na którego dachu powiewała chorągiew narodowa.

Zaniepokojono się wielce. Może meteor, przypadkiem, zechce opuścić towarzystwo bez pożegnania i „wymknąć się po angielsku” do innych okolic niebieskich, jak sobie tego życzył Francis Gordon.

Wkrótce uspokojono się pod tym względem. Obliczenie p. I. B. K. Lowenthal'a było dokładne, p. Wharf zaś odbył tę długą podróż jedynie dlatego, ażeby być obecnym przy upadku meteoru, w charakterze przedstawiciela swego uczonego szefa.

Było to 16 sierpnia. Należało jeszcze czekać trzy doby na zjawienie się meteoru na ziemi grenlandzkiej.

— O ile nie pójdzie na dno! — mruczał Francis Gordon, jeden jedyny zresztą, który powziął taką myśl i żywił takie życzenie.

Tak czy inaczej, pozostawało jeszcze trzy dni do rozwiązania sprawy. Trzy dni to nic, albo bardzo wiele, przedewszystkiem w Grenlandji, gdzie odważnym byłby ten, ktoby twierdził, że ta ziemia obfituje w przyjemności. Nudzono się przeto, i zaraźliwe ziewanie rozrywało beczynnych turystów.

Jeden z tych, którym czas dłużył się najmniej, był niezawodnie mr. Seth Stanford. *Globe trotter* skończony, śpieszący chętnie tam, gdzie dzieje się coś niecoś wyjątkowego, przyzwyczajony był do samotności i umiał, jak to mówią, „dotrzymać towarzystwa samemu sobie“.

A jednakże dla jego to wyłącznej korzyści, — często dzieją się podobne niesprawiedliwości — miała być przerwana ta nużąca monotonnaść dni ostatnich.

Mr. Seth Stanford przechadzał się po wybrzeżu, aby się przyjrzeć wylądowaniu podróżnych *Oregonu*, kiedy widok wysiadającej kobiety z łodzi zatrzymał go nagle na miejscu.

Seth Stanford, nie wierząc swoim oczom, zbliżył się do niej i tonem, wyrażającym miłe zdziwienie, spytał:

— Mrs. Arkadja Walker, jeżeli się nie mylę?

— Mr. Stanford?! — odpowiedziała podróżna.

— Nie spodziewałem się, mrs. Arkadjo, spotkać panią na tej dalekiej wyspie.

— Ja również pana, mr. Stanford.

— Jak się pani miewa?

— Jak najlepiej. A pan?

— Bardzo dobrze! doskonale.

Bez dalszego wstępu zaczęli rozmawiać między sobą jak dwoje starych znajomych, którzy się spotkali najdziwniejszym trafem.

Mrs. Arkadja Walker spytała przedewszystkiem, wskazując na niebo:

— Czy nie spadł jeszcze?

— Niech się pani uspokoi; jeszcze nie, ale niebawem to uczyni.

— A więc przybyłam na czas! — rzekła mrs. Arkadja Walker z najżywszem zadowoleniem.

— Ja również — odrzekł mr. Stanford.

Stanowczo były to dwie postaci bardzo wytworne, dwoje osób z towarzystwa, jeżeli już nie powiemy dwoje starych przyjaciół, których złączyło to samo uczucie ciekawości na wybrzeżu Uperniviku.

Zresztą cóż w tem dziwnego? Zapewne mrs. Arkadja Walker nie znalazła w Seth Stanford'cie swego ideału, ale być może, że ten ideał nie istnieje, skoro nie znalazła go dotychczas? Nigdy nie zaznała iskry, którą nazywają w powieściach „uderzeniem gromu”, a w braku tej legendowej iskierki, nie oddała nikomu swego serca przez

wdzięczność za jakąś nadzwyczajną przysługę jej oddaną. Małżeństwo zawarte nie dogadzało jej jak również mr. Seth Stanford'owi, co nie przeszkadzało jej żywić sympatji dla człowieka, który okazał wiele delikatności, wyrzekając się być jej mężem, jak również jemu uważać swą dawną żonę za osobę inteligentną, oryginalną i najzupełniej doskonałą, odkąd przestała być jego żoną.

Rozeszli się bez wymówek, bez wzajemnego oskarżania się. Mr. Seth Stanford podróżował na swoją rękę, mrs. Arkadja na swoją. Kaprys spowodził ich oboje na wyspę grenlandzką. Dlaczego mieli udawać, że się nie znają? Co może być pospolitszego nad niewolnicze trzymanie się przesądów i rzeczy przyjętych? Po pierwszej rozmowie mr. Seth Stanford ofiarował swe usługi mrs. Arkadji Walker, która przyjęła je chętnie, i już odtąd nie mówili o niczem innem jak tylko o zjawisku meteorologicznem, którego rozwiązanie nastąpić miało niebawem.

W miarę jak czas upływał, coraz większe podniecenie ogarniało podróżnych, a w pierwszym rzędzie osoby najbardziej zainteresowane w tym wypadku, czyli oprócz mieszkańców Grenlandji, mr. Dean Forsyth'a i Sydney Hudelson'a, ponieważ ci trwali uparcie przy swych prawach.

— Aby tylko spadł na wyspę! — myśleli pp. Forsyth i Hudelson.

— A nie obok! — myślał naczelnik rządu grenlandzkiego.

— Ale nie na nasze głowy! — dodawało kilku tchórzliwych.

Za blisko, lub za daleko, oto jedynie niepokojąca alternatywa.

16 i 17 sierpnia przeszły spokojnie. Na nie-szczęście niebo się zachmurzyło i temperatura zaczęła się obniżać. Zima mogła nadejść niespodziewanie. Góry na wybrzeżu już były śniegiem pokryte, a wiatr, wiejący z tej strony, był tak ostry, tak przenikliwy, że trzeba było się przed nim chronić w salonach okrętów. Dłużej pozostawać w tych zimnych strefach nikt nie miał zamiaru i wszyscy oczekiwali z niecierpliwością na zjawisko, chcąc czem prędzej wracać na południe.

Tylko dwaj współzawodnicy, obaj z równym uporem, trwali przy swych roszczeniach, mając zamiar pozostać przy skarbie. Należało się spodziewać wszystkiego po ich zaciekłości, to też Francis Gordon nie bez obawy dla swej drogiej Jenny myślał o możliwym przebyciu tu zimy.

W nocy z 17 na 18 sierpnia zerwała się szalona burza. Dwadzieścia godzin temu astronomowi bostońskiemu udało się stwierdzić, że szybkość meteoru zmniejsza się coraz bardziej. Ale burza szalała z taką gwałtownością, że można było się obawiać, iż uniesie meteor.

Burza trwała bez przerwy cały dzień 18 sierpnia, a pierwsze godziny następnej nocy były tak niepokojące, że kapitanowie obawiali się o swe okręty.

Tymczasem o północy z 18 na 19 sierpnia burza uciszyła się znacznie. Pasażerowie skorzystali z tego, by już o 5-ej zrana wyruszyć na ląd. Czyż 19 sierpnia nie był ustalonym terminem dla upadku meteoru?

I rzeczywiście o siódmej godzinie rozległo się głucho uderzenie tak silne, że wyspa zatrzęsała się w posadach...

W kilka chwil później jeden z mieszkańców Grenlandji przybiegł z wielką nowiną do domu, w którym gościł p. de Schnack..

Meteor spadł na północno-zachodnim krańcu wyspy Upernivik.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY,

w którym p. de Schnack i jego liczni współnicy, chcąc się dostać do meteoru, dopuszczają się przestępstwa włamania.

Wiadomość ta rozeszła się lotem błyskawicy.

W jednej chwili turyści i ludność grenlandzka, wszystkie załogi okrętowe, słowem potok ludzki dążył w kierunku wskazanym przez tubylczego posłańca.

Gdyby uwaga wszystkich nie była tak wyłączenie pochłonięta meteorem, zauważonoby z pewnością w tej chwili fakt niełatwy do wytłumaczenia. Jak gdyby na tajemnicze jakieś hasło jeden ze statków, stojących w zatoce, podniósł kotwicę i całą siłą pary odpłynął na pełne morze. Był to okręt o kształcie podłużnym i według wszelkiego prawdopodobieństwa niezwykle szybki. W kilka minut znikł za skałami.

Zachowanie to mogło zadziwić. Pocóż było przyjeżdżać aż do Uperniviku, ażeby go opuszczać właśnie w chwili rozstrzygającej? Ale nikt nie spostrzegł tego odjazdu dość osobliwego, ponieważ wszyscy zajęci byli jedną wyłączną myślą.

Jedyną troską tego śpieszącego się tłumy, wśród którego znajdowało się kilka kobiet, a nawet kilkoro

dzieci, było jak najprędsze przybycie na miejsce upadku meteoru. Dążono w nieładzie, pchając się i potracając. Jeden tylko mr. Seth Stanford nie stracił spokoju. Jako globe trotter skończony nie wzruszał się niczem, patrząc z lekką pogardą na podniecenie tłumu. A nawet — byłoż to wyrafinowaną grzecznością czy jakimś innem uczuciem? — odwrócił się tyłem od całego towarzystwa, dążąc w kierunku przeciwnym na spotkanie mrs. Arkadij Walker. Zresztą, czy nie było to naturalną rzeczą, że dawni znajomi chcą iść razem, aby przyrzec się meteorowi?

— Nareszcie spadł, mr. Stanford! — oto były pierwsze słowa mrs. Arkadij Walker.

— Nareszcie spadł! — odpowiedział Seth Stanford.

— Nareszcie spadł! — powtarzał bez końca tłum, śpiesząc ku północno-zachodniemu krańcowi wyspy.

Pięć osób jednakże zdołało wyprzedzić resztę. Na czele kroczył p. Ewald de Schnack, delegat Grenlandji na konferencji międzynarodowej, przed którym ustępowały najbardziej nawet niecierpliwe osoby.

W ten sposób utworzone wolne miejsce zostało natychmiast zajęte przez pp. Forsyth'a i Hudedson'a, którzy tem samem wysunęli się na czoło towarzystwa wraz z nieodstępującymi ich Francisem i Jenny. Młoda para w dalszym ciągu trwała przy zmianie ról, jak przedtem na parowcu. Jenny towa-

rzyszyła mr. Dean Forsyth'owi, a Francis otaczał opieką doktora Hudelson'a. Musimy przyznać, że ich usługi nie zawsze bywały dobrze przyjęte, ale tym razem obaj współzawodnicy tak byli wzruszeni, że nawet nie zauważyli ich obecności. Nie było więc mowy o żadnej złej woli względem dwojga młodych ludzi, którzy szli pomiędzy nimi przy sobie.

— Delegat pierwszy zawładnie meteorem — mruzczał mr. Forsyth.

— I rękę na niego położy — dodawał doktor Hudelson, myśląc że odpowiada Francisowi.

— Ale to nie przeszkadza, żebym się nie upominał o swoje prawa! — oświadczył mr. Dean Forsyth pod adresem Jenny.

— Zapewne! — potwierdzał mr. Sydney Hudelson, myśląc o swoich.

Ku wielkiemu zadowoleniu siostrzeńca i córki zdawało się, że obaj przeciwnicy, zapominając o swych osobistych urazach, zbliżają się powoli, przyciągani ku sobie jedną wspólną nienawiścią przeciwko wrogowi.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stan atmosferyczny uległ zmianie na lepsze. Burza ustawała, w miarę jak wiatr obrócił się na południe. Jeżeli słońce wznosiło się tylko na kilka stopni nad horyzontem, przynajmniej świeciło poprzez chmury zmniejszone przez jego promieniowanie. Deszcz nie padał, wiatr ustał, pogoda była jasna, czas spokojny, a termometr wskazywał ośm do dziewięciu stopni powyżej zera.

Od miasteczka do krańca wyspy była przeszło jedna mila, którą należało przejść pieszo, w Uperniviku bowiem nie było ani jednego pojazdu. Zresztą droga nie była uciążliwa przez płaszczyznę skalistą, nieco tylko wzniesioną pośrodku i w bliskości wybrzeża, gdzie wznosiło się kilka wysokich gór skalnych.

Za temi właśnie skałami spadł meteor, nie można go było przeto dostrzec z miasteczka.

Tubylec, który pierwszy przyniósł wiadomość, służył za przewodnika. Za nim szedł w bliskości p. de Schnack, pp. Forsyth i Hudelson, Francis z Jenny, a za nimi Omikron i astronom z Bostonu wraz z całą rzeszą turystów.

Nieco dalej szedł mr. Seth Stanford z mrs. Arkadją Walker. Eks-małżonkowie słyszeli o legendowem zerwaniu dwu rodzin, a ze zwierzeń Francis, z którym mr. Stanford zawiązał bliższe stosunki na parowcu, dowiedział się o następstwach tego zerwania.

— Wszystko pójdzie dobrze — wróżyła mrs. Arkadja Walker, dowiedziawszy się z kolei o losie dwojga narzeczonych.

— Oby tak było! — potwierdził mr. Seth Stanford.

— Zapewne! — rzekła mrs. Arkadja — a potem wszystko się ułoży jeszcze lepiej. Nieco trudności, mr. Stanford, trochę niepokoju nie wychodzi na złe małżeństwu. Związki, zawarte zbyt szybko, często bardzo ulegają zerwaniu! Czy pan nie jest tego samego zdania?

— Najzupełniej, mrs. Arkadjo. Naprzykład my... w pięć minut... konno... tyle czasu, aby popuścić cugle...

— I po sześciu tygodniach popuścić je znów, tylko że już samym sobie tym razem! — przerwała z uśmiechem mrs. Arkadja Walker. — Tak więc Francis Gordon i Jenny Hudelson, nie biorąc ślubu konno, tem będą pewniejsi, iż osiągną szczęście.

Nie potrzebujemy dodawać, że wśród tej ciżby ciekawej jedynie tylko mr. Seth Stanfort i mrs. Arkadja Walker, jeżeli nie liczyć dwojga narzeczonych, nie zajmowali się meteorom, nie mówili o nim, nie wyciągali żadnych wniosków, jak to byłby prawdopodobnie uczynił John Proth, którego dobroduszne oblicze stanęło im żywo w pamięci wraz z temi kilkoma wywołanemi wspomnieniami.

Tłum raźnie posuwał się naprzód po płaszczyźnie usianej nędznemi krzewami, z których wyfrwały ptaki zalęknione jak nigdy przedtem w okolicach Uperniviku. W pół godziny przebyło trzy czwarte mili. Pozostawało z tysiąc metrów do przebycia, ażeby dojść do meteoru, który się krył za wzniesieniem skalistem. Tam go ujrzał zdaniem posłańca tubylca, który mylić się nie mógł. Zajęty był pracą przy roli, ujrzał nagle ogniste światło meteoru i słyszał jego upadek, jak i inni jego towarzysze.

Okoliczność, paradoksalna w tej krainie, zmusiła turystów do zatrzymania się na chwilę. Było

gorąco. Tak, choć to wydaje się nieprawdopodobne, ocierano pot z czoła, jak gdyby znajdowano się pod szerokością geograficzną bardziej umiarkowaną. Czyż szybki chód miał być powodem tego rozgrzania? Niezawodnie przyczynił się on również do tego, ale nie ulegało wątpliwości, że temperatura powietrza również wzrastała. W pobliżu północno-zachodniego krańca wyspy, termometr musiał stanowczo wskazywać kilka stopni różnicy z temperaturą miasteczka. Wydawało się nawet, że gorąco wzmaga się, w miarę jak zbliżano się do celu.

— Czyż przybycie meteoru miałoby wpłynąć na zmianę klimatu? — spytał ze śmiechem mr. Stanfort.

— Byłoby to bardzo pomyślne dla Grenlandczyków — odpowiedziała również wesóło mrs. Arkadja.

— Prawdopodobnie masa złota, rozgrzana przez tarcie o warstwy atmosferyczne, znajduje się jeszcze w stanie ognistym — tłumaczył astronom z Bostonu — i jego ciepło promieniujące sięga aż do nas.

— To dobre! — zawołał mr. Seth Stanfort — może zmuszeni będziemy czekać, aż się oziębi?

— Oziębienie jego byłoby szybsze, gdyby był spadł poza wyspę, zamiast spaść na nią — pomyślał Francis Gordon, wracając do swego ulubionego życia.

Jemu również było gorąco, i nie tylko jemu, bo i p. de Schnack'owi i p. Wharf'owi, którzy się pocili

za jego przykładem, a z nimi cały tłum i wszyscy Grenlandczycy, którzy nie mieli nigdy tyle uciechy.

Odpocząwszy trochę, ruszyli dalej. Jeszcze pięćset metrów pozostawało do zakrętu skalistego, za którym miał ukazać się meteor w całej świetności.

Niestety, po dwustu krokach p. de Schnack, który szedł na czele, znów się musiał zatrzymać, a za nim pp. Forsyth i Hudelson, za nimi zaś cały tłum uczynił to samo. Tym razem upał nie był przyczyną postoju, ale przeszkoda zupełnie niespodziewana, najbardziej niespodziewana ze wszystkich przeszkód, które można było napotkać w podobnym kraju.

Ogrodzenie, składające się z pali powiązanych z sobą trzema rzędami drutów, zakreślało nieskończoną krzywiznę, dążącą do obu stron wybrzeża, zamykając przejście ze wszystkich stron. Gdzieś niedaleko na słupach wynioślejszych od innych widniały tabliczki z napisem po angielsku, po francusku i po duńsku. P. de Schnack, mając wprost przed sobą jedną z takich tabliczek, przeczytał z osłupieniem: „Własność prywatna. Wejście wzbronione”.

Własność prywatna w tych dalekich okolicach, to coś niezwykłego! Na słonecznych wybrzeżach morza Śródziemnego lub w bardziej zamglonych oceanu, lotniska mają swoją rację bytu. Ale na wybrzeżach oceanu Lodowatego!... Naco mogła się przydać ta dzika i skalista posiadłość owemu osobliwemu właścicielowi?

W każdym razie nie była to rzecz pana de Schnack'a. Tak czy inaczej, własność prywatna zagradzała mu drogę, a ta przeszkoda, czysto moralnej natury, strąciła go nagle z wyżyn jego zapędu. Urzędowy delegat musi szanować zasady, na których opierają się prawa wszystkich społeczeństw cywilizowanych, nietykalność zaś siedziby prywatnej jest aksjomatem powszechnie uznawanym.

Zresztą właściciel nie omieszkął przypomnieć o tym aksjomacie tym, którzy mogli byli o nim zapomnieć. „Wejście wzbronione” słowa wypisane w potrójnym języku na tabliczkach świadczyły o tem wymownie.

P. de Schnack stał, nie wiedząc, jak ma postąpić. Zatrzymać się, wydało mu się okrucieństwem. Ale z drugiej strony jakże mógł gwałcić własność prywatną, a tem samem podeptać wszystkie prawa ludzkie i boskie!

Pomruk coraz to silniejszy dawał się słyszeć na tyłach szeregu, ogarniając stopniowo tłum cały. Pozostający wtyle, nieświadomi o co chodzi, żywo protestowali przeciw temu zatrzymaniu. Wiadomość wszakże o przeszkodzie nie zadowoliła ich bynajmniej, a to niezadowolenie, zataczając coraz szersze kręgi, wyraziło się piekielną wrzawą, w której wszyscy razem mówili.

Jakto, miano zatrzymać się przed tem ogrodzeniem? Więc nato przebyto tysiące mil, ażeby jakiś nędzny kawałek drutu zabronić miał wejścia? Właściciel gruntu nie mógł rościć sobie prawa do

meteoru. Nie miał żadnego powodu bronić wejścia. A zresztą, jeżeli tak jest, nic łatwiejszego jak wejść przemocą.

Czy p. de Schnack'a przekonały te gwałtowne argumenty? Niewiadomo, dość, że zachwiał się w swych zasadach. Właśnie naprzeciwko niego w ogrodzeniu była furtka — zamknięta zwykłym sznurkiem. Przeciął scyzorykiem sznurek, i nie zastanawiając się, że postępuje jak zwykły złoczyńca, wszedł na zakazane terytorjum.

Tłum parł za nim, cisnąc się do furtki, lub przeskakując przez druty. W kilka minut ciżba owładnęła własnością prywatną, ciżba w liczbie trzech tysięcy osób — podniecona, hałaśliwa, rozprawiająca o niespodziewanym tym wypadku!

Ale nagle jakby na skutek różdżki czarodziej-skiej zapanowała cisza.

O sto metrów od ogrodzenia, mały domek z desek, zakryty dotychczas przez wzniesienie ziemi, ukazał się oczom wszystkich. W drzwiach tej nędznej chatki stanął szczególnego wyglądu osobnik.

Głosem twardym odezwał się po francusku do zaborców:

— Hej, wy tam! nie krępujcie się. Bądźcie jak u siebie w domu!

P. de Schnack rozumiał francuską mowę. Dlatego to zatrzymał się na miejscu, a za nim turyści, którzy jednocześnie samorzutnym ruchem zwrócili swe trzecztyśiączne zaciekawione oblicza ku niezwykłemu mówcy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY,

w którym budzi się w Zefirynie Xirdalu nieprzewidywany
wstręt do meteoru, i następstwa stąd wynikłe.

Gdyby Zefiryn Xirdal był sam, czy mógłby był dojechać pomyślnie do celu? Ostatecznie wszystko jest możliwem. Wszelako przezornym okazałby się ten, ktoby twierdził przeciwnie.

Bądź co bądź, nie nadarzyła się sposobność, aby się o to zakładać, ponieważ dobra gwiazda oddała go w opiekę mentora, którego zmysł praktyczny równoważył bujną fantazję tego oryginała. Wszelkie przeto trudności zostały usunięte z dość zawiłanej podróży Zefiryna Xirdal'a, a to dzięki p. Robertowi Lecoeur, który potrafił uczynić ją łatwiejszą, niż zwykła przechadzka w okolicach Paryża.

Do Havru przybyli w kilka godzin pociągiem pośpiesznym, tu czekał na nich wspaniały parowiec który, przyjąwszy podróżnych nader uprzejmie ruszył niezwłocznie na pełne morze, nie zabierając nikogo więcej.

Atlantic nie był zwykłym statkiem, lecz jachtem od pięciu do sześciuset tonn pojemności, wynajętym przez p. Roberta Lecoeur dla wyłącz-

negu jego użytku. Z powodu ważności podjętej sprawy bankier uważał za konieczne posiadać możność dowolnego porozumiewania się ze światem cywilizowanym. Ogromne dochody, zdobyte na szczęśliwych operacjach finansowych z kopalniami złota, pozwalały mu na te książęce zachcianki i na wybranie sobie najlepszego jachtu z pośród stu innych statków angielskich.

Atlantic był własnością lorda stokroć milionowego, który go zbudował w celu jak najszybszej komunikacji wodnej. O kształcie zgrabnym i wydłużonym mógł on dzięki działaniu swych maszyn, o sile czterech tysięcy koni, osiągnąć a nawet prześcignąć szybkość dwudziestu węzłów. Ta szybkość zachęciła p. Lecoeur'a do wyboru statku, w razie bowiem potrzeby mogła oddać nieocenioną przysługę.

Zefiryn Xirdal nie wyraził wcale zdziwienia, mając statek do swego rozporządzenia. Być może nawet, że nie zauważył był tego szczegółu. Przy najmniej wszedł do jachtu i rozgościł się w swej kajucie, nie uczyniwszy najmniejszej uwagi.

Odległość między Havrem a Upernivikiem wynosi około ośmiuset mil morskich, które *Atlantic* przepłynąć mógł, płynąc całą siłą pary, w sześć dni. Ale p. Lecoeur nie śpieszył się wcale, przeto podróż odbyli w dwanaście dni, stanawszy dopiero 18 lipca wieczorem w Uperniviku.

Podczas podróży Zefiryn Xirdal nie przemawiał prawie wcale. Napróżno p. Lecoeur przy stole

jadalnym, gdzie z konieczności przestawali razem, usiłował kilkakrotnie nawiązać z nim rozmowę o celu podróży; nie mógł doczekać się odpowiedzi. Nawet wzmianka o meteorze nie mogła pobudzić go do wypowiedzenia swych myśli; wydawało się, jak gdyby zapomniał był o istnieniu meteoru, i żaden błysk inteligentniejszy nie pojawił się w jego bezbarwnych oczach.

Xirdal bowiem był w tej chwili zajęty rozwiązywaniem innych zagadnień. Ale jakiego rodzaju były te zagadnienia, z tem nie zwierzał się nikomu. Można jednak było przypuszczać, że przedmiotem ich było morze, ponieważ, czy to znajdując się wtyle czy na przodzie okrętu, całemi dniami wpatrywał się w fale. Nie wydaje nam się nawet zbyt śmiałem przypuszczenie, że w ten sposób badał zjawisko ciśnienia powierzchniowego, o którym coś nadmienił przechodzącym osobom, myśląc, że przemawia do swego przyjaciela Roberta Lecoeur'a. Kto wie nawet czy wnioski, do których wtedy był doszedł, nie przyczyniły się do jego niezwykłych odkryć, które miały w przyszłości w taki zachwyt wprowadzić świat cały.

Nazajutrz po przybyciu do Uperniviku p. Lecoeur, zniechęcony zachowaniem się chrzestnego syna, starał się zwrócić jego uwagę na maszynę wydobytą z futerału, stawiając mu ją przed oczy. Odgadł. Środek bowiem okazał się skutecznym. Na widok maszyny Zefiryn Xirdal, otrząsnąwszy się niby ze snu, powiódł wzrokiem dookoła siebie

pełnym stanowczości i jasności, jak to miało miejsce w ważnych chwilach jego życia.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— W Uperniviku.

— A mój kawałek ziemi?

— Udamy się do niego zaraz.

Nie zgadzało się to ściśle z prawdą. Należało wprawdzie podążyć do p. Biarn Haldorsen'a, naczelnika inspekcji północnej, którego siedzibę łatwo było doznać po powiewającej na niej chorągwi. Po wzajemnem przywitaniu przystąpiono do sprawy za pośrednictwem tłumacza, o którego postarał się być rozważny p. Lecoeur.

Natychmiast zjawiała się trudność, spowodowana bynajmniej nie zamiarem p. Biarn Haldorsen'a zaprzeczenia tytułu własności, którego akta leżały przed nim. Ale właśnie te dokumenty nie były dość jasne. Według ich brzmienia, bardzo prawidłowo zredagowanego i zaopatrzonego we wszystkie potrzebne podpisy i pieczęcie urzędowe, rząd grenlandzki, za pośrednictwem swego przedstawiciela dyplomatycznego w Kopenhadze, odstępował p. Zefirynowi Xirdalowi powierzchnię dziewięciu kilometrów kwadratowych o czterech równych stronach po trzy kilometry każda w kierunku czterech głównych stron świata, przecinających się pod kątem prostym w równej odległości od środkowego punktu położonego na $72^{\circ}51'30''$ długości geograficznej, północnej i $55^{\circ}35'18''$ długości zachodniej, za cenę

pięciuset koron za kilometr kwadratowy, to jest razem przeszło sześciu tysięcy franków.

P. Biarn Haldorsen nie miał nic przeciwko temu, lecz musiał znać położenie tego środkowego punktu. Zapewne cośnecoś słyszał o długości i szerokości geograficznej i wiedział, że te rzeczy istnieją. Ale na tem kończyła się cała wiedza p. Biarn Haldorsen'a. Czy zaś szerokość była rośliną lub zwierzęciem, długość zaś minerałem lub sprzętem, to nie obchodziło go wcale i nie zastanawiał się nad tem.

Zefiryn Xirdal dopełnił w kilku słowach wiadomości kosmograficznych szefa obwodu północnego i sprostował fałszywe jego dane. Poczem zaproponował, że zajmie się sam, przy pomocy odpowiednich przyrządów Atlantic'u koniecznemi obserwacjami i obliczeniami. Zresztą kapitan duńskiego statku, znajdującego się właśnie w porcie, mógł skontrolować wyniki i upewnić jego eksce-lencję p. Biarn Haldorsen'a o ich dokładności. Tak było postanowione.

W dwa dni Zefiryn Xirdal ukończył pracę, której wyniki drobiazgowo dokładne stwierdzić mógł z zadowoleniem kapitan duński, ale wtedy zjawiała się trudność innego rodzaju.

Miejsce na powierzchni kuli ziemskiej, położone na $72^{\circ}51'30''$ szerokości północnej i $55^{\circ}55'18''$ długości zachodniej, wypadło na pełnem morzu o dwieście pięćdziesiąt metrów na północ od wyspy Upernivik.



... mr. Dean Forsyth ... pobiegł na pomoc dawnemu
przyjacielowi ... Str. 292.

(W pogoni za meteorem)

RÓTOBRAWURA Drukarni i Księgarni
św. WOJCIECHA w POZNANIU



P. Lecoeur, przerażony tem odkryciem, uniósł się wielce. Co będzie? Więc nato przybyli do tych zapadłych stron, ażeby się dowiedzieć, że meteor zginie w otchłaniach morskich! Czy można nawet wyobrazić sobie podobną lekkomyślność! Jak mógł Zefiryn Xirdal, uczony tej miary, popełnić taką grubą pomyłkę?

A jednak pomyłka ta była bardzo prosta. Zefiryn nie wiedział, że słowo „Upernivik” oznacza nie tylko miasteczko, lecz również i wyspę. Po matematycznym wyliczeniu miejsca, gdzie spaść miał meteor, wyszukał je na niedokładnej mapie, wyjętej ze szkolnego atlasu, którą wyciągnął z kieszeni dla pokazania jej rozgniewanemu bankierowi. Mapa ta wskazywała, że punkt ziemi oznaczony $72^{\circ}51'30''$ szerokości północnej i $55^{\circ}35'18''$ długości zachodniej znajdował się w bliskości miasteczka Upernivik, ale nie wskazywała, że to miasteczko, ryzykownie umieszczone dość daleko od wybrzeża, jest położone nie na stałym lądzie, lecz na wyspie tej samej nazwy, w sąsiedztwie bezpośrednim z morzem. Zefiryn Xirdal, nie szukając dalej, uwierzył na słowo tej mapie niedokładnej.

Oby przygoda ta nie przeszła bez skutku! Życzę z całego serca, aby czytelnicy nasi nie lekceważyli nauki geografji, a szczególnie nie zapomnieli, że Upernivik jest wyspą! Może wiadomość ta przyda im się w razie, gdy będą mieli do czynienia z meteorom wartości pięciu tysięcy siedmset ośmdziesięciu ośmiu miliardów!

Jednak w danym wypadku rada ta nic już pomóc nie mogła!...

Gdyby przynajmniej granica tego kawałka ziemi mogła być wymierzona bardziej na południe, to zmiana ta okazałaby się korzystną w razie odchylenia biegu meteoru. Ale Zefiryn Xirdal popelił nieostrożność, uzupełniając wiadomości jego ekscelencji p. Biarn Haldorsen'a i żądając kontroli duńskiego kapitana, przeto niewinne to oszustwo było już niemożliwe. Trzeba było, chcąc nie chcąc, przyjąć wszystkie skutki swej pomyłki i objąć w posiadanie ziemię, której część była powierzchnią wodną, część zaś lądową.

Południowa granica tej drugiej części, najbardziej nas obchodząca, zajmowała tysiąc dwieście pięćdziesiąt i jeden metrów północnego wybrzeża Uperniviku, a długość jej przewyższała o trzy kilometry szerokość wyspy w tem miejscu, stąd zaś wynikało, że granica wschodnia i zachodnia powinny były być wyznaczone na pełnym oceanie. Zefiryn Xirdal otrzymał zatem przeszło dwieście siedmdziesiąt dwa hektary zamiast kupionych i zapłaconych dziewięciu kilometrów kwadratowych, co zmniejszało znacznie wartość tej nieruchomości. Słowem był to zły interes.

W stosunku zaś do meteoru przedstawiał się nawet oplakanie. Punkt upadku, wybrany tak dokładnie przez Zefiryne Xirdal'a, znajdował się na morzu. Zapewne przypuszczał on możliwość odchylenia, skoro zakreślił dookoła punktu przestrzeń

tysiąca pięciuset metrów. Ale z której strony nastąpi to odchylenie? Tego wiedzieć nie mógł. Meteor mógł zapewne upaść na części lądowej jego posiadłości, lecz mógł upaść zarówno dobrze w wodę. To było powodem wielkiej troski p. Lecoeur'a.

— Co zamierzasz obecnie? — spytał chrzestnego syna.

Ten wzniosł ręce do nieba na znak nieświadomości.

— A jednak działać trzeba — odparł ojciec chrzestny gniewnym tonem. — Musisz wyprowadzić nas z tego położenia bez wyjścia.

Zefiryn Xirdal zamyślił się.

— Przedewszystkiem należy ogrodzić nasz kawałek ziemi i zbudować dach nad głową. Potem zobaczymy.

P. Lecoeur zabrał się do dzieła. W ciągu tygodnia marynarze *Atlantico*, przy pomocy kilku Grenlandczyków sownie opłaconych, wzniesli ogrodzenie z drutów, którego obydwie krańce sięgały morza, i zbudowali domek z desek, skromnie zaopatrzony w niezbędne sprzęty.

26 lipca, na trzy tygodnie przed upadkiem meteoru, Zefiryn Xirdal zabrał się do pracy. Zbadawszy położenie meteoru, oddał się całkowicie wyliczeniom matematycznym. Nowe te obliczenia potwierdziły tylko dokładność poprzednich. Nie popełnił żadnej pomyłki. Odchylenia nie było wcale. Meteor spadnie w miejscu przewidzianem, to jest

pod $72^{\circ}51'50''$ szerokości północnej i $55^{\circ}35'18''$ długości zachodniej.

— A zatem w morze — wywnioskował pan Lecoeur, powściągając gniew.

— Oczywiście, że w morze — powiedział spokojnie Xirdal, który, jako prawdziwy matematyk, odczuwał tylko wielkie zadowolenie z przedziwnej dokładności swych obliczeń.

Ale wnet objął drugą stronę sprawy.

— A do diabła! — wykrzyknął tonem zmienionym, patrząc na ojca chrzestnego z wahaniem.

P. Lecoeur zmusił się do spokoju.

— Zefirynie! — rzekł tonem dobrodusznym, jak się przemawia do dzieci — mam nadzieję, że nie pozostaniemy z rękoma założonemi. Błąd był popełniony i należy go naprawić. Skoro było w twojej możności sięgnąć po meteor do nieba, to czemuż jest dla ciebie odchylić jego drogę na kilkaset metrów?

— Tak sądzisz, wuju? — odrzekł Zefiryn Xirdal, potrząsając głową. — Skoro miałem do czynienia z meteorom, był on na czterysta kilometrów oddalony od ziemi. W tej odległości przyciąganie ziemskie działało w ten sposób, że ilość energji, którą wyrzucałem na jedną z jego stron była zdolna wywołać znaczne naruszenie równowagi. Obecnie to co innego. Meteor jest bliżej. Przyciąganie ziemi działa na niego tak silnie, że mała zmiana nie ma tu znaczenia. Z drugiej znów strony, bezwzględna szybkość meteoru zmniejszyła się, zwięks-

szyla zaś jego szybkość kątowna. Przechodzi on teraz błyskawicznie, w położeniu najkorzystniejszym, i już nieomal nie pozostaje czasu, ażeby móc nań działać.

— A zatem jesteś bezsilny? — nalegał p. Le-coeur, gryząc wargi, by nie wybuchnąć.

— Tego nie powiedziałem — sprostował Zefiryn Xirdal. — Ale rzecz jest trudna. Nie przeszkadza to jednak spróbować.

W istocie próbować zaczął i to z taką zaciętością, że 17 sierpnia był pewien swego zwycięstwa. Meteor miał spaść ostatecznie na ziemię o pięćdziesiąt metrów od brzegu — odległość dostateczna, aby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa.

Na nieszczęście dni następnych szalała burza z taką gwałtownością, że wstrząsała okrętami, stojącymi w porcie, i unosiła wszystko z powierzchni ziemi; nic więc dziwnego, że Zefiryn Xirdal, myśląc o tym niezwykle silnym prądzie powietrza, mógł się obawiać zmiany biegu meteoru.

Jak wiadomo, burza ta ustała w nocy z 18-go na 19 sierpnia, ale mieszkańcy domku nie skorzystali z chwili wytchnienia, łaskawie udzielonego przez uspokojone żywioły. Oczekiwanie zjawiska wykluczało wypoczynek. Przyglądali się zachodowi słońca, nieco po pół do jedenastej wieczorem, poczem wschodowi w niespełna trzy godziny później na niebie prawie zupełnie czystem.

Upadek nastąpił o godzinie przewidzianej przez Zefiryna Xirdal'a. O szóstej godzinie pięćdziesiąt siedm minut i trzydzieści pięć sekund ogniste świa-

zło przeszło przestworze w stronie północnej, oślepiając napół swym blaskiem p. Lecoeur'a i jego chrzestnego syna, którzy od godziny stali na progu domku, bacznie obserwując horyzont. Prawie równocześnie usłyszano głuchy huk, i ziemia zatrzęsa się pod silnem uderzeniem. Meteor spadł.

Skoro Zefiryn Xirdal i p. Lecoeur odzyskali wzrok, ujrzeli najpierw masę złotą w odległości pięciuset metrów.

— Pali się — szepnął p. Lecoeur pod wpływem wielkiego wzruszenia.

— Tak — odrzekł Zefiryn Xirdal, nie mogąc wymówić nic więcej.

Powoli jednak, uspokoiwszy się, zaczęli się przyglądać dokładniej leżącej masie.

Meteor istotnie był w stanie rozżarzonem. Temperatura jego musiała być ponad tysiąc stopni i być bliską punktu topliwości. Skład tego ciała gąbczasty uwidocznił się obecnie, potwierdzając uwagę obserwatorium w Greenwich, porównywającego je z gąbką. Powierzchnię, nieco ciemniejszą przez oziębienie spowodowane promieniowaniem, przerzynały liczne kanały, które pozwalały oku sięgnąć w głąb, gdzie metal rozpalony był do czerwoności. Kanały te, rozdzielone, pokrzyżowane, wygięte w liczne zakręty, tworzyły niezliczoną ilość komórek, skąd wydobywało się ze świstem rozpalone powietrze.

Pomimo że meteor był silnie spłaszczony swym zawrotnym upadkiem, rozróżnić można było jeszcze

jego kształt kulisty. Górna część zakreślała dość prawidłową linię kulistą, dolna zaś, zmiażdżona, łączyła się ściśle z chropowatością gruntu.

— Ale... on się zsunie do morza! — zawołał p. Lecoeur po kilku chwilach.

Zefiryn Xirdal milczał.

— Twierdziłeś, że upadnie na pięćdziesiąt metrów od brzegu!

— Jest oddalony o dziesięć metrów, gdyż należy brać pod uwagę połowę jego średnicy.

— Dziesięć to nie pięćdziesiąt.

— Odchylenie jest następstwem burzy.

Po tej wymianie słów obaj milcząc przypatrywali się masie złota.

W istocie nieplonną była obawa p. Lecoeur'a. Meteor upadł o dziesięć metrów od ostatniego zrębu nadmorskich skał, na zbocze łączące ten zrąb z resztą wyspy. Ponieważ promień tego ciała wynosił pięćdziesiąt pięć metrów, jak to słusznie twierdziło obserwatorium w Greenwich, przeto meteor wystawał o czterdzieści pięć metrów nad próżnią. Olbrzymia masa metalu, rozmiękczona ciepłem i wystająca ponad skalistą ścianę, rozlała się jak gdyby wzdłuż niej, zwieszając się żałośnie prawie aż do powierzchni morza. Lecz druga jego część, wprost wtłoczona w skałę, utrzymywała całość nad powierzchnią oceanu.

Oczywiście, jeżeli nie spadał, to dlatego, że był w równowadze. Równowaga ta wszakże była bardzo niestała, i każdy rozumiał, że przy naj-

mniejszem wstrząśnieniu ten bajeczny skarb spadłby w otchłań. Poruszony ze swej posady toczyłby się, niepowstrzymany żadną siłą, po pochyłości do chwili, aż morze zamknęłoby się nad niem.

— Tem bardziej należy się śpieszyć — pomyślał nagle p. Lecoeur, oprzytomniawszy. — Byłoby szaleństwem marnotrawić czas na nie-mądrzem rozmyślaniu ze szkodą swych interesów.

Nie tracąc chwilki czasu, zawiesił flagę francuską poza domkiem na maszcie, na tyle wysokim, ażeby ją dostrzeżono na okrętach, stojących w porcie. Sygnał ten, jak mogliśmy się o tem przekonać, został zauważony i zrozumiany. *Atlantic* wypłynął natychmiast na morze, kierując się ku najbliższej stacji telegraficznej, ażeby wysłać pod adresem banku Roberta Lecoeur przy ulicy Drouot w Paryżu telegram następujący: „Meteor spadł, sprzedać”.

W Paryżu wykonają rozkaz, p. Lecoeur zaś będzie zbierał nielada żniwo, grając na pewne. Skoro wieść o upadku meteoru rozniesie się, akcje kopalniane spadną ostatecznie. P. Lecoeur je odkupi w doskonałych warunkach. W każdym razie sprawa ma swą dobrą stronę, a tak czy inaczej, pana Lecoeur nie ominie pokaźna liczba milionów.

Zefiryn Xirdal, obojętny na te pospolite sprawy, trwał dalej w swem rozmyślaniu, gdy nagle usłyszał poza sobą głośny krzyk ludzki. Odwróciwszy się, zobaczył turystów z p. de Schnack’iem na czele,

którzy wtargnęli do jego siedziby. To było nie do zniesienia! Xirdal, nabywając grunt, chciał być panem u siebie. Oburzony był tem bezprawiem.

Krokiem szybkim podążył do zaborców.

Delegat Grenlandji wyszedł naprzeciw niego.

— Jakże pan mógł wejść do mnie? — spytał go Xirdal. — Czy nie widziałeś pan napisów?

— Niech pan wybaczy — odrzekł grzecznie p. de Schnack — spostrzegliśmy je doskonale, ale sądziliśmy, że w okolicznościach tak wyjątkowych wyłamanie się z pod praw ogólnie przyjętych można wybaczyć.

— Okoliczności wyjątkowe? — spytał Xirdal naiwnie. — O jakich wyjątkowych okolicznościach pan mówi?

Postawa p. de Schnack'a słusznie wyrażała pewne zdziwienie.

— Jakie okoliczności wyjątkowe? — powtórzył. — Czy to ja mam pana powiadomić, że meteor whastoński spadł dopiero co na tej wyspie?

— Doskonale wiem o tem — oświadczył Xirdal. — Ale w tem niema nic wyjątkowego. Upadek meteoru jest faktem bardzo zwykłym.

— Ale nie meteoru ze złota!

— Złoty czy nie złoty, meteor, to meteor.

— Ci panowie i te panie nie są z Waszkiej wyspy — odparł p. de Schnack, pokazując na grupę turystów, z których większa część była z zagranicy, a słowa z tej rozmowy

jechały jedynie w celu ze

whastońskiego. Pan przyzna, że byłoby zbyt przykro po trudach podróży być zatrzymanym przez ogrodzenie z drutów.

— Prawda — odrzekł Xirdal pojednawczo.

Po tej odpowiedzi należało się spodziewać, że sprawa dobry weźmie obrót, gdy p. de Schnack niezręcznie dodał:

— Ja zaś tem mniej miałem powodów do zatrzymania się przed ogrodzeniem, że przeszkadzało ono wypełnieniu urzędowego zlecenia, które mi powierzono.

— Zlecenie? jakie?

— Ażeby objąć w posiadanie meteor w imieniu Grenlandji, której jestem przedstawicielem.

Xirdal skoczył.

— Wejść w posiadanie meteoru! — zawołał.
— Pan oszalał, mój dobry panie!

— Nie widzę, dlaczego tak być miało — odparł p. de Schnack tonem urażonym. — Meteor spadł na terytorjum Grenlandji. Należy zatem do rządu Grenlandji, ponieważ nie należy do nikogo.

— Ile słów, tyle błędów — zaprzeczył Zefiryn Xirdal z wzrastającą gwałtownością. — Najpierw meteor nie spadł na terytorjum Grenlandji, lecz na mojem własnem terytorjum, zważywszy, że Grenlandja odstąpiła mi je urzędownie i za pieniądze. Następnie, meteor należy do kogoś, tym kimś zaś — to ja.

— Pan?

— Nie ksteinny.

— Z jakiego tytułu?

— Na mocy wszystkich możliwych tytułów, kochany panie! Beze mnie meteor ciążyłby jeszcze w przestworzu, dokąd pomimo pańskiej godności nie poszedłbyś go tam szukać. Jakże mógłby nie do mnie należeć, kiedy jest u mnie i kiedy ja go ściągnąłem na ziemię?

— Co pan mówi? — nalegał p. de Schnack.

— Mówię, że to ja ściągnąłem go na ziemię. Zresztą nie omieszkalem powiadomić o tem Konferencję Międzynarodową, która podobno zebrała się w Waszyngtonie. Spodziewam się, że po mojej depeszy jej prace zostały przerwane.

P. de Schnack patrzył się na swego rozmówcę z pewnego rodzaju wahaniem: miałże do czynienia z kpiarzem czy z warjatem?

— Panie — odpowiedział — brałem udział w Konferencji Międzynarodowej, mogę pana upewnić, że odbywała posiedzenia, kiedy opuszczałem Waszyngton. Muszę również pana upewnić, że nic nie wiem o depeszy przez pana wzmiankowanej.

P. de Schnack był szczery. Nieco głuchy, nie słyszał ani słowa z depeszy, którą czytano, jak to się zwykle dzieje w każdym szanującym się parlamencie, wśród piekielnego hałasu prywatnych rozmów.

— Nie przeszkadza to, że ją wysłałem — mówił Zefiryn Xirdal z coraz większem ożywieniem. — Czy doszła do miejsca swego przeznaczenia, czy nie, to nie wpływa bynajmniej na moje prawa do meteoru.

— Pana prawa... — odparł p. de Schnack, którego gniewała również ta niespodziewana dyskusja. — Czy w istocie śmiesz pan rościć jakiegokolwiek prawa do tego meteoru?

— Co, miałbym się może krępować! — wykrzyknął Xirdal tonem drwiącym.

— Meteor wartości sześciu tryljonów franków!

— I cóż z tego? Gdyby był wart trzysta tysięcy milionów miliardów tryljardów, nie przeszkadzałoby mu to należeć do mnie!

— Do pana!... to są żarty! Jeden człowiek miałby posiadać więcej złota niż reszta świata! toby było nie do zniesienia!

— Nie wiem, czy byłoby do zniesienia, czy też nie — zawołał Zefiryn Xirdal. — Wiem tylko jedno, że meteor należy do mnie.

— Zobaczymy — zakończył p. de Schnack oschłym tonem. — Narazie pan pozwoli, że pójdziemy dalej.

To mówiąc, delegat uchylił zlekka kapelusza, na znak zaś, dany przez niego, przewodnik ruszył naprzód. P. de Schnack podążył za nim, a za p. de Schnack'iem podążyła rzesza trzecztyśięcna.

Zefiryn Xirdal, stojąc na swych długich nogach, patrzył na przechodzący tłum, który zdawało się, że go nie widzi. Wzburzony był wielce. Wejść do niego bez pozwolenia i zachowywać się jak w kraju zdobytym! Zaprzeczać jego prawom! Przechodziło to wszelkie granice!

Co jednak miał począć z tym tłumem! To też, skoro minął go ostatni przechodzień, zawrócił, dążąc do swego domku. Dając się zwyciężyć, nie dał się przekonać. A idąc dał wolne ujście swej żółci:

— To wstrętne... wstrętne — powtarzał bez końca, wymachując rękoma jak semafor.

Tymczasem tłum śpieszył za przewodnikiem, który wreszcie zatrzymał się przed ostatnim krańcem wyspy. Nie można było już iść dalej.

P. de Schnack i Wharf dogonili go wkrótce. Następnie szli pp. Forsyth i Hudelson, Francis i Jenny, Omikron, mr. Seth Stanfort i mrs. Arkadja Walker. A za nimi cała ta rzesza ciekawych, którą okręty przywiozły na wybrzeże morza Bafińskiego.

W istocie dalej już iść nie było można. Gorąco nie do wytrzymania nie pozwoliło im uczynić ani kroku więcej.

Zresztą krok ten byłby zbyt ciężki. Z odległości mniej więcej czterystu metrów ukazywała się złota kula i wszyscy mogli ją podziwiać, jak Zefiryn Xirdal i p. Lecoeur podziwiali ją przed godziną. Nie promieniowała tak jak podczas swej podróży w przestworzu, lecz blask jej był tak wielki, iż oczy zaledwie mogły go znieść. Słowem niedostępną była w przestworzu, niedostępną obecnie na ziemi.

W tem miejscu wybrzeże zaokrąglalo się w kształcie płaskich skał, zwanych przez tubylców

Unalek. Pochylone w stronę morza, kończyło się ono skałą pionową, wznoszącą się na trzydzieści metrów ponad poziom morza. Meteor spadł na brzegu tego płaskowzgórza, kilka metrów więcej na prawo, a byłby znikł w otchłani u podnóża urwiska.

— Tak — szepnął niepowściągliwie Francis Gordon — dwadzieścia metrów dalej, a byłby na dnie...

— Skąd niełatwo byłoby go wydobyć — dodała mrs. Arkadja Walker.

— Ech! p. de Schnack nie trzyma go jeszcze w ręku — zauważył mr. Seth Stanford. — Jeszcze dużo wody upłynie, nim go zagarnie rząd grenlandzki.

Zapewne, w każdym jednak razie prędzej czy później będzie jego właścicielem.

Należy być tylko cierpliwym. Ostygnie z pewnością, szczególnie wobec zbliżania się zimy polarnej.

Mr. Dean Forsyth i mr. Sydney Hudelson stali nieruchomi, niby zahipnotyzowani widokiem tej masy złotej, gorejącej w ich oczach. Obaj chcieli się zbliżyć i obaj cofnąć się musieli, jak również niecierpliwy Omikron, który o mało nie został usmażony jak rostbeef. Na odległości czterystu metrów temperatura dosięgała pięćdziesięciu stopni, a gorąco, promieniujące od meteoru, tamowało oddech.

— Ależ... on jest tu... na tej wyspie... nie na dnie morza... nie jest dla nas stracony... jest w rę-

kach tej szczęśliwej Grenlandji... Czekać tylko... należy czekać.

Oto co powtarzali podnieceni turyści, zatrzymani duszącem gorącym na zakręcie skały.

Tak, czekać... A ile czasu? Może meteor nie ostygnie prędzej jak za miesiąc lub dwa? Tego rodzaju masy metalowe, o tak wysokiej temperaturze, zachowują długo swoją ognistość. Zaszło to już z meteorami daleko mniejszej objętości.

Trzy godziny minęło, a nikt nie pomyślał o powrocie. Czyż chciało doczekać chwili, kiedy meteor będzie dostępny? Nie stanie się to wszakże ani dziś, ani jutro. O ile nie rozbije się tu namiotów i żywność nie będzie zapewniona, trzeba będzie wracać na okręty.

— Mr. Stanfort — pytała mrs. Arkadja Walker — czy kilka godzin wystarczy dla ostudzenia tego pałającego meteoru?

— Ani kilka godzin, ani kilka dni, mrs. Walker.

— Wracam więc na Oregon, a powrócę tu później.

— Podzielam w zupełności zdanie pani — odpowiedział mr. Stanfort — i uczynię to samo, udając się w stronę Mozika. Musi już być pora śniadania.

Było to najrozsądniejsze wyjście, ale o wyjściu tem ani słyszeć nie chcieli pp. Forsyth i Hudelson pomimo nalegań Francisa i Jenny.

Napróżno tłum oddalił się po pewnym czasie, napróżno nawet p. de Schnack zdecydował się po-

wrócić do Uperniviku; dwaj manjacy trwali uporczywie przy swym meteorze.

— Ależ wkońcu, ojcze, idziesz czy nie? — spytała po raz dziesiąty Jenny Hudelson około drugiej po południu.

Za całą odpowiedź doktor postąpił kilkanaście kroków naprzód. Ale musiał się cofnąć natychmiast. Miał wrażenie, że dostał się przed paszczę jakiegoś pieca. Mr. Dean Forsyth, który za nim podążał, musiał uciec czem prędzej.

— Wuju — odezwał się z kolei Francis Gordon — panie Hudelson, wielki czas, ażebyście powrócili na okręt. — Wszak meteor nie ucieknie. Nie nasyci naszych żołądków swym widokiem.

Próżne wysiłki. Dopiero wieczorem pp. Forsyth i Hudelson, upadając ze znużenia i osłabienia, zgodzili się na opuszczenie stanowiska z mocnem postanowieniem powrotu nazajutrz.

Oczywiście powrócili, ale ku swemu wielkiemu zdziwieniu zatrzymani zostali na wstępie siłą zbrojną, składającą się z pięćdziesięciu ludzi. Była to cała załoga grenlandzka, przeznaczona do utrzymania porządku przy cennym meteorze.

Przeciw komu przedsięwziął rząd grenlandzki tę ostrożność? Przeciw Zefirynowi Xirdal? W takim razie pięćdziesięciu ludzi było dużo. Tem bardziej, że meteor bronił się doskonale sam. Jego żar nakazywał uszanowanie nawet najśmielszym. Zaledwie można było przystąpić do niego na jeden metr bliżej niż wczoraj. W ten sposób p. de Schnack

mógł dopiero za kilka miesięcy objąć meteor w posiadanie w imieniu Grenlandji.

Bądź co bądź, nakazano strzec meteor. Skoro chodzi o pięć tysięcy siedmset ośmdziesiąt ośm miliardów, czyż ostrożność mogłaby być zbyt wielką?

Na prośbę p. de Schnack'a jeden okręt wyruszył do stacji telegraficznej, aby podać wielką nowinę całemu światu. Za czterdzieści ośm godzin wszyscy będą o niej wiedzieli. Czy to nie popycha planów p. Lecoeur? W żadnym razie. Atlantic wyruszył o dwadzieścia cztery godzin wcześniej, a zważywszy nieporównaną jego szybkość, bankier miał do rozporządzenia trzydzieści sześć godzin, a to wystarczy, aby zakończyć pomyślnie transakcję.

Jeżeli rząd grenlandzki zadowolił się pięćdziesięciu ludźmi, do jakiego stopnia musiał być zadowolonym, stwierdzając, że po południu liczba ta wzrosła do siedmdziesięciu.

Okolo południa pewien krążownik stanął w porcie Upernivik. Na jego maszcie powiewała flaga gwiazdzista Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zaledwie zarzucił kotwicę, dwudziestu ludzi pod komendą oficera wysiadło z niego, udając się na posterunek w bliskości meteoru.

Widząc załogę zwiększoną, p. de Schnack nie wiedział, czy ma się smucić, czy cieszyć. Wzmocniona straż przy cennym meteorze była mu na rękę, ale wylądowanie uzbrojonych marynarzy amerykańskich zaniepokoiło go wielce. Oficer, do którego się był zwrócił, nie mógł go objaśnić w tym

względzie. Był posłuszny rozkazom swej władzy i nic więcej nie wiedział.

P. de Schnack postanowił wyrazić swe żale dowódcy krążownika, ale gdy chciał skutecznie swój zamiar znaleźć się w nowym kłopotcie.

W ciągu nocy przybył drugi krążownik, tym razem angielski. Dowódca dowiedziawszy się, że meteor spadł, wysadził na ląd na wzór amerykańskiego kolegi dwudziestu marynarzy, którzy pod komendą drugiego oficera udali się przyśpieszonym krokiem w kierunku północno-zachodnim wyspy.

P. de Schnack zaniepokoił się na dobre. Co to miało znaczyć? A niepokój jego, w miarę jak czas upływał, narażony był na ciężkie próby. Po południu zarzucił kotwicę trzeci krążownik o fladze trójkolorowej: a w dwie godziny później dwudziestu marynarzy francuskich pełniło straż przy meteorze.

Okoliczności wikłały się coraz bardziej. W nocy z 21 na 22 przybył krążownik rosyjski. Później 22 za dnia przybyły kolejno statki japoński, włoski, i niemiecki. Nazajutrz 23-go argentyński i hiszpański wyprzedziły na małą odległość statek chilijski, za którym sunęły portugalski i holenderski.

25 sierpnia szesnaście statków wojennych, w tej liczbie *Atlantic*, który już powrócił, tworzyły w porcie Uperniviku eskadrę międzynarodową, jakich jeszcze nie widziały te strony podbiegunowe. A przecież każdy wysłał na ląd dwudziestu ludzi pod dowództwem oficera, przeto trzystu dwudziestu marynarzy i szesnastu oficerów różnych narodowości

pilnowało gruntu, którego pięćdziesięciu żołnierzy grenlandzkich pomimo całej ich odwagi, nie mogłoby obronić.

Każda załoga przynosiła nowe wiadomości, wiadomości te zaś nie musiały być pomyślne, sądząc po następstwach. O ile było pewne, że konferencja międzynarodowa odbywa swe posiedzenia, o tyle niemniej było pewnem, że czyni to tylko dla formy. Obecnie decyzja należała do dyplomacji... dopóki — dodawano poufnie — nie rozstrzygną jej działa. Wymiana zdań w ministerjach dokonywała się z pewnem podnieceniem, niepozbawionem niechęci.

Wraz ze zwiększaniem się liczby okrętów zwiększał się również niepokój. Nie było żadnej pewności, ale głuche pogłoski chodziły po sztabach, po załogach, i stosunki zaostrzały się z dnia na dzień między wojskami okupacyjnymi.

Jeżeli z początku komodor amerykański zaprosił był do swego stołu kolegę angielskiego, a ten, odpowiadając na jego grzeczność, ze swej strony korzystał ze sposobności, ażeby okazać swą życzliwość komendantowi krążownika francuskiego, to obecnie rzeczy się miały inaczej. Każdy siedział zamknięty u siebie, wypatrując, z której strony nadciągnie wiatr, zwiastun przyszłych burz, ażeby do tego zastosować swoje postępowanie.

Przez ten czas Zefiryn Xirdal nie przestawał się gniewać. Pana Lecoeur aż uszy bolały od tych jego ciągłych oskarżeń, napróżno wszakże przemawiał do jego zdrowego rozsądku.

— Musisz wkońcu zrozumieć, kochany Zefirynie, że p. de Schnack ma słuszość, twierdząc, iż to niepodobieństwo pozostawić w rękach jednej istoty sumy tak olbrzymiej. Jest rzeczą naturalną, że narzucają jej pośrednictwo. Ale pozwól mi działać. Skoro minie pierwsze wzruszenie, ja z kolei wdam się w tę sprawę i jestem głęboko przekonany, że nie odmówią nam uznania większej części naszych praw. Cośkolwiek otrzymam, nie ulega wątpliwości.

— Cośkolwiek! — oburzał się Xirdal. — Nie obchodzi mnie wcale to twoje cośkolwiek. Cóż począłbym z tem złotem? Czyż ono mi jest potrzebne?

— A zatem — odezwał się p. Lecoeur — dlaczego się tak przejmujesz?

— Dlatego, że meteor do mnie należy. Oburzam się, że chcą mi go zabrać. Nie zniosę tego.

— I cóż poczniesz wobec całego świata, mój biedny Zefirynie?

— Nie wiem. Ale cierpliwości!... Już jak ten osobnik w postaci delegata odważył się rościć sobie prawa do mojego meteoru, było to wstrętne. A cóż powiedzieć dzisiaj?... Dziś, ile państw, tyle złodziei. Nie mówiąc już o tem, że będą z sobą walczyły, o ile mi wiadomo... Do djaska, czy nie lepiejbym był zrobił, zostawiając go w przestworzu! Zdawało mi się, że będzie to nielada farsa, jeżeli go ściągnę na ziemię. Sprawa ta zajęła mnie... gdybym był wiedział! — Biedne człeczyny, nie

mające dziesięciu s o u s w kieszeni, chcą teraz walczyć o miljardy!... Mów sobie co chcesz, a jest to coraz bardziej wstrętne.

Xirdal nie dał się przekonać.

W każdym razie nie miał słuszności gniewać się na p. de Schnack'a. Biedny delegat, mówiąc między nami, nie miał się również z czego cieszyć. To opanowanie terytorjum grenlandzkiego nie było rzeczą wesołą, a horoskopy majątkowe republiki opierały się na bardzo kruchych podstawach. Co miał jednakże począć? Czyż mógł przy pomocy swoich pięćdziesięciu ludzi wrzucić do morza trzystu dwudziestu marynarzy obcych, zbombardować, wysadzić w powietrze lub zatopić szesnaście tych olbrzymów opancerzowanych, które go otaczały?

Nie, oczywiście nie mógł. Ale to, co mógł uczynić, a przynajmniej co był powinien, to zaprotestować w imieniu swego kraju przeciw zgwałceniu ojczystej ziemi.

Pewnego dnia, kiedy komendanci angielski i francuski udali się wspólnie na zwiedzenie lądu, p. de Schnack, korzystając ze sposobności, zażądał od nich objaśnień i zadał im kilka pytań w półurzędowym charakterze, których dyplomatyczne umiarkowanie nie wykluczało gwałtownych porywów.

Odpowiedzi udzielił angielski komodor.

— P. de Schnack — mówił on — nie powinien mieć powodu do niepokoju. Komendanci okrętów w porcie stosują się tylko do rozkazów swych władz. Nie jest ich rzeczą dyskutowanie lub zastanawianie się nad

rozkazami, ale tylko ich wykonanie. Przypuszczają jednak, że pobyt obcych wojsk na terytorjum grenlandzkim nie ma innego celu, prócz utrzymania porządku wobec napływu ciekawych, istotnie znacznego, przewidywano zaś go jeszcze znaczniejszym. Co więcej, p. de Schnack powinien być o tyle spokojniejszy, że sprawa cała podlega dopiero badaniu i że prawa każdego będą zarówno uszanowane.

— Zupełnie słuszne — dodał komendant francuski.

— Ponieważ wszystkie prawa będą uszanowane, będę zatem mógł bronić swoich — zawołał nagle jeden z obecnych, przerywając bez ceremonji rozmowę.

— Z kim mam zaszczyt? — spytał komodor.

— Mr. Dean Forsyth, astronom z Whastonu, prawdziwy ojciec, prawowity właściciel meteoru — odpowiedział zagadnięty z powagą, podczas gdy p. de Schnack wzruszał lekko ramionami.

— Ach, bardzo dobrze! — odrzekł komodor. — Pańskie nazwisko jest mi doskonale znane, mr. Forsyth.... Ależ oczywiście, jeżeli masz jakie prawa, dlaczego nie miałbyś się upominać o nie.

— Prawda? — zawołał inny z obecnych. — A co ja mam powiedzieć o swoich? Czyż to nie ja, doktor Hudelson, nie ja pierwszy dałem znać światu o zjawieniu się meteoru?

— Pan!... — zaprzeczył mr. Dean Forsyth, obracając się nagle, jak gdyby go żmija ukąsiła.

— Ja.

— Szarlatan z przedmieścia będzie rościł sobie prawa do takiego odkrycia.

— Jak również ignorant pańskiego gatunku.

— Fanfaron, który nie wie nawet, z jakiej strony patrzeć trzeba przez lunetę!

— Kpiarz, który nie widział nigdy teleskopu.

— Ignorant, ja!...

— Ja szarlatan!...

— Nie o tyle jestem ignorantem, ażeby nie umiał zdemaskować szalbierza.

— Nie o tyle jestem szarlatanem, ażeby nie znalazł środka na złodzieja.

— Tego już za wiele! — krzyknął głosem zdławionym mr. Dean Forsyth, kipiąc cały. — Niech się pan strzeże!

Dwaj współzawodnicy, rzucając na siebie złowieszcze spojrzenia, wygrażali sobie pięściami, i zająście to miałoby opłakany koniec, gdyby nie pośrednictwo Francisa i Jenny, którzy się rzucili między walczących.

— Wuju! — wołał Francis Gordon, wstrzymując go silną ręką.

— Ojcie... błagam cię.. Ojcie — błagała Jenny cała we łzach.

— Kto są ci dwaj opętani? — spytał Zefiryn Xirdal mr. Seth Stanford'a, około którego znalazł się przypadkiem podczas tej tragi-farsy.

W podróży nie obowiązuja względy światowe, przeto mr. Stanford odpowiedział bez ogródki nie-

znajomemu, który również go w ten sposób zagadnął:

— Niepodobna, żebyś pan nie słyszał o Dean Forsyth'cie i o doktorze Sydney Hudelson'ie.

— Dwu astronomach z Whastonu?

— Właśnie.

— Ci, którzy odkryli meteor?

— Ci sami.

— O cóż się tak sprzecają?

— Nie mogą się zgodzić o pierwszeństwo odkrycia.

Zefiryn Xirdal wzruszył pogardliwie ramionami.

— Jest też o co! — rzekł.

— I obaj upominają się o swe prawa do meteoru — odezwał się mr. Seth Stanfort.

— Pod pozorem, że obaj spostrzegli go przypadkiem na niebie?

— Tak jest w istocie.

— Nie brak im odwagi — oświadczył Zefiryn Xirdal. — Ale co znaczą w tem wszystkim ten młodzieniec i ta panna?

Mr. Seth Stanfort objaśnił go z całą uprzejmością. Opowiedział, jakie okoliczności spowodowały zerwanie dwojga narzeczonych i jaka niedorzeczna zazdrość i jaka silna nienawiść, dzieląc rodziny, złała ich czule i wzruszające przywiązanie.

Zdawało się, iż Xirdal był tem mocno przejęty. Spoglądał w ten sposób, w jaki badał zja-

wiska, na mr. Dean Forsyth'a i na powstrzymującego go Francis Gordon'a, na Jenny Hudelson, obejmującą swemi słabemi ramionami rozjątrzonego ojca. Skoro mr. Seth Stanfort skończył swoje opowiadanie, Zefiryn Xirdal, nie podziękowawszy mu wcale, krzyknął doniosłym głosem: „Tego już za wiele!” i oddalił się wielkimi krokami. Opowiadający flegmatycznie powiódł wzrokiem za oddalającym się oryginałem i wrócił do mrs. Arkadji Walker, wyjątkowo opuszczonej podczas tej krótkiej rozmowy.

Tymczasem Zefiryn Xirdal nie mógł przyjść do siebie. Ruchem gwałtownym otworzył drzwi domku.

— Wuju — rzekł do pana Lecoeur, który zerwał się na ten gwałtowny okrzyk — oświadczam, że to już jest zbyt wstrętne.

— Cóż znów nowego? — zapytał p. Lecoeur.

— Meteor. Zawsze ten przeklęty meteor!

— Cóż zrobił ten meteor?

— Zabiera się poprostu do spustoszenia ziemi. Już zliczyć nie można jego niecných postępów. Nietylko że zmienił wszystkich tych ludzi w złodziei, lecz zamierza wywołać krwawe zaburzenia w świecie całym, siejąc wszędzie niezgodę i walkę. I to nie wszystko jeszcze. Czy nie pozwolił sobie poróżnić narzeczonych? Idź, wuju, zobacz tę panienkę, a przekonasz się o tem. Wzruszyłaby słup przydrożny. Wszystko to ostatecznie jest zbyt wstrętne.

— Co za narzeczeni? O jakiej panience mówisz? Cóż za nowe urojenie? — spytał p. Lecoeur osłupiały.

Zefiryn Xirdal nie raczył odpowiedzieć.

— Tak, to jest zbyt wstrętne — podjął z gwałtownością. — Ach, co nie, to nie! Tak dalej iść nie może. Potrafię pogodzić wszystkich i to na dobre!

— Co za głupstwo zamierzasz, Zefirynie?

— Zaiste, nie jest to tak trudne. Poprostu wpakuję ten ich meteor do wody.

P. Lecoeur zerwał się na równe nogi. Twarz jego zbladła pod naciskiem gwałtownego wzruszenia. Ani na chwilę nie pomyślał, że Xirdal mówi pod wpływem gniewu i że nie jest władny urzędywistnić swych groźb. Dał dowód, jak daleko sięga jego władza. Po nim należało spodziewać się wszystkiego.

— Nie uczynisz tego, Zefirynie — zawołał p. Lecoeur.

— Przeciwnie, uczynię. Nic mnie nie powstrzyma. Dość mam już tego i wezmę się zaraz do dzieła.

— Ależ nie pomyślisz nieszczęsny...

W tej chwili p. Lecoeur przerwał. Myśl genialna, świetna, szybka jak błyskawica, zrodziła się nagle w jego głowie. Niewiele czasu potrzeba było dla tego dowódcy walk pieniężnych, aby uprzytomnić sobie wszystkie jej dodatnie i ujemne strony.

— W samej rzeczy! — wyszeptał.

Nowy wysiłek myśli potwierdził trafność projektu. Zwrócił się tedy do Zefiryna Xirdal'a.

— Nie będę cię dłużej powstrzymywał — rzekł wręcz — jak człowiek, dla którego każda minuta jest godziną. — Chcesz wrzucić meteor do morza? Dobrze. Ale nie mógłbyś mi darować kilku dni?

— Jestem zmuszony — zawołał Xirdal. — Muszę poddać maszynę całkowitej zmianie, żądając od niej nowego działania. Zmiany te zajmą mi od pięciu do sześciu dni.

— To znaczy do 3 września.

— Tak.

— Bardzo dobrze — rzekł p. Lecoeur i wyszedłszy, szybko podążył w stronę Uperniviku, podczas gdy chrzestny jego syn zasiadł do pracy.

Nie tracąc czasu, p. Lecoeur kazał się zawieść na *Atlantic*, nad którym ukazały się niebawem kłęby dymu. W dwie godziny później jego właściciel wracał na ląd; *Atlantic* zaś, płynąc całą siłą pary, znikł wkrótce z horyzontu.

Jak wszystko, co genialne, plan p. Lecoeur był zadziwiająco prosty.

Mając przed sobą dwa wyjścia: albo dać znać o zamysłach swego chrzestnego syna wojsku międzynarodowemu i udaremnić jego działanie, albo pozostawić rzeczy swemu biegowi, p. Lecoeur wybrał drugie.

W pierwszym razie liczyć mógł na wdzięczność zainteresowanych rządów. Udzielonoby mu niezawodnie pewnej części skarbu, który ocalał dzięki jego pośrednictwu. Ale jaka będzie ta część? Śmiesznie mała zapewne i jeszcze bardziej nikła wskutek zmniejszenia wartości złota, spowodowanego olbrzymim napływem tego metalu.

Jeżeli zaś przeciwnie zachowa milczenie, to nie tylko, że zniweczy w zarodku wszelkie klęski, których przyczyną może stać się ta szkodliwa masa złota, jak potok niszczycielski ogarniająca całą powierzchnię kuli ziemskiej, ale uniknie wielu nieprzyjemności osobistych, a wzamian zapewni sobie wielkie korzyści. Tajemnica, która przez pięć dni będzie wyłączną jego własnością, wielce może mu się przydać. Dość mu będzie wysłać za pośrednictwem Atlanticu nową depeszę pod adresem ulicy Drouot, w której znajdą się następujące słowa: „Niespodziewane zdarzenie nastąpi. Kupujcie kopalnie w nieograniczonej ilości.”

Rozkaz ten był łatwy do spełnienia. Upadek meteoru był znany wszystkim, akcje więc kopalni złota musiały spaść do minimum. Bez wątplenia sprzedawano je po cenach najniższych i bez wahania. Co za sensacja, jak się dowiedzą o katastrofie! Z jaką szybkością będą szły w górę ku korzyści szczęśliwego nabywcy.

Powiedzmy zaraz, że p. Lecoeur trafnie przewidział. Depesza doszła do rue Drouot i została ściśle wykonana. Bank Lecoeur wykupił w dwa

dni wszystkie akcje kopalni złota, płacąc za nie gotówką.

Co za żniwo zebrał w przeciągu dwu dni! Akcje małych kopalni po kilka centymów za sztukę; kopalni niegdyś kwitnących po dwa lub trzy franki, kopalni pierwszorzędných po dziesięć lub dwanaście, wszystko kupował bez różnicy.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin pogłoska o tych zakupach zaczęła się rozchodzić po całym świecie i sprawiła wielkie wrażenie. Bank Lecoeur, firma poważna i znana ze swych udatnych obrotów, nie mogła lekkomyślnie poszukiwać akcji tego rodzaju. Coś kryło się pod tem. Takie było ogólne wrażenie, i akcje podniosły się znacznie.

Było już za późno. P. Robert Lecoeur posiadał przeszło połowę produkcji złota na całym świecie.

Podczas tych wydarzeń w Paryżu, Zefiryn Xirdal przy pomocy narzędzi, które z sobą był zabrał, przerabiał swoją maszynę. Nazewnątrż dodał rurki osobliwego kształtu w ognisku dwu nowych reflektorów. W terminie wyznaczonym 3 września wszystko było gotowe, i Zefiryn Xirdal rozpoczął swą działalność.

Obecność chrzestnego ojca zapewniała mu wyjątkowo rzeczywiste audytorjum. Była to jedyna sposobność do popisania się swą wymową. Nie o mieszkął z tego skorzystać.

— Maszyna moja — mówił, zamykając obwód elektryczny — nie zawiera w sobie nic tajemniczego ani djabelskiego. Jest to poprostu transfor-

mator. Otrzymuje elektryczność w zwykłej formie, oddaje zaś ją w udoskonalonej postaci, odkrytej przeze mnie. Ta rurka, którą widzisz i która zaczyna wirować jak szalona, jest tą, która posłużyła mi do przyciągnięcia meteoru. Przy pomocy reflektora, w którego ognisku jest położona, wysyła ona w przestrzeń prąd osobliwego gatunku, nazwany przeze mnie prądem śrubowym obojętnym. Jak to wskazuje jego nazwa, porusza się tak, jak śruba. Z drugiej strony ma własność gwałtownego odpychania wszelkiego ciała materialnego, z którym się zetknie. Całokształt jego zwojów tworzy walec wydrążony, skąd powietrze, jak każda inna materja, jest usunięte, tak że wewnątrz tego walca nie ma nic. Czy rozumiesz, wuju, znaczenie tego słowa nic? Czy zdajesz sobie sprawę, że wszędzie w całej nieskończonej przestrzeni jest coś, a tylko ten mój niewidzialny walec, który wśrubowuje się w atmosferę, jest przez chwilę jedynym punktem we wszechświecie, w którym nie ma nic. Chwila bardzo krótka, krótsza niż trwanie błyskawicy. To miejsce, w którym panuje bezwzględna próżnia, jest wyjściem, przez które wydobywa się gwałtownymi falami niezniszczalna energia, którą więzi i skupia kula ziemską w grubych komórkach materji. Moja rola ogranicza się tylko do zniszczenia tej przeszkody.

P. Lecoeur, zaciekawiony, skupiał całą swą uwagę, ażeby nie stracić wątku tego zajmującego opowiadania.

— Jedyną rzeczą nieco trudniejszą jest ustalenie długości fali prądu śrubowego obojętnego. Jeżeli dotknie się przedmiotu podlegającego jego działaniu, to zamiast go przyciągać, będzie go odpychał. Należy więc, aby się kończył na pewnej odległości od przedmiotu, ale, o ile to podobna, najbliższej, w ten sposób, ażeby energia wyzwolona promieniowała w jego bezpośrednim sąsiedztwie.

— Ale żeby pchnąć meteor w morze, trzeba go odpychać, nie zaś przyciągać — zauważył p. Lecoœur.

— Tak i nie — odpowiedział Zefiryn Xirdal. — Uważaj dobrze, wuju. Znam odległość, jaka nas dzieli od meteoru. Odległość ta wynosi pięćset jedenaście metrów, czterdzieści ośm centymetrów. Ustalam siłę mego prądu stosownie do tego.

Mówiąc to, Xirdal manewrował opornikiem włączonym w obwód między źródłem elektrycznym a maszyną.

— Już zrobione — ciągnął dalej. — Obecnie prąd zatrzymuje się o niecałe trzy centymetry od meteoru, od strony jego wypukłości północno-wschodniej. Energia wyzwolona otacza go na tej powierzchni silnem promieniowaniem. To wszakże nie wystarczyłoby może, ażeby poruszyć masę tak ściśle przylegającą do gruntu. To też dla większej ostrożności użyję dwu innych dodatkowych sposobów.

Xirdal sięgnął ręką wewnątrz maszyny. Natychmiast jedna rurka zaczęła wirować zapamiętale.

— Niech wuj zauważy, że ta rurka wiruje inaczej niż tamta. Bo też jej działanie jest innego rodzaju. Prądy, które wydziela, są osobliwe. Nazwijmy je, jeżeli chcesz, prądami obojętnymi, prostolinijnymi, aby je odróżnić od poprzednich. Długość tych prądów nie potrzebuje być ustalona. Dążyłyby niewidzialnie w nieskończoność, gdybym ich nie skierował na wypukłość południowo-zachodnią meteoru, który je zatrzymuje. Nie radzę ci stanąć na ich drodze. Przewróciłbyś się niechybnie. Ale wróćmy do rzeczy. Czem są te prądy prostolinijne? Niczem innym tylko, na podobieństwo prądów śrubowych i zresztą wszelkich innych prądów elektrycznych, jak dźwięk, ciepło, jak światło nawet, ruchem cząsteczek materialnych w ich stopniu najbardziej uproszczonym. Będiesz miał pojęcie o małym rozmiarze tych cząsteczek, skoro ci powiem, że uderzają na powierzchnię masy złotej, w którą się wciskają w liczbie siedmiuset pięćdziesięciu milionów na sekundę. Jest to więc prawdziwe bombardowanie, w którym ciężar pocisków jest zastąpiony przez nieskończoną ich liczbę i szybkość. Łącząc ten nacisk z przyciąganiem, działającym na drugą stronę bryły, można otrzymać wynik zadowalający.

— A jednak meteor nie porusza się — zauważył p. Lecoœur.

— Poruszy się — zapewnił spokojnie Xirdal. — Trochę cierpliwości. Zresztą oto co nam pomoże. Z trzeciego reflektora wysyłam inne pociski ato-

mowe, skierowane nie na sam meteor, lecz na grunt, na którym spoczywa od strony morza. Zobaczysz, jak ten grunt usuwać się będzie powoli i przy pomocy siły ciężkości, meteor zacznie staczać się po pochyłości.

Zefiryn Xirdal zanurzył znów rękę w maszynę. Trzecia rurka zadrgała z kolei.

— Patrz uważnie, wuju — powiedział. — Zdaje mi się, że się zabawimy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY,

który może wzbudzi żal w czytelniku, ale który napisany został przez autora, szanującego prawdę historyczną, tak jak ją podadzą w przyszłości kroniki astronomiczne.

Okrzyki pojedyncze złączyły się w jeden okrzyk, i był to jak gdyby ryk, wydobywający się z tłumu na widok pierwszego poruszenia się masy złotej.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jedną stronę. Co się stało? Byłaż to halucynacja? czy też meteor poruszył się istotnie? W takim razie jakaż była tego przyczyna? Czyż grunt miałby się uginać powoli i skarb miałby się pograżyć w otchłani?

— Byłoby to osobliwe rozwiązanie sprawy, która wstrząsnęła światem — zauważyła mrs. Arkadja Walker.

— Rozwiązanie, które nie byłoby może najgorsze — odpowiedział mr. Seth Stanfort.

— Które byłoby najlepsze — dodał Francis Gordon.

Nie, nie pomyłono się. Meteor usuwał się powoli w stronę morza. Nie można było już wątpić, że ziemia usuwa się stopniowo. Jeżeli ten ruch nie ustanie, kula złota stoczy się na brzeg płaskowzgórza i zniknie w głębiach morskich.

Zapanowało ogólne osłupienie, połączone z pewnego rodzaju pogardą dla tej ziemi, niegodnej tak cudownego ciężaru. Jaka szkoda, że meteor spadł na tę wyspę, nie zaś na niewzruszone bazaltowe wybrzeża grenlandzkie, gdzie te tysiące miliardów nie byłyby narażone na stracenie dla chciwej ludzkości!

Tak, meteor usuwał się. Może to tylko kwestja godzin, a może minut, jeżeli grunt rozpadnie się nagle pod swym olbrzymim ciężarem.

Wśród tych okrzyków, wywołanych nieodwołalnością nieszczęścia, najdonioślejszym był okrzyk p. de Schnack'a:

— Żegnaj, jedyna sposobności wzbogacenia mojego kraju! Żegnaj, marzenie wzbogacenia wszystkich obywateli Grenlandji!

Co zaś do mr. Dean Forsyth'a i doktora Hudelson'a, to należało się obawiać o stan ich umysłu. Wyciągali rozpaczliwie ramiona, wołali na pomoc, jak gdyby można było śpieszyć z pomocą.

Silniejszy ruch meteoru wytrącił ich zupełnie z równowagi. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża, doktor Hudelson, przerwawszy kordon straży, rzucił się w stronę masy złotej.

Niedaleko zaszedł. Przytłoczony upalną atmosferą, zachwiał się, przeszedłszy sto kroków, i runął na ziemię.

Mr. Dean Forsyth powinien się być cieszyć: zniknięcie współzawodnika usuwało wszelkie współzawodnictwo. Ale mr. Dean Forsyth, zanim został astronomem, był dzielnym człowiekiem, wzruszenie

zaś, które go ogarnęło, wróciło mu prawdziwą jego naturę. Jego nienawiść sztuczna znikła, jak znika niepokojący sen po przebudzeniu, i zostało w jego sercu tylko wspomnienie dawnych chwil. To też mr. Dean Forsyth, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, odruchowo — niech to będzie jego chwałą — zamiast cieszyć się śmiercią przeciwnika, widząc go w niebezpieczeństwie pobiegł odważnie na pomoc dawnemu przyjacielowi.

Siły jego nie były wszakże tak wielkie jak odwaga. Zaledwie dobiegł do doktora Hudelson'a, zaledwie zdążył go odciągnąć na kilka metrów wtył, gdy upadł przy nim nieprzytomny, dusząc się również żarem, promieniującym z meteoru.

Na szczęście Francis Gordon rzucił się ku niemu, a mr. Seth Stanfort nie zawahał się podążyć za nim. Niewątpliwie nie było to obojętnem dla mrs. Arkadji Walker.

— Seth!... Seth! — wołała instynktownie, jak gdyby przerażona niebezpieczeństwem, na jakie się narażał jej dawny mąż.

Francis Gordon i Seth Stanfort w towarzystwie kilku odważniejszych widzów musieli czołgać się po ziemi, pełzać z chustką na ustach, tak duszące było powietrze. Nareszcie dotarli do mr. Forsyth'a i doktora Hudelson'a. Podnieśli ich i odciągnęli aż do granicy, której nie można było przekroczyć, nie narażając się na spalenie.

Na szczęście dwie te ofiary nieostrożności zostały uratowane. Dzięki staraniom, których im nie

szczędzono, wrócili do przytomności, ale niestety! ażeby patrzeć na ruinę swych nadziei.

Meteor usuwał się powoli, popychany swym własnym ruchem na skutek uginania się powierzchni gruntu pod wpływem jego ciężaru. Jego środek ciężkości zbliżał się do brzegu urwiska, pionowo zanurzającego się w morzu.

Wzruszenie było tak wielkie, że wielotysięczny okrzyk dał się słyszeć wśród tłumu. Biegano we wszystkich kierunkach bez żadnego określonego celu. Mr. Seth Stanfort i mrs. Arkadja Walker podążyli z całą szybkością wraz z innymi w stronę morza, ażeby nie stracić najmniejszego szczegółu ze zbliżającej się katastrofy.

Na chwilę jednak błysła nadzieja. Masa złota zatrzymała się...

Ale była to tylko chwila. Nagle rozległ się przeraźliwy trask... Skała ustąpiła i meteor znikł pod powierzchnią wody.

Jeżeli echo wybrzeża nie rozniosło rozdzierającego okrzyku tłumu, to dlatego, że zagłuszył go wybuch silniejszy niż uderzenie piorunu. Nagle niby lawina zerwał się gwałtowny prąd powietrza, przewracając do jednego wszystkich widzów.

Nastąpił wybuch meteoru. Woda, przenikając przez tysiączne otwory powierzchni do niezliczonej ilości komórek tej złotej gąbki, zamieniła się natchmiast w parę przy zetknięciu się z rozpalonym metalem, i meteor wybuchnął jak kocioł rozsadzony.

Szczątki meteoru w kształcie snopów padały na fale wśród ogłuszających świstów.

Morze uniosło się pod gwałtownem ciśnieniem wybuchu. Olbrzymia fala parła na wybrzeże i zalalała je z nieprzewyciężoną siłą. Strach ogarnął nieostrożnych, którzy zbliżyli się zbyt do brzegu, a ratując się ucieczką, starali się dobiec do szczytu pochyłości.

Nie wszyscy jednak mieli ją osiągnąć. Pchnięta przez kilku z towarzyszy, zmienionych w dzikie zwierzęta pod wpływem strachu, mrs. Arkadja została porwana przez falę i przewrócona. Jeszcze chwila — a powrotna fala uniosłaby ją z sobą.

Ale mr. Seth Stanford czuwał. Pomimo że ocalenie wydało mu się prawie niemożliwem, nie namyślając się, pobiegł z pomocą w warunkach tak trudnych, że należało się spodziewać dwu ofiar zamiast jednej...

Stało się jednak inaczej. Dobiegł do młodej kobiety i opierając się całą siłą o skałę, zdołał przeciwstawić się napierającej fali. Turyści podążyli im na pomoc i odciągnęli wtył. Byli ocaleni.

Mr. Seth Stanford nie stracił przytomności, ale mrs. Arkadja Walker okazała się mniej wytrzymałą. Usilne starania wszakże przywróciły ją do życia. Pierwsze jej słowa były zwrócone do dawnego męża.

— Przeznaczonem było, aby pan ocalił mi życie — rzekła, ściskając jego rękę i patrząc na niego z tkliwą wdzięcznością.

Meteor zaś, mniej szczęśliwy od mrs. Arkadji Walker, nie mógł uniknąć swego losu! Niedostępne dla ludzi szczątki jego spoczywały w głębiach morskich. Gdyby nawet przy niesłychanych wysiłkach zdołano dostać się do tej masy złota, nie na wieleby się to przydało. Jądro rozerwane przez wybuch rozprysło się na wszystkie strony w morzu. P de Schnack, mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson na próżno szukali po całym wybrzeżu bodaj cząsteczki. Znikły do ostatniego centyma nęcące pięć tysięcy siedmset ośmdziesiąt ośm miliardów. Z niezwykłego meteoru nie pozostało nic.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY I OSTATNI,

stanowiący epilog tego opowiadania, a w którym mr. John Proth'owi, sędziemu z Whastonu, przysługuje ostatnie słowo.

Tłum, zaspokoiwszy swą ciekawość, zbierał się do odjazdu.

Czy był zadowolony? Tego na pewno twierdzić nie można. Tego rodzaju rozwiązanie warteż było kosztów podróży? Patrząc na meteor z odległości co najmniej czterechset metrów, to zbyt mała pociecha! Ale trzeba było się nią zadowolić.

Czy można było przynajmniej ludzię się nadzieją, że w przyszłości drugi złoty meteor pojawi się na horyzoncie?... Nie. Wypadek tego rodzaju nie zdarza się dwa razy. Zapewne mogą istnieć w przestworzu inne meteory złote, ale możliwość dostania się ich w obręb przyciągania ziemi jest tak słabą, iż nie można brać jej pod uwagę.

Zresztą może to i dobre. Sześć tryljonów złota, rzuconych w obieg, obniżyłoby znacznie wartość tego metalu, tak wstrętnego dla niektórych, dla tych co go nie mają, lecz tak cennego według twierdzenia wszystkich innych! Nie należało więc żałować tego meteoru, który nietylko że podmi-



. . . obaj przeciwnicy . . . przechadzali się pod rękę
w pierwszej kwadrze miodowego miesiąca ich odnowionej
przyjaźni . . . Str. 297.



nowałby rynek handlowy, ale byłby wywołał wojnę na całej powierzchni ziemi.

Jednakże zainteresowani tem rozwiązaniem mieli prawo uważać się za rozczarowanych. Z jakim żalem mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson oglądali miejsce, gdzie nastąpił wybuch ich meteoru! Ciężko było wracać nie unosząc z sobą ani kawałka tego złota niebieskiego, nawet tak małego, ażeby mógł służyć jako szpilka do krawatu lub spinka do mankietów, nawet ziarnka żadnego, które możnaby schować na pamiątkę, przypuściwszy, że p. Schnack nie opomniałby się o nie dla swego kraju.

W t m wspólnem strapieniu obaj przeciwnicy zapomnieli zupełnie o swem dawnem współzawodnictwie. Czyż mogło być inaczej? Czy można przypuścić, żeby doktor Hudelson żywił urazę do tego, który naraził swe życie, aby go ocalić?

A z drugiej strony nie jestże to czysto ludzkim objawem, że mr. Dean Forsyth był życzliwie usposobiony dla człowieka, dla którego o mało nie poświęcił życia? Zniknięcie meteoru zresztą, samo przez się, pojednałoby ich prędzej czy później: meteor nieistniejący niewart był, ażeby się o niego spierano.

Czy myśleli o tem obaj przeciwnicy? Czy zdawali sobie sprawę, o ile spóźnionemi były ich szlachetne porywy, podczas gdy świadcząc o swej bezinteresowności, przechadzali się pod rękę w pierwszej kwadrze miodowego miesiąca ich odnowionej przyjaźni?

— Wielkie to nieszczęście — mówił doktor Hudelson — że meteor Forsyth'a zatonął.

— Meteor Hudelson'a — poprawiał mr. Dean Forsyth. — Do ciebie należał, drogi przyjacielu.

— Bynajmniej — zaprzeczał doktor. — Twoja obserwacja poprzedziła moją.

— Nastąpiła po niej.

— Co nie, to nie. Brak ścisłości w mojej odezwie do Obserwatorjum w Cincinnati jest najlepszym tego dowodem. Zamiast napisać jak ty, drogi przyjacielu, od tej godziny do tej godziny, napisałem między tą godziną a tą godziną. Wielka to różnica!

Nie chciał ustąpić kochany doktor, lecz i mr. Dean Forsyth nie ustępował. Stąd nowe spory, tym razem jednak nieszkodliwe.

Zwrot ten wzruszający niepozbawiony był wszelako komizmu. Nie pobudzał jednak do śmiechu Francis Gordon'a, który powrócił do urzędowego tytułu narzeczonego swej drogiej Jenny. Młodzi ludzie korzystali jak mogli z pogody, która zawiatała po tylu burzach, wynagradzając sobie czas stracony.

Okręty wojenne i inne statki podniosły kotwicę 4 września, kierując się ku południowi.

Ze wszystkich podróży, którzy swą obecnością wnieśli tyle ożywienia w te strony podbiegunowe, został tylko p. Robert Lecoœur i jego pseudo-siostrzeniec, zmuszeni oczekiwać na przyjazd Atlantica. Jacht powrócił dopiero nazajutrz. P. Le-

coeur i Zefiryn Xirdal wyruszyli niebawem. Dość im się dał we znaki ten dodatkowy pobyt dwudziestoczterogodzinny na wyspie Upernivik!

Nie dość, że ich domek z desek zburzony został przez nagłe i silne podniesienie się wody, lecz nocując na świeżem powietrzu, w najopłakańszych warunkach, bez ciepłego przykrycia, przemokli i zmarzli do kości. Słabe słońce podbiegunowe bowiem nie nadawało się do dokładnego wysuszenia odzieży. Okrutne morze zabrało im wszystko, nawet walizkę i przyrządy Zefiryna Xirdal'a. Nieboszczką już wierna luneta, przez którą tyle razy badał meteor w przestworzu! Nieboszczką również maszyna, która przyciągnęła meteor na ziemię, ażeby go pograżyć w otchłaniach wodnych.

P. Lecoeur nie mógł się uspokoić po zniszczeniu tego cudownego aparatu. Xirdal przeciwnie, śmiał się z tego. Potrafił zbudować jedną maszynę, dlaczegożby nie miał zbudować drugiej, ulepszonej jeszcze?

Oczywiście, że byłby potrafił. Niestety! nie pomyślał o tem nigdy. Jego chrzestny ojciec naglił go napróżno do tej pracy. Odkładał ją z dnia na dzień, aż doczekawszy się sędziwego wieku, zabrał swą tajemnicę do grobu.

Musimy się z tem zgodzić, że ta cudowna maszyna na wieki jest stracona dla ludzkości i że jej zasada pozostanie na zawsze nieznana, o ile nowy Zefiryn nie zjawi się po raz wtóry na ziemi.

Słowem, Zefiryn Xirdal wracał z Grenlandji biedniejszym, niż gdy do niej przybył. Nie mówiąc już o przyrządach i bogatej garderobie, pozostawił w niej rozległy grunt, o tyle trudniejszy do sprzedania, że większa jego część znajdowała się pod wodą.

Przeciwnie, jego chrzestny ojciec zebrał w tej podróży miljonowe żniwo. Miljony te znalazł bankier po powrocie na ulicę Drouot, i to było początkiem bajecznego majątku firmy Lecoeur, który utorował jej drogę do pierwszorzędnego znaczenia w świecie finansowym.

Zefiryn Xirdal co prawda nie mało się przyczynił do wzrostu tego majątku. P. Lecoeur, przekonawszy się, do czego jest zdolny, często używał jego pomocy. Wszystkie odkrycia tego genialnego umysłu wyzyskiwał bank na swój użytek. Firma ta skarżyć się nie mogła. Zawiódłszy się na kopalni niebieskiej, składała w nowych kasach znaczną część złota, wydobytego z ziemi.

Zapewne, p. Lecoeur nie był Shylokiem. Zefiryn Xirdal mógł być używać tego majątku, który był jego dziełem, w dowolnej ilości, gdyby był chciał. Ale gdy mu o tem mówiono, patrzył wzrokiem tak osłupiałym, że lepiej było nie nalegać. Pieniądze? Złoto? Coby z niemi robił? Czyż na zaspokojenie jego skromnych wymagań nie wystarczała kwota pieniężna, którą miał na każde zawołanie? Do samej śmierci przychodził po nią pieszo do swego „wuja“ i bankiera i nie zgodził się nigdy na opuszczenie szóstego piętra przy ulicy

Cassette, ani na rozłączenie się z wdową Thibaut dawniej rzeźniczką, która trzymała ster swej gadaliwej usługi aż do ostatniej chwili jego życia.

W tydzień po zleceniu danem przez p. Lecoœur'a swemu korespondentowi w Paryżu, zniknięcie meteoru było wiadome w świecie całym. Krążownik francuski pierwszy udzielił tej nowiny najbliższemu posterunkowi telegraficznemu, skąd rozeszła się z błyskawiczną szybkością po kuli ziemskiej.

Chociaż wzruszenie było niemałe, jak łatwo się tego domyślić, uspokojenie nastąpiło dość szybko. Fakt był dokonany, nie było nad czem rozpamiętywać. Wkrótce ludzie wrócili do swych kłopotów osobistych i przestali myśleć o posłanniku niebieskim, który doczekał się końca tak opłakanego, a nawet, możnaby powiedzieć, śmiesznego.

Już zapomniano o nim, kiedy dnia 18 września M o z i k zarzucił kotwicę w porcie Charleston.

Oprócz dawnych pasażerów, na M o z i k u znajdowała się podróżniczka, która zajęła opuszczoną przez p. de Schnack'a kajutę. Była to mrs. Arkadja Walker, chcąc tym sposobem wyrazić wdzięczność swemu dawnemu małżonkowi.

Z południowej Karoliny do Wirginji odległość nie jest zbyt znaczną, a zresztą linii kolejowych nie brak w Stanach Zjednoczonych. Nazajutrz, 19 września mr. Dean Forsyth, Francis Gordon i Omikron z jednej, mr. Hudelson z córką z drugiej strony byli zpowrotem; pierwsi dążą do wieży przy Elisabeth street, drudzy do wieżycy z Moriss street.

Oczekiwano ich z niecierpliwością. Mrs. Hudelson z córką Loo były już na dworcu whastonskim, jak również Mitz, skoro nadjechał pociąg z Charleston z podróżnikami. Istotnie mogli być wzruszeni przyjęciem, jakie ich spotkało! Francis Gordon ucałował serdecznie swą przyszłą teściową, mr. Dean Forsyth zaś uściśkał serdecznie rękę mrs. Hudelson, jak gdyby nic nie było zaszło. Może nawet niktby nie wspomniał o smutnej przeszłości, gdyby nie Loo, która chciała mieć potwierdzenie nowego stanu rzeczy.

— A zatem wszystko skończone? — zawołała, rzucając się na szyję mr. Forsyth'a.

Oczywiście wszystko było skończone, na dobre skończone. Najlepszym tego dowodem, że 30 września dzwony Saint-Andrew zadźwięczały donośnie, odbijając się echem w całym mieście Whaston. Wobec liczного zgromadzenia, składającego się z rodziców i przyjaciół obu rodzin i znaczniejszych przedstawicieli grodu wirgińskiego, wielbny O'Garth dopełnił obrządku ślubnego pomiędzy Francis Gordon'em a Jenny Hudelson, którzy szczęśliwie zawinęli do portu po tylu przeszkodach i nieszczęściach.

Nikt wątpić nie będzie, że Loo brała udział w tej uroczystej chwili jako družka, zachwycająca w swej pięknej sukni, gotowej od czterech miesięcy. Jak również, że Mitz należała do orszaku, płacząc i śmiejąc się ze szczęścia swego syna. Twierdziła, o ile ją kto słuchać chciał, że tak wzruszoną nie była nigdy.

Prawie o tej samej godzinie dopełniał się z mniejszą pompą innego rodzaju akt ślubny. Tym razem jednak ani konno ani pieszo, ani balonem udali się mr. Seth Stanford i mrs. Arkadja Walker do sędziego John Proth'a. Siedzieli w wygodnym powozie jedno obok drugiego i trzymając się pod rękę, weszli po raz pierwszy do domu sędziego, ażeby przedstawić mu, w okolicznościach mniej dziwacznych niż swego czasu, powtórne dowody ślubne.

Sędzia spełnił swój obowiązek, łącząc po raz wtóry dwoje dawnych małżonków, rozłączonych kilkotygodniowym rozwodem, poczem skłonił się uprzejmie przed nimi.

— Dziękuję, mr. Proth — rzekła mrs. Stanford.

— I żegnaj — dodał mr. Seth Stanford.

— Żegnajcie, państwo Stanford — odpowiedział mr. John Proth, który natychmiast powrócił do swoich kwiatów.

Ale pewien skrupuł trapił godnego filozofa. Skoro zaczął trzeci raz podlewać kwiaty, jego ręka przestała zraszać obfitym deszczem spragnione lewkonje.

— Żegnajcie? — wyszeptał, zatrzymując się zamyślony pośrodku alei. — Może lepiej było powiedzieć „dowidzenia!”...

KONIEC





SPIS RZECZY.

Str.

ROZDZIAŁ PIERWSZY,

w którym sędzia John Proth spełnia jeden z najprzyjemniejszych obowiązków swego urzędu, zanim powróci do swych kwiatów 1

ROZDZIAŁ DRUGI,

który wprowadza czytelnika do domu Dean Forsyth'a, zaznajamia go z siostrzeńcem Dean Forsyth'a Francis Gordon'em oraz ze starą jego służącą Mitz 18

ROZDZIAŁ TRZECI,

w którym jest mowa o doktorze Sydney Hudelson'ie, jego żonie, mrs. Florze Hudelson, miss Jennay i miss Loo, ich dwóch córkach 34

ROZDZIAŁ CZWARTY,

w którym dowiadujemy się, jakim sposobem dwa listy, wysłane jeden do obserwatorium w Pittsburgu, drugi do obserwatorium w Cincinnati, zostały wciągnięte do archiwum meteorów 48

ROZDZIAŁ PIĄTY,

w którym mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson pomimo swej zaciekłości dowiadują się tylko z dzienników o odkrytym przez nich meteorze 50

ROZDZIAŁ SZÓSTY,

zawierający kilka uwag mniej lub więcej fantastycznych o meteorach wogóle, a w szczególności o mete-

	Str.
orze, o którego odkrycie współubiegają się równo- cześnie pp. Forsyth i Hudelson	62

ROZDZIAŁ SIÓDMY,

w którym zobaczymy, jak mrs. Hudelson jest zmar- twiona postępowaniem męża, i w którym usłyszymy, jak Mitz rozprawia się na dobre ze swoim panem .	77
--	----

ROZDZIAŁ ÓSMY,

w którym polemiki dziennikarskie pogarszają położe- nie i który się kończy stwierdzeniem czegoś zarówno pewnego jak nieoczekiwanego	91
---	----

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY,

w którym dzienniki, publiczność, mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson nadużywają swej wiedzy matema- tycznej	105
--	-----

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY,

w którym Zefirynowi Xirdal przychodzi jeden, a wła- ściwie dwa pomysły do głowy	115
--	-----

ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym mr. Dean Forsyth i doktor Hudelson do- znają gwałtownego wzruszenia	140
---	-----

ROZDZIAŁ DWUNASTY,

w którym mrs. Arkadja Walker oczekuje z kolei na kogoś z żywą niecierpliwością, mr. John Proth zaś zgłasza niekompetencję swego sądu	149
--	-----

ROZDZIAŁ TRZYNASTY,

w którym zgodnie z przewidywaniem sędziego John Proth'a zjawia się trzeci, a niebawem i czwarty współ- zawodnik	177
---	-----

ROZDZIAŁ CZTERNASTY,

w którym wdowa Thibaut swem nierozważnem zet- knięciem się z najdonioślejszemi zagadnieniami me- chaniki niebieskiej, nabawia poważnego kłopotu ban- kierowi Robertowi Lecoeur	192
---	-----

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY,

w którym I. B. K. Lowenthal wskazuje na wygrywającego wielki los 207

ROZDZIAŁ SZESNASTY,

w którym widzimy, jak liczne rzesze ciekawych korzystają ze sposobności, ażeby podążyć do Grenlandji dla podziwiania upadku niezwykłego meteoru . . . 219

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY,

w którym cudowny meteor i pasażer „Mozika” spotykają się, ten z pasażerem „Oregonu”, pierwszy zaś — z kulą ziemską 231

ROZDZIAŁ OŚMNASTY,

w którym p. de Schnack i jego liczni wspólnicy, chcąc się dostać do meteoru, dopuszczają się przestępstwa włamania 243

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY,

w którym budzi się w Zefirynie Xirdal nieprzewyciężony wstręt do meteoru, i następstwa stąd wynikłe 252

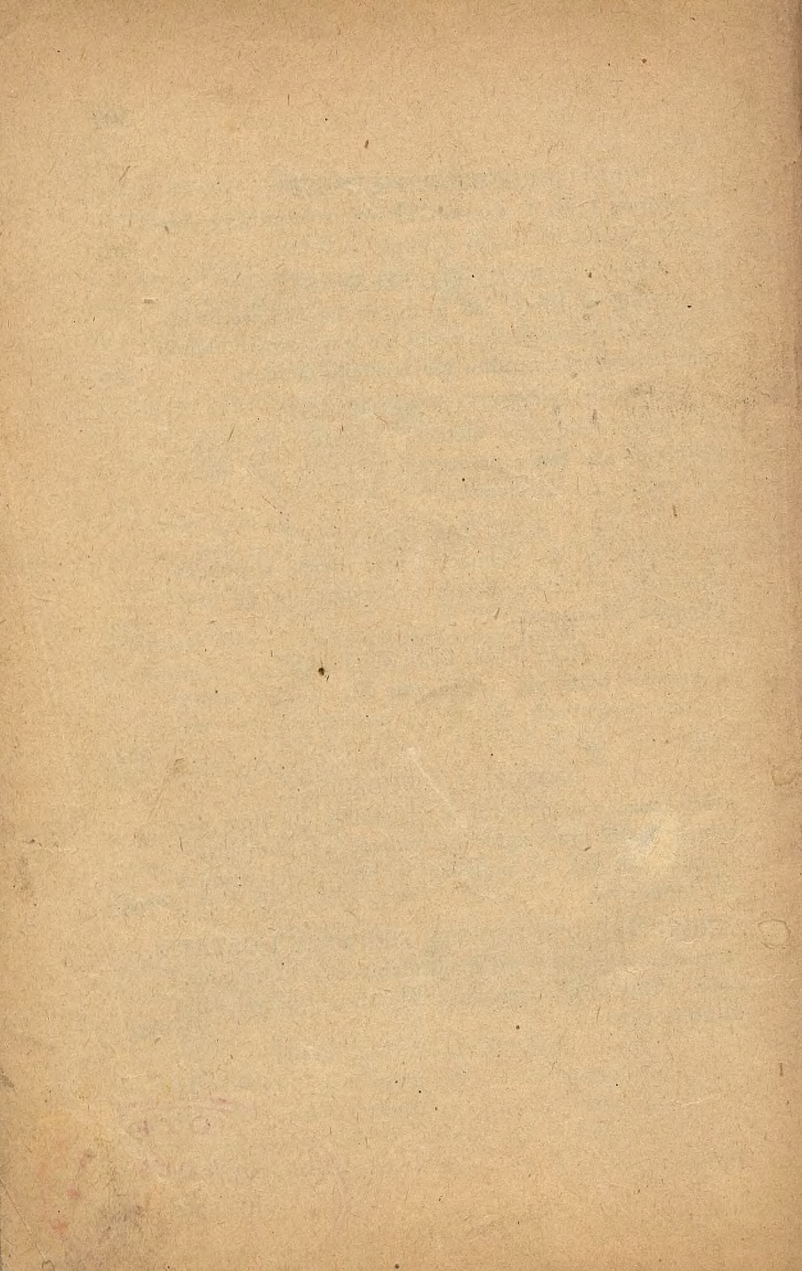
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY,

który może wzbudzić żal w czytelniku, ale który napisany został przez autora, szanującego prawdę historyczną, tak jak ją podadzą w przyszłości kroniki astronomiczne 290

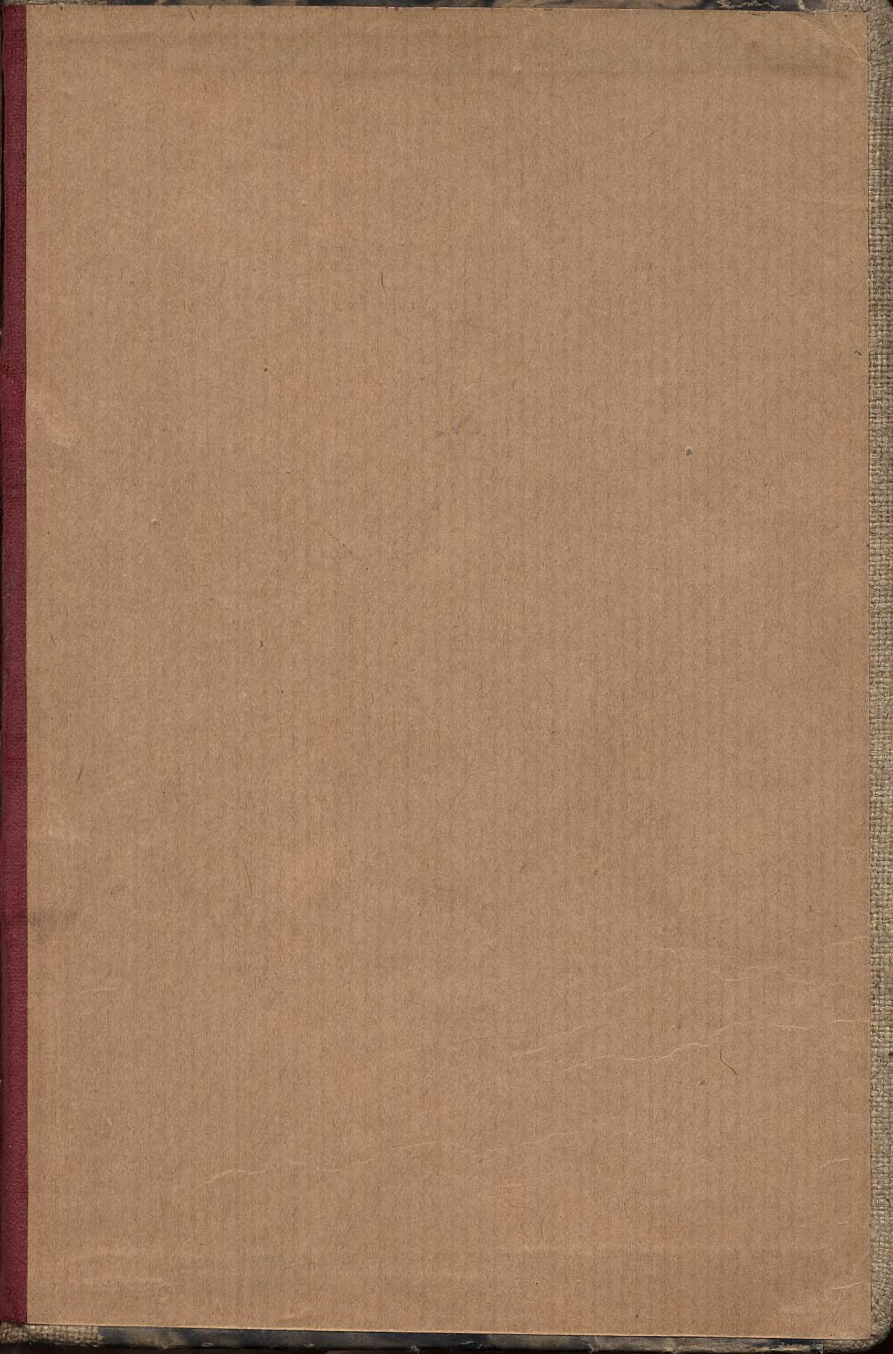
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY I OSTATNI,

stanowiący epilog tego opowiadania, a w którym mr. John Proth'owi, sędziemu z Whastonu, przysługuje ostatnie słowo 296





Na 1.000.000 5 gr.
21.0 gr.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000784452



I 340021